

STO TYSIĘCY
Kogo obchodzą
zmarli na COVID

GAZ I ŁAD
Wielkie kłopoty
małych firm

FORT JEZUS
Wiara czeka
na wrogów

OMIKRON
Jak sobie
z nim radzić

DOLA POETKI
Kto płaci
za wiersz

CZYSTE CZUCIE
Trans i zabawa
w ping-pongu

Kraków 23 stycznia 2022 nr 4 (3785)

cena 10 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne
www.TygodnikPowszechny.pl

Ja was uczyć każę

**WSZYSTKIE
HISTORIE
MINISTRA
CZARNKA**

ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425



9 770041 480208



**TYGODNIK
POWSZECHNY**



„Tygodnik Powszechny” – artykuły pierwszej potrzeby z dostawą do domu

Zamów na
TygodnikPowszechny.pl/wykup-prenumerate
i ciesz się prezentem
– notesem kulinarnym „SMAKI”!

Chcesz wiedzieć więcej?
Czytaj na III okładce tego wydania.



KS. ADAM

Boniecki: Jest samotniej

ARTYKUŁ TOMASZA STAWISZYŃSKIEGO „Współnota i milczenie” jest dla mnie ważny. Mówi o potrzebie jakiegoś znaku, dającego nam, wszystkim Polakom, do zrozumienia, że zmarli na skutek pandemii i cierpienie ich bliskich są naszą wspólną sprawą. Takimi znakami w wymiarze lokalnym były zorganizowane w Tychach, w Kościanie, Warszawie i być może w innych miastach spotkania, które jednak nie ogarniały całej Polski. A przecież statystyki zmarłych na skutek pandemii to nie tylko liczby („Zgony. Polska: 102 tys. + 429”. Na świecie ponad 5 milionów), ale również cierpienie i umieranie w covidowej izolacji konkretnych ludzi, ból tych, którzy pozostali, a także ich lęk o przyszłość. W Polsce oprócz ponad stu tysięcy osób zmarłych na COVID-19 drugie tyle zmarło, bo nie można było na czas przyjść im z pomocą.

Kto jeszcze pamięta czasy, gdy o swojej żałobie sygnalizowaliśmy otoczeniu: mężczyźni czarną opaską na ramieniu lub żałobną wstążeczką w klapie, kobiety czarnym kolorem ubrania, a nawet – jeszcze nie tak dawno – czarnym welonem? Wtedy żałobą dzieliliśmy się z otoczeniem. Otoczenie zresztą – tak to pamiętam – odnosiło się do naszej żałoby z respektem i dyskretnym współczuciem. Taki sposób ujawniania swojej żałoby wydaje się dziś nie do pomyślenia. Dlatego za kluczowe zdanie w artykule Stawiszyńskiego uważam to: „W XX w. rozpacz po stracie bliskich uległa w kulturze zachodniej niemal całkowitej prywatyzacji i medykalizacji, a żałoba rozumiana jako uzewnętrznienie tej rozpacz, na które społeczeństwo tworzy przestrzeń i daje przyzwolenie, stała się melodią przeszłości, słyszalną co najwyżej na wsiach i w miasteczkach”. Pytam: dlaczego?

Nam dziś pandemia kojarzy się z niedogodnościami lockdownu, maseczkami, dezynfekowaniem rąk, społecznym dystansem i spotkaniami online, szczepieniami, a „nadmiar umierających” zostaje zepchnięty poza granice świadomości, jakby wystarczyły statystyki bez ludzkich twarzy.

A przecież mamy w Polsce mnóstwo śladów pamięci o ofiarach licznych epidemii. Na przykład Paweł Puto, opiekun



zabytków ziemi radomskiej, wynalazł je, opisał i sfotografował: poświęconą ofiarom cholery w 1871 r. kapliczkę św. Rozalii w Radomiu przy ul. Żeromskiego, pochodzącą z tego samego okresu kapliczkę św. Rocha przy ul. Słowackiego i przydrożną kapliczkę z roku 1855, też św. Rozalii, w Jastrzębiu koło Szydłowca związaną z ofiarą zarazy...

Polska prowincja zakonu marianów, do którego należą, powstała w roku 1670, w epoce licznych epidemii. W XVII wieku zaraza („morowe powietrze”) występowała w następujących latach: 1601-1605, 1607-1613, 1617-1618, 1620, 1622-1625, 1627-1632, 1634, 1637-1639, 1641, 1645, 1648, 1650-1663, 1665, 1667, 1672-1679, 1693, 1699 (F. Giedroń, „Mór w Polsce w wiekach ubiegłych. Zarys historyczny”, Warszawa 1899). Był to również czas wyniszczających kraj wojen (z Rosją, ze Szwecją, z Turcją i z Siedmiogrodem) oraz zamieszek wewnętrznych (rokosz Lubomirskiego i powstanie Chmielnickiego). Założyciel naszego zakonu św. Stanisław Papczyński (1631-1701), człowiek wielkiej pobożności, martwił się o zbawienie tysięcy ludzi umierających, często bez przygotowania, jako ofiary epidemii i wojen. I tak epidemia wyznaczyła dość wyjątkowy cel istniejących już ponad 350 lat marianów.

W „Norma vitae” – pierwszej naszej regule – założyciel napisał: „szerzyć będziecie cześć Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Bogurodzicy Dziewicy (...) i wspierać modlitwą dusze wiernych zmarłych poddanych karom czyśćcowym, zwłaszcza żołnierzy i ofiar zarazy”. Przyjęto wtedy skróconą nazwę: zakon „wspomagający zmarłych i proboszczów”. No i wspieramy...

O naszych czasach zaś już w 1960 r. pisał (w wierszu „Zielona róża”) Tadeusz Różewicz:

„zaczynamy żyć coraz samotniej / odległość od człowieka do / rośnie pod neonami / w przeludnionych miastach / ocierając się o siebie do krwi / żyjemy jak na wyspie / zamieszkaną przez nieliczne istoty / zostajemy z garstką najbliższych / ale i oni odchodzą”. ©P

Wydania specjalne
„Tygodnika Powszechnego”
dostępne na Legimi.pl

Pobierz aplikację Legimi na smartfon, e-czytnik, tablet lub komputer i czytaj wygodnie wydania specjalne „Tygodnika Powszechnego”.

TYGODNIK
POWSZECHNY

Legimi

weź, czytaj!



20 Ja was uczyć każe MAREK KĘSKRAWIEC

*Przerwane
dzieciństwo,
rodzinne tragedie,
błyskawiczna
kariera. Życie
Przemysława
Czarnka to ciąg
dramatycznych
zwrotów akcji.*

22 O co chodzi w „lex Czarnek”

**PRZEMYSŁAW
WILCZYŃSKI**
*Zmiany firmowane
przez szefa resortu
edukacji i nauki
oznaczają powrót
ze szkoły publicznej
do państwowej.*



45 Groźny moment WOJCIECH KONOŃCZUK

*Po serii negocjacji
USA i NATO
odrzućmy rosyjskie
ultimatum, co jest
dobrą wiadomością.
Jednak wywołany
przez Rosję
kryzys jest daleki
od zakończenia.*



37 Bazylika diakonisa

ZUZANNA RADZIK
*Mamy kolejne mocne
archeologiczne
świadczenie roli, jaką
odgrywały kobiety
w starożytnym
Kościele.*



58 Zajmę się tym później

KATARZYNA DZIADOWICZ
*Skąd się bierze niechęć do podejmowania
zaplanowanego działania?
Prokrastynacji – w końcu
– przyjrzyli się psycholodzy.*



69 Regina Poloniae DARIUSZ KOSIŃSKI

*Masłowska jest pisarką teatralną w takim sensie i może
nawet w takim samym stopniu, jak pisarzem teatralnym był
Gombrowicz. Ich ton jest pozornie lekki, a jednocześnie mroczny,
groźny i ponury.*



76 Czyste czucie MAREK BIEŃCZYK

*Ping-pong to
sport najbardziej
towarzyski
i przyjazny. Tkwi
w nim coś pozornie
śmiesznego,
choćby ta piłeczka,
karykatura piłki,
ten lekki idiotyzm
powtarzanych
w kółko gestów.*

6 Najwyższa fala
MACIEJ MÜLLER

7-11 Obraz tygodnia

18-19 Czytania / Widzenia

MAŁGORZATA KORDOWICZ
O. WACŁAW OSZAJCA
ABP GRZEGORZ RYŚ
PIOTR SIKORA

63 Tygodnik czytelników

■ ■ **KRAJ**

20 Ja was uczyć każe
MAREK KĘSKRAWIEC

22 O co chodzi w „lex Czarnek”
PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

25 Strefa zgniotu

MAREK RABIJ: *W autach niektóre miejsca osłabia się celowo po to, żeby chroniły kierowcę, same ulegając zmięczeniu. Tak się właśnie czują polscy drobni przedsiębiorcy*

28 Z drogi śledzie, mama jedzie!

ROZMOWA Z WERONIKĄ LASEK: *Żeby nie czuć się tylko mamą dziecka z niepełnosprawnością, pomyślałam: „dobrze, teraz trzeba to życie ułożyć tak, żeby robić to, co się robiło w przeszłości”*

■ ■ **WIARA**

32 Wysokie progi

ROZMOWA Z RODEM DREHEREM: *Powinniśmy mieć strategię ochrony wiary i przed siłami lewicowymi, i prawnymi*

37 Bazylika diakonis

ZUZANNA RADZIK

39 Krzyż na Kaukazie

MARCELINA SZUMER-BRYSZ: *Jako jedni z pierwszych przyjęli chrześcijaństwo. Społeczność Udyńów ma się dziś lepiej niż kiedykolwiek*

■ ■ **ŚWIAT**

42 W kleszczach Omikrona

SZYMON ŁUCYK Z PARYŻA: *Wraz z ekspansją nowej mutacji koronawirusa zaostrza się ton publicznej debaty*

TEMAT TYGODNIKA



12 Wspólnota i milczenie

TOMASZ STAWISZYŃSKI

Na covid zmarło już ponad sto tysięcy Polaków. Każdy z nich domaga się upamiętnienia. Woła o zbiorową formę przeżywania smutku i konfrontacji ze stratą.



■ **FELIETONY** ■

31 JACEK PODSIADŁO

41 WOJCIECH BONOWICZ 62 HANNA KRALL

74 JAN KLATA 75 PAWEŁ BRAVO

82 STANISŁAW MANCEWICZ

82 BARTOSZ MINKIEWICZ

ILUSTRACJA NA OKŁADCE:
ARKADIUSZ HAPKA DLA „TP”

Redaktor prowadzący:
MICHAŁ KUŹMIŃSKI

45 Groźny moment
WOJCIECH KONOŃCZUK

46 Wyspa, która tonie
ULA IDZIKOWSKA Z KORFU: *Turyści odjechali. Zostali mieszkańcy i śmieci*

48 Zacząć wszystko od nowa

MAGDALENA BARTCZAK: *Chile w nowy rok wchodzi z niepewnością, nadzieją, oraz nowym, najmłodszym w swej historii prezydentem*

51 Pracownik czasowo niedostępny

MARTA ZDZIEBORSKA: *W Stanach brakuje już 11 mln ludzi do pracy*

■ ■ **HISTORIA**

54 Wybory bez znieczulenia

BARTŁOMIEJ NOSZCZAK: *75 lat temu komuniści stawiają kropkę nad „i”. Głosowanie do Sejmu to karykatura demokracji*

■ ■ **NAUKA**

58 Zajmę się tym później

KATARZYNA DZIADOWICZ

■ ■ **KULTURA**

64 Element intymny

ROZMOWA Z KRYSYŃĄ DĄBROWSKĄ, POETKĄ: *Odkąd pamiętam, bałam się śmierci. Tworzenie poezji jest jakimś sposobem na zatrzymanie chwili*

69 Regina Poloniae

DARIUSZ KOŚCIŃSKI

72 Pomiędzy słowami

ANITA PIOTROWSKA *o filmie „C'mon C'mon” Mike'a Millsa*

74 Historia w portretach

LEKTOR *o książce Michała Głowińskiego „Tegie głowy. 58 sylwetek humanistów”*

■ ■ **ZMYSŁY**

76 Czyste czucie

MAREK BIEŃCZYK

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

➔ **Pomniki Ronaldo [Strona Świata]**

W indyjskim stanie Goa stanął pomnik Cristiano Ronaldo. Kontrowersje budzi nie tylko estetyka rzeźby – pisze **WOJCIECH JAGIELSKI** tygodnikpowszechny.pl/stronaswiata

➔ **Grudzień w nauce [Podkast Powszechny]**

Dlaczego lososie cieszą się na globalne ocieplenie? Czy sztuczna inteligencja umie wymyślać nową matematykę? Na przegląd wydarzeń naukowych zaprasza **ŁUKASZ LAMZA** tygodnikpowszechny.pl/podkast

Anna Łabuszewska: ROSYJSKA RULETKA
Autorski serwis specjalny

WWW.TYGODNIKPOWSZECHNY.PL/ROSYJSKARULETKA

f /TYGODNIKPOWSZECHNY ■ t /TYGODNIK ■ i /TYGODNIK ■ y YouTube /TYGODNIKPOWSZECHNY

NAJWYŻSZA FALA

Liczba zakażeń Omikronem będzie bardzo wysoka
– może to zablokować polskie szpitale i przychodnie.
Na szczęście powinna szybko opadać.

MACIEJ MÜLLER

CO NAJMNIEJ POŁOWA POPULACJI POLSKI zarazi się w najbliższych tygodniach wariantem Omikron – wynika z prognozy wrocławskiej grupy analitycznej MOCOS. Polskie laboratoria nie wykonują jednak więcej niż 140 tys. testów dziennie, a to pozwoli wykryć co najwyżej 100 tys. zakażeń. Reszta pozostanie poza radarami. Franciszek Rakowski, szef ICM, jednego z centrów modelujących przebieg pandemii, uważa, że infekcji będzie nawet osiem razy więcej.

– Fala będzie bardzo wysoka, ale przetoczy się szybko: zacznie się wypiętrzać ok. 20 stycznia i już w lutym powinna opadać – mówi „Tygodnikowi” epidemiolog Rafał Halik. – W środku fali będzie umierało ok. 680 osób dziennie.

Omikron jest bardzo zakaźny, ale wywołuje objawy słabsze niż poprzednie warianty. Według prof. Wojciecha Szczeklika, anestezjologa z Wojskowego Szpitala Klinicznego w Krakowie, skala zakażeń spowoduje jednak większe niż dotychczas obciążenie ochrony zdrowia. W ostatnich dniach zajętych było ok. 15 tys. łóżek covidowych. Minister zdrowia Adam Niedzielski zapewnia, że rząd jest w stanie zwiększyć ich liczbę do 60 tys. – To by była katastrofa. Nie będziemy leczyć niczego poza covidem – mówi prof. Szczekliki. I zastanawia się, czy instalacje tlenowe w szpitalach wystarczą dla takiej liczby pacjentów.

Lekarze mówią: same łóżka nie leczą. A nieliczny personel jest po dwóch latach walki z pandemią zmęczony fizycznie i wy-

*Szpital modułowy
Wojskowego
Instytutu
Medycznego
w Warszawie
przeznaczony
dla najciężej chorych
na COVID-19.
Warszawa,
13 stycznia 2022 r.*

palony psychicznie. Wiele osób odchodzi z zawodu. – A podczas fali omikronowej część osób „wypadnie” ze względu na zakażenie, w szczycie fali może to dotyczyć 10-30 proc. personelu – mówi prof. Szczeklik, wskazując na doświadczenia innych krajów. Rafał Halik obawia się czego innego – że szczupłość kadr i wysoka dynamika zakażeń sprawią, iż wysyłanie pracowników na kwarantannę będzie niemożliwe. Chorzy, ale zdolni do wykonywania obowiązków, będą pracować. – Wtedy ogniska infekcji będą wybuchały w szpitalach i domach opieki, gdzie znajdują się osoby najbardziej wrażliwe na ciężki przebieg choroby. Ludzie będą też unikać szpitali, co może dodatkowo zwiększyć umieralność – mówi.

– W ciągu najbliższych tygodni wszyscy będziemy narażeni na kontakt z ludźmi zakażonymi wariantem Omikron – ostrzega prof. Szczeklik. – Warto nosić maski, unikać zamkniętych pomieszczeń i zgromadzeń. Lepiej się nie zarażać, bo covid może wywołać odległe w czasie powikłania. Mam nadzieję, że wbrew niektórym zapowiedziom nie zachorujemy wszyscy, a już zwłaszcza nie jednocześnie.

Omikron roznosi się tak skutecznie, że według ekspertów w sytuacji, gdy przebywamy przez dłuższy czas w zamkniętym pomieszczeniu, maski chirurgiczne (a tym bardziej materiałowe) nie wystarczą do ochrony siebie i innych. Zalecają stosowanie masek profesjonalnych, np. typu FFP2. W tym kontekście zadziwia obojętność polskich biskupów, którzy – wiedząc, że najbardziej zagrożeni są ludzie starsi – nie ogłosili dyspensy od udziału w niedzielnych mszach.

W mediach pojawiają się hipotezy, że ta fala, jakkolwiek najgorsza z dotychczasowych, będzie ostatnia, bo powszechne zakażenia zapewnią odporność zbiorową. Prof. Szczeklik uważa, że to myślenie życzeniowe. – Być może pandemia zacznie wygasać, a przebieg choroby będzie przypominać przeziębienie. Ale to wariant optymistyczny. Pamiętajmy, że im więcej zakażeń, tym większe ryzyko, iż wirus zmutuje. Mogą powstać nowe warianty, przełamujące odporność. Ta pandemia od początku jest nieprzewidywalna. ©

Rozmowę z Rafałem Halikiem czytaj na: powszech.net/fala

Rząd kupił sobie pół roku

OBNIŻKI VAT I AKCYZY na niektóre produkty spowolnią rozpędzając się inflację, ale tarcza, którą wprowadza właśnie rząd, nie rozwiąże problemu drożyzny. PiS kupuje sobie w ten sposób najwyżej kilka miesięcy względnego spokoju.

Dobrze, że rząd dał wytchnienie najuboższemu. Równie dobitnie trzeba jednak zaznaczyć, że kolejna odsłona „tarczy antyinflacyjnej” to leczenie objawów, a nie choroby trwającej gospodarkę. Inflacja wyrwała się spod kontroli, częściowo wskutek czynników, na które rząd nie miał wpływu (globalny skok cen energii spowodowany postpandemicznym odbiciem), a częściowo z powodu błędów NBP.

Rząd szacuje, że obowiązująca od lutego obniżka VAT na podstawowe produkty spożywcze pozostawi w portfelu przeciętnej polskiej rodziny ok. 45 zł miesięcznie, a zmiany w opodatkowaniu paliw odejmą od aktualnej ceny litra benzyny mniej więcej 1 zł. To ostatnie można uznać niemal za pewnik, bo co trzecia stacja w Polsce należy do Orle- nu lub Lotosu i dzięki temu rząd ma realny

wpływ na poziom detalicznych cen paliw. Jednak wymuszenie na właścicielach sklepów, aby obniżyli ceny dokładnie o zmianę stawki VAT, będzie niewykonalne.

Na tym nie koniec. „Obniżki podatków pośrednich, takich jak akcyza czy VAT, mechanicznie wpływają na obniżenie się odczytów inflacji w krótkim okresie oraz ich podwyższenie w momencie powrotu do poprzednich stawek. Mogą więc obniżyć szczyt inflacji w obecnej sytuacji, ale nie (...) oczekiwania inflacyjne” – podkreślają w swojej analizie dr Wojciech Paczos z Uniwersytetu w Cardiff i dr Łukasz Rachel z Uniwersytetu w Princeton. Ich zdaniem strategia rządu może poskutkować utrwaleniem inflacji, bo uciekając przed wzrostem cen konsumenci zwiększą w połowie roku wydatki. Do podobnych wniosków doszli także analitycy kontrolowanego przez państwo Pekao S.A.: według nich istnieje wręcz ryzyko szoku cenowego, kiedy dzięki tarczy inflacja wyhamuje do lipca do ok. 6,8 proc., a następnie wystrzeli w sierpniu do 9 proc. Rozwiązaniem byłoby przedłużenie obniżki podatków do końca roku. Dzięki temu udało się utrzymać inflację na średniorocznym poziomie ok. 6,3 proc. Koszt tarczy sięgnąłby wówczas 33,2 mld zł. W wersji półrocznej kosztowała by 19,2 mld zł. ©

© MAREK RABII

Przespane szanse, a nie zła Unia

PIOTR WÓJCIK



RZĄD WYPOWIEDZIAŁ WOJNĘ UNIJNEJ polityce klimatycznej i zaangażował do niej spółki Skarbu Państwa. Do klientów Taurona przyszedł e-mail, w którym odpowiedzialność za tegoroczne podwyżki taryf zrzucano na Unię Europejską. Już na wstępie można przeczytać, że „cena prądu zależy przede wszystkim od kosztów jego wytworzenia. Głównym jej składnikiem są koszty, jakie ponosimy w związku z polityką klimatyczną Unii Europejskiej. Rosnące koszty uprawnień do emisji dwutlenku węgla stanowią obecnie aż 59 proc. kosztów energii elektrycznej”.

W 2021 r. ceny uprawnień rzeczywiście drastycznie wzrosły – z 30 do prawie 90 euro za tonę. Rząd oraz państwowe spółki nie mówią jednak wszystkiego. Zwłaszcza tego, że koszty energii w Polsce są relatywnie wysokie od dłuższego czasu. Według Eurostatu w drugiej połowie 2020 r. cena prądu w Polsce, licząc według parytetu siły nabywczej,

była trzecią najwyższą w Unii – po Rumunii, Czechach i Irlandii. Na dodatek notowane w Polsce wzrosty cen były najwyższe w Europie. To m.in. efekt sporych obciążeń podatkowych i oparcia naszej energetyki na „czarnym złocie”.

Kolejne polskie rządy miały mnóstwo czasu na zmniejszenie znaczenia węgla w energetyce, dzięki czemu koszt uprawnień do emisji dwutlenku węgla byłby dla nas mniej bolesny. Unijny system handlu tymi prawami funkcjonuje od 2005 r. i przez lata emisja jednej tony kosztowała ledwie kilka euro. Na dekarbonizację były też pieniądze – dzięki sprzedaży uprawnień do budżetu co roku trafiają miliardy złotych. Tych szans jednak nie wykorzystaliśmy i udział węgla w polskim miksie energetycznym w 2020 r. wynosił aż 70 proc. 14 stycznia, według Electricity Map, emitowaliśmy 546 gramów dwutlenku węgla na kilowatogodzinę – czyli najwięcej w Unii. ©

PROF. JACEK LESZCZYŃSKI, WYDZIAŁ ENERGETYKI
I PALIW AGH, KOORDYNATOR PROJEKTU:

Armata przeciwko smogowi

KRZYSZTOF STORY: Naukowcy z AGH testują w Kalwarii Zebrzydowskiej walkę ze smogiem za pomocą generatora fali uderzeniowej. Jak to działa?

PROF. JACEK LESZCZYŃSKI: Do komory detonacyjnej wprowadzamy mieszaninę łatwopalnych gazów. Eksplozja wyrzuca je w górę często z ponaddziesięciokrotną prędkością. Za pomocą serii takich wystrzałów próbujemy „rozhuścić” smogowe powietrze.

Takie działka stosują rolnicy, by chronić uprawy przed gradem. Pomagają też na PM10 i PM2,5? Korzystamy właśnie z takiego rolniczego generatora. Po wystrzale smog przy ziemi miesza się z czystym powietrzem wyżej. Prowokujemy ruch powietrza, to działanie roznosi się nawet do trzech kilometrów od stacji.

Jaka jest skuteczność? Czy za kilka lat takie urządzenia staną w miasteczkach południowej Polski?

Tuż przy generatorze możemy w kwadrans obniżyć stężenia nawet o kilkadziesiąt procent, a największy efekt widać w najbardziej smogowe dni. W Polsce w ogóle nie podejmujemy interwencyjnych działań w sprawie smogu. Jeśli pali się budynek albo jest wypadek na drodze, mamy gotowe procedury i służby, a przy smogu stoimy beczynnym. Chciałbym, żeby nasz projekt był początkiem zmiany. ©©

Poparcie dla atomu

NADMORSKA GMINA CHOCZEWO, kilka kilometrów od Lubiatowa – to tutaj ma do 2033 r. powstać pierwsza w Polsce elektrownia atomowa. Preferowaną lokalizację ogłoszono pod koniec ub. roku, w tym tygodniu zaś pełnomocnik rządu Piotr Naimski zapowiedział, że jesienią 2022 r. zostanie wybrana technologia dla polskiego programu jądrowego. W jego ramach do 2040 r. ma powstać 6 elektrowni o łącznej mocy 9 GW (rozważane lokalizacje to m.in. Bełchatów i Żarnowiec).

Gdy Polska konkretyzuje atomowe plany, Niemcy wyłączają swoje reaktory, Belgia zapowiada to samo, a zażarta debata toczy się w całej UE. Atom dzieli także w mniejszej skali, np. na portalach społecznościowych. Ale nowe badania pokazują, że atom jeszcze nigdy nie miał nad Wisłą tak dużego poparcia. 74 proc. Polaków popiera budowę elektrowni jądrowych (wzrost o 11 pp.), a 58 proc. zgodziłoby się, aby taka inwestycja powstała w ich okolicy. ©© KRZYSZTOF STORY

KRAJ W SKRÓCIE

PRACUJEMY

Polski rząd wysłał do Komisji Europejskiej list, w którym przekonuje, że pracuje nad likwidacją Izby Dyscyplinarnej SN, ale z ustaleń radia RMF wynika, że pismo nie okazało się dla Brukseli przekonujące i decyzja o karach finansowych dla Warszawy pozostaje w mocy.



PAWEŁ MURZYŃ / EAST NEWS

JĘDZIMY

Niezbędnie przekonująco zabrzmiała także wypowiedź Andrzeja Dudy: zapytany przez dziennikarzy pod narciarskim stokiem o bałagan związany z Polskim Ładem prezydent powiedział, że „to bardzo duży program zawierający ogromne rozwiązania legislacyjne i ustawowe”, w którym „wszelkie niedopatrzienia” trzeba jak najszybciej poprawić.

KUPUJEMY

Jak najszybciej poprawić należałoby również niedopatrzenie, na które zwróciła uwagę „Gazeta Wyborcza”: pośrednicząca w „zakupie środków techniki specjalnej służących do wykrywania i zapobiegania przestępczości” (czyli systemu Pegasus) firma Matic tworzona jest przez osoby w czasach PRL pracujące dla milicji i SB.

UDZIELAMY

Przedwcześnie okazała się deklaracja Jacka Kurskiego „Rozbiliśmy system kłamstwa” z okładkowego wydawu „Sieci” w 2018 r. – z nowego numeru pisma wołają słowa „Kurski kontra kłamstwa”; w sumie to już szósty raz, gdy z frontu tego tygodnika spogląda na nas prezes TVP.

Europejskie strategie wobec Omikrona

JAK SOBIE RADZIĆ z nową falą epidemii w sytuacji, gdy wariant Omikron jest mniej zabójczy, ale tak zaraźliwy, że – jak ocenia WHO – w najbliższych dwóch miesiącach zarazi się nim połowa Europejczyków?

W krajach, gdzie fala Omikrona już opada (to Wielka Brytania; mutacja dominuje tu od prawie dwóch miesięcy) lub się stabilizuje (to Hiszpania, gdzie pojawiła się ona w połowie grudnia), rządy sygnalizują, że sytuacja jest lepsza, niż się obawiano. Przy wysokich wskaźnikach infekcji (w apogeum 200 tys. stwierdzanych dziennie w każdym z tych państw; faktyczna liczba była zapewne wyższa) wzrosła wprawdzie liczba hospitalizacji i obciążenie tzw. infrastruktury krytycznej (izolacja objęła kilka procent ludności), ale nie tak bardzo, jak się spodziewano. Wzrosły też liczby zgonów, ale tylko dwukrotnie – „tylko” w kontekście tego, iż wzrost infekcji był kilkunastokrotny. W drugim tygodniu stycznia w 69-milionowej Wielkiej Brytanii umierały dziennie średnio 263 osoby, a w 47-milionowej Hiszpanii 118 osób.

Taki przebieg fali wywołanej Omikronem – nie tak dramatyczny w skutkach jak pierwsze najgorsze scenariusze – może mieć związek z faktem, iż oba kraje mają duży odsetek zaszczepionych (na Wyspach dwie dawki przyjęło 71 proc. ludzi, a trzy 54 proc.; w Hiszpanii to 80 i 36 proc.). Hiszpański premier uważa, że łżejszy przebieg choroby wkrótce pozwoli na to, by zacząć traktować ją jak gripę i stosownie do tego zmieniać strategię. Brytyjski rząd sądzi, że do końca stycznia będzie można znieść prawie wszystkie restrykcje.

Tymczasem w Niemczech, gdzie fala dopiero narasta, a Omikron odpowiada za ok. 75 proc. nowych infekcji, rząd zaostriżył restrykcje, by – jak uzasadniano, nawiązując do wykresów – „pionowa ściana zamieniła się w łagodne wzgórce” (tj. by spowolnić transmisję wirusa).

A co potem? Uznany wirusolog Christian Drosten uważa, że za sprawą szczepień (także czwartą dawką, jesienią) i masowości infekcji Omikronem w 2022 r. społeczeństwa uzyskają odporność zbiorową, a wirus wejdzie w fazę endemiczną. „Lato będzie na luzie” – prognozuje Drosten.

©© WOJCIECH PIĘCIAK



VALERY SHARIFULIN / TASS / PAP

„**TERRORYŚCI Z ZAGRANICY**” są wszystkiemu winni – tak twierdzi prezydent Kazachstanu Kasym-Żomart Tokajew. W istocie przyczyną gwałtownych protestów, które wybuchły oddolnie w całym kraju w pierwszym tygodniu stycznia, były rosnące ceny. Początkowo pokojowe demonstracje przerodziły się w starcia z wojskiem i policją – areną walk było zwłaszcza Ałmaty, największe miasto w 19-milionowym Kazachstanie (na zdjęciu) – a po kilku dniach zostały stłumione. W minionym tygodniu władze podały, że zginęło 225 osób (w tym 19 żołnierzy i policjantów), a 4,6 tys. zostało rannych (faktyczne liczby mogą być wyższe). Aresztowano 10 tys. ludzi.

© P WP

O jedną imprezę na Downing Street za dużo

PATRYCJA BUKALSKA Z LONDYNU



PREMIER WIELKIEJ BRYTANII BORIS JOHNSON ma coraz większe kłopoty. Lider opozycji sir Keir Starmer twierdzi, że na Downing Street złamano prawo, a i w ugrupowaniu premiera narastają gniew i niepokój. Sześciu posłów Partii Konserwatywnej publicznie wezwało go do podania się do dymisji, wielu innych zastanawia się nie „czy”, ale „kiedy” powinien odejść, a ich skrzynki mailowe są podobno zapchane przez listy od wściekłych wyborców. Powodem jest seria doniesień o organizowanych przez pracowników Downing Street spotkaniach towarzyskich w czasie lockdownów; ostatnio kolejne rewelacje pojawiają się niemal co dnia.

Siła rażenia tych informacji staje się jasna, gdy zestawimy daty imprez z obowiązującymi w tamtym czasie surowymi restrykcjami; np. mogły się wtedy spotkać na zewnątrz nie więcej niż dwie osoby, utrzymując dystans dwóch metrów. Restrykcje wpływały na kontakty między bliskimi krewnymi, nie pozwalały na spotkania w domach, ograniczały udział w pogrzebach. Nawet królowa Elżbieta II musiała

siedzieć samotnie na pogrzebie swego męża księcia Filipa w kwietniu 2021 r. Tymczasem, jak się teraz okazuje, poprzedniego wieczoru na Downing Street odbyły się dwa przyjęcia – mimo żałoby narodowej i wbrew przepisom sanitarnym.

Boris Johnson twierdzi, że uczestniczył tylko w spotkaniu w maju 2020 r. (ponoć krótko i przez pomyłkę), ale trudno sądzić, że o pozostałych nie wiedział. Na razie premier przeprosił, przeproszono też oficjalnie królową, a *partygate* jest przedmiotem wewnętrznego dochodzenia. To wciąż za mało – Brytyjczycy są wściekli i widać to w sondażach. Dwie trzecie z nich chce odejścia premiera, który jest obecnie mniej popularny niż Theresa May w swym najgorszym okresie. Spadają też notowania torysów, a opozycyjna Partia Pracy ma teraz nad nimi 10 punktów procentowych przewagi.

Wiadomo za to, ile butelek alkoholu można upchać w sporej walizce – bo tak wnoszono go na imprezy przy Downing Street. Media spekulują, że mogło to być nawet 30 butelek wina.

© P

Djoković: dwie igły od szlema

IM BLIŻEJ Novak Djoković był potwierdzenia tytułu „Greatest of All Time”, najlepszego gracza w historii tenisa, tym więcej robił, by ten najważniejszy mecz przegrać. Tym razem być może od 10. zwycięstwa w Australian Open i 21. w turnieju wielkoszlemowym, prowadzenia w historycznym rankingu, a nawet tzw. Kalendarzowego Wielkiego Szlema, dzieliły tego świętego sportowca zaledwie dwa ułaskia. Odmawiał szczepienia przeciw covidowi w imię wolnego wyboru, który prowadził go do czerpania uzdrawiających mocy z bośniackich Piramid Słońca i innych piramidalnych bzdur.



MARK BAKER / AP / EAST NEWS

„Djocovid” – jak przezywają go nieżyczliwi, bo wyrósł na opisywanego przez innych językiem apokryfów antyszczepionkowego mejsjasza – nie jest jedynym przegranym. Skompromitowali się też organizatorzy Australian Open, uchylając gwiazdorowi furtkę do startu w turnieju w ramach „medycznego wyjątku”. Chwiejność wykazały australijskie władze, znane z surowych przepisów celnych i imigracyjnych (a podczas pandemii także sanitarnych), które rozegrały z Serbem partię proceduralno-sądowego tenisa zakończoną ostatecznie jego deportacją.

Novak Djoković pozostanie jedynym z królów męskiego tenisa w XXI w. Ale to właśnie tegoroczne święto Trzech Króli, a dla Serba prawosławna Wigilia, dzień, w którym prosto z lotniska w Melbourne trafił do hotelu-ośrodka zatrzymań, może zwiastować koniec jego władzy. Zwłaszcza że ujawnione kręactwa wokół jego testów i rzekomego statusu ozdrowieńca pokazują, że król jest nagi.

© BARTEK DOBROCH

Papież i cancel culture

EDWARD AUGUSTYN



JAK CO ROKU, W PRZEMÓWIENIU DO KORPUSU DYPLOMATYCZNEGO Franciszek wspominał o najważniejszych, jego zdaniem, zagrożeniach dla świata. Tym razem na liście, otwieranej przez pandemię i wypełnionej wojnami oraz kryzysami humanitarnymi, pojawiła się też tzw. *cancel culture*. Dla papieża jest to „forma ideologicznej kolonizacji”, polegająca na „zaprzeczaniu własnej historii” lub „przepisywaniu jej na nowo, w oparciu o współczesne kryteria, podczas gdy każdą sytuację historyczną należy interpretować zgodnie z ówczesną, a nie dzisiejszą hermeneutyką”.

Takie „unieważnianie kultury” to żadna nowość. Polityka historyczna, strącanie z piedestału jednych postaci, by zastąpić je nowymi, są stałym elementem rzeczywistości, przeciwko której Kościół dotąd niespecjalnie protestował. Sam zresztą na tym polu odnosił niemałe „sukcesy” – ma wielowiekowe doświadczenie w „gumkowaniu” nieprawomyślnych opinii (indeks ksiąg zakazanych); „unieważnianiu” – czasem dosłownie – osób, które je głosiły; tworzeniu, przy pomocy religijnej sankcji, swoistych stref komfortu, w których zakazywano dyskusji na drażniące tematy.

Mało która instytucja ma też taką umiejętność afirmowania własnej historii, choćby i bolesnej, odwoływania się do historycznego kontekstu, którym można usprawiedliwić i antysemityzm, i pobłażliwość dla bezczynności wobec przestępców (argument, że „w tamtym czasie nikt nie mówił o pedofilii”, jest znaną wymówką).

A jeśli przyjąć – jak chce wiele osób – że *cancel culture* polega na odebraniu głosu oprawcom i oddaniu go ofiarom, odrzuceniu narracji zwycięzców i obaleniu autorytetów opartych na sile, to i Franciszek mógłby zostać uznany za reprezentanta tego nurtu. To przecież on, potępiając kolonialną ekspansję Kościoła, pozwala podbitym ludom na nową teologię, opartą na ich symbolach i tradycjach, a nie obcym systemie filozoficznym. On „unieważnił” ryt trydencki, ostatni pomnik przedsołoborowego katolicyzmu, jako niespełniający kryteriów dzisiejszej hermeneutyki. I to on powtarza, że czasy, w których żyjemy, to „nie epoka zmian, ale zmiana epoki”. Przed czym więc przestrzega?

W przemówieniu tylko pokrótce to wyjaśnił. „Unieważnianie kultury” jest – jego zdaniem – „wymazywaniem własnej tożsamości”, a więc i próbą unieważniania chrześcijaństwa. Dyktaturą, która pod pozorem troski o różnorodność opinii zabija naukowy i społeczny dyskurs, wyciszając odmienne zdania. Niekontrolowaną, niszczycielską siłą, która „atakuję obszary i instytucje publiczne”. Rewolucją, w której nie tylko on widzi zagrożenie. © P

KOŚCIÓŁ W SKRÓCIE

SŁOWO

„Zdajemy sobie sprawę z niewielkiego zainteresowania Dniem Judaizmu w polskich parafiach, ale nie chcemy się tym zamartwiać. (...) Bogu wystarczy niewielka liczba wyznawców, by mógł zrealizować swój podyktowany miłością plan” – napisał przewodniczący Komitetu Episkopatu ds. Dialogu z Judaizmem bp Rafał Markowski w „Słowie na 25. Dzień Judaizmu”.

WYROK

Sąd Okręgowy w Płocku odrzucił apelację dotyczącą wyroku tamtejszego Sądu Rejonowego z marca 2021 r., uniewinniającego trzy kobiety, które w 2019 r. rozlepiły w tym mieście wizerunek Matki Bożej Częstochowskiej w tęczowej aureoli. Sąd uznał, że wizerunek ten „nie jest wulgarny ani poniżający” i nie podlega do nienawiści.



MIKOŁAJ JASTRZĘBSKI OSB

SZOPKA

Nietypową szopkę można zobaczyć w tym roku w kościele benedyktynów w Tyńcu. Nie ma w niej żółbka, św. Józefa ani zwierząt. Przedstawia kobietę postać trzymającą na kolanach dziecko. Jej gest oraz układ szat nawiązuje do Piety Michała Anioła.

KAPITUŁA

W krakowskim klasztorze dominikanów 24 stycznia rozpocznie się kapituła polskiej prowincji zakonu. Jak się można spodziewać, władze zakonu zostaną na niej rozliczone z zaniedbań, które ujawnił raport niezależnej komisji badającej przestępstwa seksualne dominikanina Pawła M.

Czy w czerwcu odbędzie się Lednica?

ZAOSTRZA SIĘ SPÓR między poznańskimi dominikanami a założonym przez nieżyjącego już o. Jana Górę Stowarzyszeniem Lednica 2000, dotychczasowym współorganizatorem corocznych Ogólnopolskich Spotkań Młodych nad Lednicą. Gdy władze stowarzyszenia zorientowały się, że pominięto je w planowaniu tegorocznej imprezy, oskarżyły dominikanów o „próbę zawłaszczenia Lednicy”. Przypomniły, że Pola Lednickie i wybudowany na nich ośrodek duszpasterski powstały dzięki świeckim sponsorom i współpracownikom o. Góry. Według stowarzyszenia, w 2021 r. dominikanie próbowali zmienić umowę dzierżawy przez stowarzyszenie Pól Lednickich (zawartą do 2027 r.), a gdy to się nie udało, wycofali swoich duszpasterzy i doprowadzili do wydanego przez abp. Wojciecha Polaka zakazu sprawowania w tym miejscu sakramentów.

W odpowiedzi przeor poznańskich dominikanów o. Michał Śliż zauważył, że odpowiedzialność za Spotkania Lednickie jako zgromadzenie religijne ponoszą wyłącznie dominikanie.

Wymownym kontekstem sporu jest rozpoczęty niedawno synod poświęcony synodalności, który w zamierzeniu papieża ma uczynić świeckich współodpowiedzialnymi za Kościół. © P ARTUR SPORNIAK

Ratzinger wyjaśnia

AŻ 82 STRONY liczy odpowiedź Benedykta XVI na pytania prawników przygotowujących raport dotyczący wykorzystywania seksualnego w archidiecezji monachijskiej w latach 1945-2019 – ujawnił niemiecki dziennik „Bild”. 94-letni Joseph Ratzinger, obok kardynałów Friedricha Wettera (93 l.) i Reinharda Marksa (68 l.), należy do trójki żyjących byłych rządców archidiecezji – urząd ten sprawował w latach 1977-82. Raport ma m.in. odpowiedzieć, czy przyszedł papież przyjmując do monachijskiej archidiecezji w 1980 r. notorycznego pedofila ks. Piotra H., który skrzywdził co najmniej 23 osoby, wiedział o jego przeszłości.

Zdaniem sekretarza Benedykta XVI abp. Georga Gänsweina, emerytowany papież „z zadowoleniem przyjmuje prowadzone w Monachium śledztwo, a także publikację raportu”, gdyż los ofiar „bardzo leży mu na sercu”. Raport ma zostać ogłoszony w czwartek. © P ASK

KULTURA W SKRÓCIE

WRÓBLA Z NEW DELHI

Film „Kobieta w nocy” Rafała Kapelińskiego zdobył główną nagrodę – Złotego Wróbla – w międzynarodowym konkursie na Diorama International Film Festival w New Delhi.

Ponadto otrzymał nagrodę specjalną jury za zdjęcia autorstwa Marcina Koszałki.

Obraz był wcześniej prezentowany w sekcji Polonica na 46. Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych w Gdyni.

ANIMACJE WE FRANCJI

Krótkometrażowa „Furia” Julii Siudy, pokazywane już na kilkunastu festiwalach „Okruski życia” Katarzyny Miechowicz, „Bestie wokół nas” Natalii Durszewicz oraz polsko-węgierskie „Plantarium” Tomka Duckiego znalazły się w sekcjach konkursowych Premiers Plans Film Festival we Francji. Zwyczców poznamy pod koniec stycznia.

SZTUKA W WIKIPEDII

W przeprowadzonym kilka dni temu głosowaniu grupa redaktorów Wikipedii opowiedziała się przeciwko klasyfikowaniu tzw. NFT (niewymienialnych cyfrowych tokenów) jako sztuki. Zdecydowano także, by z zamieszczonej na stronie Wiki listy najlepiej sprzedających się dzieł usunąć kolekcje cyfrowych artystów takich jak Beeple czy Pak, a do dyskusji na temat NFT powrócić w późniejszym terminie. Więcej o NFT na powszech.net/token.



DIENNIKARZE I AUTORZY „TYGODNIKA” co tydzień goszczą w programie „Światopogląd” Agnieszki Lichnerowicz w Radiu TOK FM. Słuchaj od wtorku do piątku o godzinie 15.00. Zapraszamy! 87,9 FM Gorzów | 88,2 FM Toruń 89,2 FM Elbląg | 93,8 FM Lublin 94,9 FM Kielce www.tokfm.pl



JAKUB CERTOWICZ / MATERIAŁY PRASOWE KWK PROMES

DOM W ŁĄCE. Projekt „From the Garden House” katowickiej pracowni Roberta Koniecznego otrzymał prestiżowy tytuł „Archello Best of 2021”, przyznawany przez jeden z ważniejszych portali architektonicznych. Widoczny na zdjęciu dom wybudowano w miejscowości Łąka niedaleko Pszczyny. Właściciel działki posiadał już ogród, którego kształt i rozmiar nie podlegał negocjacjom. Odwrócony proces twórczy stał się jednak dla zespołu architektów wyzwaniem – budynek należało wpasować pomiędzy rosnące już drzewa i wijące się jeziorko. Robert Konieczny, założyciel pracowni KWK Promes, to jeden z najbardziej utytułowanych polskich architektów. W 2016 r. jako pierwszy Polak zdobył nagrodę za Najlepszy Budynek Świata podczas World Architecture Festival – wyróżniono Centrum Dialogu „Przełomy” w Szczecinie jego pomysłu. ©© MOCH

Co mówią o nas słowa z książek



WOJCIECH BRZEZIŃSKI

CZUCIE I WIARA SILNIEJ MÓWI DO MNIE / Niż mędrca szkiełko i oko” znów aktualne. Gdy Mickiewicz pisał te słowa w 1821 r., świat był u progu stulecia racjonalności. Nowe badania pokazuje jednak, że emocje znów wygrywają z rozsądkiem.

Założenie jest proste: słowa, z jakich korzystamy, są odbiciem naszego sposobu myślenia i systemu wartości. Jeśli tak, to już od 40 lat fakty przegrywają z intuicją, a kolektywizm z indywidualizmem.

Badacze z USA i Holandii analizując miliony książek po angielsku i hiszpańsku ustalili, że słowa takie jak „analiza” czy „dane” zyskiwały na popularności od 1850 r., podczas gdy te związane ze sferą intuicji i emocji (np. „czuć”, „wiedzieć”) były w odwrocie. Ten trend odwrócił się ok. 1980 r. Jednocześnie coraz częściej używamy zaimeków w liczbie pojedynczej. Zastępowanie „my” przez „ja” może obrazować przejście od kolektywistycznego do indywidualistycznego nastawienia.

„Ten sam proces następuje w literaturze pięknej i w książkach non-fiction” – pisze Johan Bol-

len. „Obserwujemy go też w artykułach w »New York Times«”. Wzrost znaczenia racjonalności mógł być pochodną rozwoju nauki i techniki. „Płynące z nich korzyści spowodowały wzrost statusu podejścia naukowego, które przenikało kulturę, społeczeństwo i jego instytucje” – zauważa Marten Scheffer. Trudniej ustalić, co ok. 1980 r. spowodowało odwrócenie trendu. Autorzy spekulują, że winna mogła być polityka: liberalne reformy gospodarcze były wspierane racjonalnymi argumentami, ale korzyści z nich były bardzo nierówno rozłożone. Choć media społecznościowe nie zainicjowały procesu, to od 2007 r. przebiega on coraz szybciej, co zbiega się z rozwojem Facebooka czy Twittera.

„Zjawisko postprawdy wiąże się z historyczną huśtawką równowagi między dwoma sposobami myślenia: rozumowaniem a intuicją” – dodaje Ingrid van de Leemput. „Odwrócenie tej zmiany może być niemożliwe. Społeczeństwa muszą znaleźć nową równowagę, uznając wagę intuicji i emocji, jednocześnie wykorzystując siłę racjonalności i nauki do analizy świata w jego pełnej złożoności”.

©

WSPÓLNOTA I MILCZENIE

Na covid zmarło już ponad sto tysięcy Polaków.
Każdy z nich domaga się upamiętnienia.
Woła o zbiorową formę przeżywania smutku
i konfrontacji ze stratą.

TOMASZ STAWISZYŃSKI

TO HISTORIA JAK WIELE INNYCH – i jak wiele innych niepowtarzalna.

W lutym 2021 r. pewien 56-letni mężczyzna, w dobrym jak na swój wiek zdrowiu, bez żadnych chorób współistniejących, dwa miesiące przed możliwym terminem szczepienia pierwszą dawką obudził się z wysoką gorączką oraz brakiem wachu i smaku. Przez kilka dni stosował się skrupulatnie do zaleceń lekarskich, ale gorączka nie ustępowała, a doszły suchy, duszący kaszel, ból mięśni, zawroty głowy i poczucie, że zarówno ciało, jak umysł ulegają jakiejś niepostrzymanej dezintegracji. Kiedy kaszel stał się nie do wytrzymania, bliscy tego mężczyzny – przebywający z nim na kwarantannie, ale z negatywnymi wynikami testów – wezwali pogotowie.

Lekarze i ratownicy, którzy przyjechali na miejsce, powiedzieli wprost: lepiej nie jechać do szpitala, sytuacja jest ciężka, oddział obłożony, brakuje leków i wolnych łóżek. Wydawało się jednak, że nie ma wyboru, chory zaczynał się dusić i tracił kontakt z rze-

czywistością. Odkąd trafił na oddział – urwała się z nim łączność. Żona wcisnęła mu do kieszeni telefon, ale rozładował się jeszcze tego samego dnia, a w takim stanie brakuje sił, żeby telefon ładować, o rozmawianiu nie wspominając. Dodzwonienie się do szpitala graniczyło z cudem. Co dwa, trzy dni się udawało, wtedy lekarze mówili, że stan jest poważny, najbliższe godziny będą decydujące. Po którymś telefonie przyszła fatalna informacja – od wczoraj pacjent leży pod respiratorem. O tym, że nie żyje – tydzień później – rodzina dowiedziała się, kiedy po raz pierwszy to do nich ktoś ze szpitala zadzwonił.

Nie było więc żadnego pożegnania, nie było bliskości, spojrzenia w oczy, powiedzenia tego, czego z tysiąca głupich albo banalnych powodów przez tyle lat się nie powiedziało, ale przecież tak →

Serca dla pamięci – przy londyńskim szpitalu św. Tomasza namalowano ich ponad 150 tys., po jednym dla każdej ofiary covidu w Zjednoczonym Królestwie; 9 stycznia 2022 r.





→ bardzo pragnęło się powiedzieć. Były za to – i do dzisiaj są – szok, wstrząs, poczucie nierealności tego, co się stało, doświadczenie brutalności choroby, zimna procedur, lęku, bezradności, krzywdy, rozpacz. No i dojmująca próżnia, która znienacka wdarła się do znanego i oswajonego świata codziennych spraw i kłopotów. Dosłownie wysadzając go z posad.

Było – i do dzisiaj jest – także wrażenie, że nikogo poza bliskimi ta śmierć tak naprawdę nie obchodzi, nikt się nią nie interesuje, nikt o niej nie mówi, nikt za nią nie bierze odpowiedzialności.

Nikt nie uznaje, że się w ogóle wydarzyła.

Upamiętnienie, którego nie było

Oto jeden z ponad stu tysięcy przypadków układających się w śmiertelną mozaikę, bo tyle właśnie osób zmarło w Polsce na COVID-19 od początku pandemii. Niemal drugie tyle to śmierci z innych przyczyn, ale z kryzysem covidowym stwarzające z braku odpowiedniej diagnozy na czas albo dostępu do koniecznej pomocy, bo ośrodki zdrowia i szpitale zajęte były ratowaniem ofiar koronawirusa. W ostatnich miesiącach, odkąd zmagamy się z czwartą falą, umiera nawet 700 osób dziennie. Stawia nas to, obok Bułgarii, w mrocznej czołówce europejskiej, jeśli chodzi o liczbę zgonów na milion obywateli. A przed nami fala piąta – spod znaku o wiele bardziej zakaźnego wariantu Omikron. Mierzy się z nią wiele krajów, które wcześniej przygotowywały się do tego niczym do III wojny światowej (my się natomiast nie przygotowujemy).

W Stanach Zjednoczonych – co niedawno wykazali socjologzy Ashton Verdery, Emily Smith-Greenaway, Rachel Margolis i Jonathan Daw – jedna zmarła na covid osoba pozostawia dziewięć osób bliskich w żałobie. Jak ten współczynnik wygląda w Polsce? Z pewnością więzi rodzinne nie są u nas luźniejsze niż w Ameryce, można więc przyjąć, że plus minus podobnie. Licząc z grubsza – i pamiętając, że poruszamy się po terenach odległych od jednoznaczności – daje to ponad 900 tysięcy osób, które cierpią z powodu straty kogoś bliskiego spowodowanej pandemią. Dodając do tego ponad drugie tyle rodzin i bliskich jej pośrednich ofiar, dostaniemy, lekką ręką, dwa miliony osób.

Ile ich będzie za trzy miesiące, za pół roku, za rok?

W Czechach w maju 2021 r. na Zamku Praskim zapłonęło 30 tysięcy świec. „Za wiele spośród tych śmierci odpowiedzialni jesteśmy wszyscy” – powiedział Miloš Zeman. Winę ponoszą lekkomyślność i obojętność, infantylne pragnienie jak najszybszego powrotu do „normalności”, przedwczesne luzowanie obustronnych, niedopuszczanie do siebie świadomości tego, jak faktycznie wygląda pandemiczna rzeczywistość. Prezydent Czech podziękował pracownikom i pracownikom ochrony zdrowia, zaznaczając, że zasługują na coś znacznie więcej aniżeli podziękowania.

W podobny sposób, oficjalnie, wspólnie, na szczeblu państwowym, upamiętniano ofiary pandemii w wielu krajach. Np. w Stanach Zjednoczonych, Wielkiej Brytanii, Hiszpanii czy Niemczech. W przemowach polityczek i polityków temat katastrofalnego pandemicznego bilansu powracał na rozmaite sposoby. „Chcemy upamiętnić tych, którzy zginęli samotną śmiercią w tych mrocznych czasach” – to słowa prezydenta Niemiec wypowiedziane w kwietniu podczas wielkiej berlińskiej uroczystości poświęconej pamięci ofiar pandemii. Powstają specjalne strony internetowe, gdzie publikowane są sylwetki zmarłych, zdjęcia, którym towarzyszą bardzo osobiste, wzruszające wspomnienia. Takie serwisy uruchomiły m.in. CNN i BBC.

Niemal wszędzie toczy się zatem otwarta rozmowa na temat gigantycznej, globalnej katastrofy, która wciąż trwa i w wyniku której wielu z nas straciło i straci najbliższych, krewnych, przyjaciół, znajomych. Rozmowa nie tylko werbalna, ale przebiegająca także w sferze symbolicznej. W sferze zbiorowego rytuału, ceremonii, gdzie rozpacz prze staje być wyłącznie indywidualnym, jednostkowym doświadczeniem kogoś, komu umarła ukochana osoba, a staje się emocją wspólnotową. Tragedia pandemii dotyka wszak nie tylko poszczególnych członków i członkinie danej wspólnoty, ale i samą wspólnotę, tak rodzinną, jak narodową czy światową. I dlatego domaga się zbiorowych form przeżywania smutku, zbiorowych form konfrontacji ze stratą. Gremialnego mierzenia się z tym, co najgłębiej ludzkie – kruchością, przemijalnością, podatnością na chorobę i rozpad, śmiertelnością.

Wobec podstawowych faktów ludzkiej (i nie tylko ludzkiej) egzystencji – zdają

się sugerować te świece, pomniki, tablice, wspomnienia i mowy – znajdujemy się wszyscy w takim samym położeniu. Niezależnie od wszelkich powierzchownych różnic – to nas spaja najgłębiej. Jeśli gdziekolwiek najmocniej konstytuuje się jakieś uniwersalne pokrewieństwo, to właśnie w kruchości i przemijalności, a zarazem poczuciu, że nie jesteśmy w nim osamotnieni, nie jesteśmy zdani wyłącznie na siebie.

W Polsce jednak te śmierci otacza zaskakujące milczenie. Dużo się mówi i pisze o tym, jakie skutki dla gospodarki miał lockdown. I jakie mogłyby mieć kolejne, choć wiadomo, że go nie będzie, rząd bowiem od pewnego czasu przestał rozważać taką możliwość. Nie stać nas, politycznie i ekonomicznie, na efektywne ratowanie ludzkiego życia – tak w zasadzie można by odczytać tę osobliwą pasywność władzy, która, co nie jest specjalnie trudne do wydedukowania, obawia się utraty poparcia bardziej radykalnego, antyszczepionkowego elektoratu. Tak czy inaczej, o stanie gospodarki rozmawiamy bardzo dużo, nie rozmawiamy natomiast wcale o stanie wspólnoty.

Może wobec tego wspólnoty już nie ma, może istnieje tylko zrzeszenie jednostek, względnie federacja rodzin, odgórnie zarządzana, ale nie scalana żadnym elementarnym poczuciem łączności? Zbyt radykalny to wniosek? Powtórzę: jesteśmy jednym z nielicznych – jeśli w ogóle nie jedynym – unijnym krajem, w którym jak dotąd nie było żadnych państwowych uroczystości poświęconych pamięci zmarłych z powodu pandemii. Zdarzyły się, owszem, gesty na szczeblu samorządowym: gdzieś tam radni uczcili zmarłych minutą ciszy, a prezydent Warszawy kwiatami pod pomnikiem Nike ułożonymi w napis „Nie zapominałmy”. Mieliśmy niedawno facebookową inicjatywę „Dzień żałoby covidowej”, temat podejmowały od wiosny 2021 r. redakcje „Tygodnika Powszechnego”, „Gazety Wyborczej” i „Kultury Liberalnej”, a w dniu, gdy liczba ofiar przekroczyła sto tysięcy, do zapalenia zniczy wezwał Donald Tusk.

Ale to są wszystko efemeryczne, lokalne i oddolne inicjatywy. Do dzisiaj nie wydarzyło się nic na szczeblu ogólnopolskim, do dzisiaj państwo nie dało do zrozumienia obywatelkom i obywatelom, że to, co się dzieje od marca 2020 r.,

jest naszą wspólną sprawą. Że dostrzegamy ją, uznajemy jej istnienie, widzimy naszych zmarłych i cierpienie dotykające tych, których pozostawili. Że śmierć tego 56-letniego mężczyzny nie przydarzyła się tylko jemu i jego bliskim – przydarzyła się wspólnocie, podobnie jak sto tysięcy pozostałych.

W ten właśnie sposób państwo mogłoby wysłać prosty komunikat: nie jesteś sam, nie jesteś zdany na siebie. W zderzeniu z brutalnością świata, z bezwładem tkwiącym w naturze, z łamliwą materią ciała, z nieprzewidywalnością losu, z rozpaczą po stracie tych, których kochałeś albo kochałaś najbardziej – możesz na nas liczyć. Temu przecież w gruncie rzeczy służą te wszystkie zbiorowe symbole i rytuały. Wydobywaniu z samotności i prywatności. Głośnemu zapewnieniu, że instytucje życia społecznego wyrastają z bazowej troski i odpowiedzialności, jaką wspólnota przyjmuje za wszystkich swoich członków i członkinie. I że nikt nie stoi sam naprzeciw wpisanego w każde życie cierpienia, chaosu, bezwładu i przemijania.

Żałoba, która zaniknęła

Zanik zbiorowego charakteru żałoby to oczywiście nic nowego. Jest jedną z konstytutywnych cech późnej nowoczesności. Wytrawni badacze tematu – choćby francuscy historycy Philippe Ariès i Michel Vovelle, autorzy, odpowiednio, monumentalnych prac „Człowiek i śmierć” oraz „Śmierć w cywilizacji Zachodu”, jak również włoski antropolog Alfonso M. Di Nola – są co do tego zgodni. W XX w. rozpacz po stracie bliskich uległa w kulturze zachodniej niemal całkowitej prywatyzacji i medyalizacji, a żałoba rozumiana jako uzewnętrznienie tej rozpaczki, na którą społeczność tworzy przestrzeń i daje przyzwolenie, stała się melodią przeszłości, słyszalną co najwyżej na wsiach i w miasteczkach.

„Nie ulega wątpliwości, że głębokie zmiany w stosunkach społecznych, które stały się udziałem społeczeństwa industrialnego, szczególnie w wyniku urbanizacji – pisze Di Nola w „Tryumfie śmierci”, znakomitej historii praktyk żałobnych – doprowadziły do zerwania więzi między jednostką a grupą społeczną. W rezultacie opłakiwanie, zwłaszcza w miastach, nie znajduje solidarnego wsparcia ze strony innych i, przeżywane w głębokiej samotności, nie znajduje uko-

jenia, co prowadzi w wielu wypadkach do groźnych neuroz”.

Z drugiej strony, współcześni badacze żałoby, np. amerykański psycholog George Bonanno – autor książki „The Other Side of Sadness”, w której dokonuje przeglądu aktualnej naukowej wiedzy na ten temat – zwracają uwagę, że żałoba jest zjawiskiem niejednorodnym.



Bonanno twierdzi, że przebiega ona różnie u różnych ludzi (wbrew temu, co myślał na jej temat Freud, który w słynnym eseju „Żałoba i melancholia” wprowadził pojęcie „pracy żałoby”, sugerujące, że jest ona jakimś jednolitym procesem psychologicznym mającym określone zadanie). Żeby poradzić sobie z rozpaczą po stracie bliskich, niektórzy potrzebują lat, a inni tygodni. Nie ma jednej recepty i jednego schematu. Nie istnieją także żadne obiektywne fazy czy etapy żałoby, o których sugestywnie pisała Elisabeth Kübler-Ross. Po prostu – żałoba jest zjawiskiem zróżnicowanym, o czym łatwo można się przekonać, sięgając po prace dokumentujące wielorakość form jej przeżywania w rozmaitych kulturach.

Z kolei ze współczesnych badań nad doświadczaniem straty – i szerzej, nad PTSD, czyli zespołem stresu pourazowego – wypływają jeszcze inne, dla niektórych zaskakujące wnioski. Otóż, wbrew dominu-

jącemu w latach 80. i 90. – i do dzisiaj tu i ówdzie jeszcze kultywowanemu – przekonaniu, że każdy, kto przeżył traumę, powinien jak najszybciej (i jak najwięcej) opowiedzieć o tym terapeutycznie, sprawy mają się dokładnie odwrotnie. Przedwczesna interwencja terapeutyczna, w szczególności polegająca na nakłanianiu do rozmowy o trudnych emocjach – tzw. *debriefing* – paradoksalnie nie zmniejsza, lecz zwiększa ryzyko wystąpienia PTSD.

Takie wnioski płyną m.in. z głośnego raportu Amerykańskiego Towarzystwa Psychologicznego, opublikowanego 11 września 2011 r. na łamach czasopisma „American Psychologist”, którego współautorem był m.in. Bonanno. Przedstawiono tam wyniki badań, z których wynikało, że osoby poddawane bezpośrednio po atakach na WTC spontanicznym terapiom na ulicach Nowego Jorku – liczni terapeuci ruszyli wówczas wolontaryjnie na pomoc ocalałym i świadkom, by przeprowadzać sesje na skwerach, w kawiarniach czy parkach – byli bardziej narażeni na wystąpienie zaburzeń psychicznych niż osoby, które z tego rodzaju interwencji nie korzystały. Ta okoliczność wskazuje, że po pierwsze nie każdy, kto doświadcza dramatycznego przeżycia, potrzebuje terapii (realnie tylko ok. 30 proc. osób wymaga profesjonalnej pomocy), a po drugie – nie powinna ona rozpoczynać się zbyt wcześnie i polegać na intensywnej emocjonalnej rozmowie na temat tego, co się wydarzyło.

Od momentu straty do rozpoczęcia ewentualnego leczenia – twierdzą autorzy raportu – powinien upłynąć co najmniej miesiąc. Psychika ma własne sposoby na uporanie się z trudnymi sytuacjami i czasami wystarczy jej zwyczajnie nie przeszkadzać. Człowiek po tego rodzaju przejściach potrzebuje natomiast bliskości, wsparcia, zapewnienia, że może liczyć na pomoc, że ktoś jest obok, rozumie, co się z nim dzieje, i dostrzega jego ból. Dopiero w takim kontekście wewnętrzne rany mają szansę bezpiecznie się zagoić.

I dlatego właśnie odmowa uznania realności straty, a nade wszystko samotność jej towarzysząca mogą przynieść dramatyczne skutki, np. głęboką depresję. Takie ryzyko występuje w każdym razie na poziomie indywidualnej psychologii, co siłą rzeczy ma bezpośrednie przełożenie na kwestię zdrowia publicznego. Zwraca na to uwagę Jonathan Rottenberg, jeden

→ z najciekawszych współczesnych psychologów badających zjawisko depresji. W książce „Ochłan. Ewolucyjne źródła epidemii depresji” stawia tezę, że ograniczanie możliwości przeżywania straty, związane z kultem pozytywnego myślenia, wypieraniem śmierci i zbiorową obsesją efektywności, to istotna przyczyna tak licznych dzisiaj diagnoz zespołu depresyjnego.

Pamiętajmy jednak, że prywatyzacja żałoby we współczesnej zachodniej kulturze to coś zupełnie innego niż ta specyficznie polska atrofia wszelkich zbiorowych form upamiętniania ofiar pandemii. Etiologia tych zjawisk jest odmienna, ich społeczne konsekwencje także są innego rodzaju. Że wspólnota pozostawia nas sam na sam z naszym osobistym cierpieniem po stracie bliskich, którzy zmarli prywatną, jednostkową śmiercią – to jedno. Że jednak wspólnota, a w szczególności jej dysponujący władzą dosłowną i symboliczną przedstawiciele zachowują się tak, jakby społeczna katastrofa w ogóle nie zaistniała, jakby nie dotknęła nas wszystkich śmiertelna zakaźna choroba i nie zabrała w krótkim czasie populacji średniej wielkości miasta – to drugie. Z pierwszym niemające zgoła nic albo niewiele wspólnego.

Przy czym nie o ogłaszanie żałoby narodowej tu chodzi – i bodaj nawet nie o samą żałobę, w najściślejszym sensie tego słowa – lecz o zwyczajne uznanie, że coś się wydarzyło. Że to nie jest zły sen, spisek, czyjś wielki sukces, czyjaś wielka porażka albo coś równie fantastycznego, lecz konkretne zdarzenie, które nas dotyka – mające swoje realne przyczyny i skutki. Praca żałoby, w tym przypadku zbiorowej, w pełni zacząć się może przecież dopiero, kiedy pandemia się zakończy. Na razie jesteśmy w środku tego procesu, a widoków na jego zakończenie nie ma nawet na horyzoncie. Zarazem nieustannie doświadczamy kolejnych strat, których realność nie jest na poziomie zbiorowym symbolicznie uznawana.

Jesteśmy więc niczym osoba podrózująca samochodem i uczestnicząca w wypadku, w którym zginęli jej bliscy, pozostawiona sama sobie na poboczu, do której nikt nie podchodzi, nie oferuje ciepłej herbaty, nie podsuwa koca czy środków uspokajających, nie zapewnia, że może liczyć na pomoc. Jesteśmy kimś, wobec kogo otoczenie zachowuje się dokładnie odwrotnie, niż to rekomendują

autorzy wspomnianego wyżej raportu oraz w ogóle specjaliści od postępowania z tymi, którzy doznali bolesnych strat.

Pandemia, której nie ma

Jakie mogą być tego przyczyny? Zaryzykowałbym tezę, że w Polsce nie możemy uczcić pamięci ofiar pandemii, bo żadnej pandemii u nas nie było. Nie w sensie dosłownym, rzecz jasna, lecz psychologicznym.



Od marca 2020 r., wedle wielu zapamiętanych zwolenniczek i zwolenników oraz polityków Konfederacji, odbywa się wyłącznie medialny spektakl, „plandemia”, preludium do wprowadzenia „wielkiego resetu” oraz „nowego światowego porządku”. Zdaniem wielu zwolenniczek i zwolenników oraz polityków opozycji z kolei trwa wyłącznie wielka kompromitacja rządzących: jedno wielkie pasmo wpadek, strategicznych i praktycznych błędów, niefortunnnych wypowiedzi. Wedle wielu zwolenniczek i zwolenników oraz polityków prawicy mamy zaś wyłącznie wielki sukces rządzących, doskonałą organizację, zero błędów, wszystko przeprowadzone w sposób wysoce kompetentny i fachowy.

Słowem, podobnie jak każdy inny wielki problem społeczny, tak i pandemia – a wraz z nią sto tysięcy ofiar – została zredukowana do upiornego, pol-

skiego konfliktu politycznego. Rytualne uznawanie, że wszystko, co robi albo proponuje robić polityczny przeciwnik, *a priori* musi być złe, unikanie jak ognia rozmowy o tym, co poszło dobrze, gdzie jesteśmy, co trzeba zmienić, w jaki sposób poradzić sobie z takim czy innym wyzwaniem – otóż wszystko to uniemożliwia prawdziwą debatę na temat tego, co się tutaj przez ostatnie kilkanaście miesięcy wydarzyło. I pozwala zrzec się za to odpowiedzialności, przerzucić ją na innych; tych złych i niemoralnych, bo stojących po drugiej stronie barykady.

Tymczasem wspólne stanięcie wobec dramatu pandemii oznaczałoby wzięcie za nią wspólnej odpowiedzialności. Wymagałoby rozmontowania powracającego nieustannie mechanizmu lokowania całego zła w politycznym przeciwniku, a tym samym separowania się od tego, co w świecie nieprzewidywalne i straszne, oraz pielęgnowania poczucia własnej moralnej wyższości. Wymagałoby konfrontacji z tragicznymi statystykami zgonów, które – o czym pisała w „Gazecie Wyborczej” Judyta Watoła – poza niskim poziomem zaszczepienia i ogólnie słabą kondycją społeczeństwa mają źródła także w fatalnym stanie systemu ochrony zdrowia. Ten zaś jest wspólnym dziełem wszystkich ekip rządzących po 1989 r., więc uczciwa dyskusja o nim natychmiast rozbroiłaby każdy polityczny dualizm. Wszystkie czynne dzisiaj obozy polityczne do aktualnego stanu systemu ochrony zdrowia jakoś się przecież przyczyniły.

Dlatego właśnie trwanie w historycznej polaryzacji jest w gruncie rzeczy wszystkim na rękę. Najbardziej oczywiście aktualnie rządzącym, oni bowiem w sensie bezpośrednim odpowiadają za to, co się teraz dzieje. I wbrew własnej narracji – popełniają błędy. Nie tylko jednak własne błędy, ale i w ogóle wszystkie zaniedbania, które owocują setkami tysięcy ludzkich dramatów, udaje się rozmaitym podmiotom życia publicznego skutecznie ukrywać za parawanem coraz bardziej absurdalnej politycznej egzaltacji, paralizującej każdą próbę merytorycznej rozmowy.

Uznanie tego, co się wydarzyło – wyrażone m.in. poprzez symboliczne uhonorowanie zmarłych, umożliwienie publicznej ekspresji rozpacz, żalu, tęsknoty, ale i poczucia winy oraz wściekłości – wymagałoby rachunku sumienia o skali radykalnie przekraczającej czarno-

-biały model, w jaki strony politycznego sporu starają się wtłoczyć skomplikowaną i niejednoznaczną rzeczywistość. Wymagałoby także konkretnych działań, wdrożenia pragmatycznych rozwiązań i wzięcia na siebie ryzyka, które się z nimi wiąże. Choćby utraty poparcia tej części społeczeństwa, która z traumą zarażony radzi sobie w jeden z najbardziej klasycznych sposobów, czyli poprzez zaprzeczenie i wyparcie.

Cóż, bez wątpienia łatwiej w poczuciu bycia jedynym sprawiedliwym tropić w internecie ślady międzynarodowego spisku albo w moralistycznym uniesieniu potępiać wszystko, co mówi lub robi polityczny wróg, aniżeli dostrzec, jakie otchłanne aspekty świata, w którym żyjemy, odsłoniła pandemia. I nie chodzi tutaj wyłącznie o siły destrukcji i rozpadu tkwiące w przyrodzie, którą tak chętnie dziś romantyzują zarówno zwolennicy przekonania o jej boskim pochodzeniu, jak i działacze spod znaku radykalnego ekologicznego apokaliptyzmu. Chodzi także, a może przede wszystkim, o bezwład działania instytucji, o lekceważący stosunek do zagrożeń i procedur, słowem, o prymat własnego interesu – także psychologicznego – nad zobowiązaniami, które się względem wspólnoty zaciągnęło.

Bezradność, od której nie ma ucieczki

Przed wszystkim jednak brak wspólnotowych rytuałów oplakiwania, współ-

notowej ekspresji rozpacz, pozwolenie, żeby rozpacz stała się towarem w politycznej grze, a nawet instrumentem w politycznej walce, uniemożliwia nam przeżycie i dostrzeżenie tego, co w nas przekracza wszelkie podziały. Tego, co wymyka się politycznym i światopoglądowym różnicom, co przekracza plemienne wojny, ba, czyni je – jeśli uczciwie na nie z tej perspektywy spojrzeć – spektaklem żalonym i kuriozalnym. Tego, co wspólne wyborcom PiS-u i działaczom PO, zapalonym zwolennikom Konfederacji i aktywistom Razem, katolikom i ateistom, gejom i heteroseksualistom, queerom i cisom, ciemnoskórym, żółtoskórym, białoskórym i czerwonoskórym, w ogóle nam wszystkim, niezależnie od jakichkolwiek tożsamościowych afiliacji, jakie kiedykolwiek wytworzyły natura albo kultura.

Cóż to takiego? Co jest tym najbardziej uniwersalnym wymiarem istnienia, ku któremu zwracamy się w rozpacz po stracie, w niemożliwej do zaspokojenia tęsknocie, w tragicznym pragnieniu, żeby zachować to, czego zachować nigdy nie będziemy mogli? Różnie to można nazywać: podatność na zranienie, kruchość, przemijalność. A może po prostu bezradność – wobec bezwładu i chaosu tkwiącego w świecie, wobec faktu, że nasze ciała ulegają nieuchronnie procesom rozpadu.

Możemy mieć wszak różne predykcje polityczne i estetyczne, możemy zasadniczo inaczej definiować nasze sys-

temy wartości, możemy z innych źródeł czerpać satysfakcję i chęci do życia, możemy spotykać się lub rozmijać w kościołach, niemniej procesy starzenia się w naszych komórkach przebiegają z grubszą tak samo, podobnie zresztą jak procesy namnażania się wirusów. Nawet najbardziej wnikliwy patomorfolog nie będzie w stanie wydedukować, jakie preferencje polityczne, jaki światopogląd, orientację seksualną oraz przekonania religijne żywił podmiot wytwarzany przez rozpostarte na stole sekcyjnym ciało, kiedy jeszcze czynna w nim była przemiana metaboliczna.

Od tej bezradności wprowadzić nie da się uciec, ale da się w niej przynajmniej być razem. Dlaczego zatem tak uporczywie sobie tego odmawiamy? Dlaczego zatem tak uporczywie nam tego odmawiacie, panie prezydencie, panie premierze, pani marszałek, panie marszałku i panie prezesie? Ostatecznie to właśnie na was, jako na reprezentantach całej wspólnoty, także tej jej części, która żywiłowo się z wami nie zgadza, spoczywa to fundamentalne zadanie: uznać realność tragedii, zmierzyć się z jej rozmiarami, podjąć działania mające na celu minimalizowanie zagrożeń.

A nade wszystko – dać sygnał, że pomimo nawet najbardziej radykalnych podziałów i różnic możemy dzisiaj wszyscy na siebie liczyć, możemy na sobie polegać.

© TOMASZ STAWISZYŃSKI

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego:
Michał Kuźmiński, Marcin Żyta
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Maciej Müller, ks. Jacek Prusak SJ,
Piotr Sikora, Artur Sporniak (kierownik)
Kraj: Paweł Bravo, Anna Goc,
Marek Kęskrawiec (kierownik), Małgorzata
Nocuń, Michał Okoński, Marek Rabij,
Krzysztof Story, Przemysław Wilczyński
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski,
Anna Łabuszewska, Marcin Żyta,
Wojciech Pięciak (kierownik)
Historia: Wojciech Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek
(kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Kalina Białejowska, Tomasz Fiałkowski,
Grzegorz Jankowicz, Katarzyna Kubisiowska,
Piotr Mucharski (kierownik), Anita Piotrowska

Reportaż: Anna Goc, Wojciech Jagielski,
Katarzyna Kubisiowska, Mariusz Sepiolo,
Przemysław Wilczyński, Marcin Żyta (kierownik)
Fotoedycja: Edward Augustyn,
Grażyna Makara (kierownik), Jacek Taran
Wydanie internetowe: Ewelina Burda, Michał Kuźmiński
(kierownik), Monika Ochędowska, Krzysztof Story
TP Typografia: Marta Bogucka, Agnieszka Cynarska-Taran,
Zuzanna Kardyś, Andrzej Leśniak (kierownik)
Korekta: Grzegorz Bogdał, Katarzyna Domin,
Sylwia Frolow, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Marketing i Projekty Specjalne: Anna Dziurdzikowska,
Maja Kuczińska (kierownik), Mateusz Gawron,
Marta Filipiuk-Michniewicz, Monika Ochędowska, Anna
Pietrzykowska, Patryk Stanik (kierownik ds. komunikacji)
Redaktor wydań specjalnych: Michał Okoński
Felietony: Wojciech Bonowicz, Paweł Bravo, Jan Kłata,
Anna Krall, Stanisław Manciewicz, Dorota Masłowska,
Bartosz Minkiewicz, Jacek Podsiadło, Zuzanna Radzik,
Andrzej Stasiuk, Tomasz Stawiszyński

Manager IT: Bartłomiej Swojak
Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann,
Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk, Wojciech Bonowicz,
Wojciech Brzeziński, Beata Chomątowska,
s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch,
ks. Andrzej Dragula, Jakub Dymek, Jarosław Flis,
Andrzej Franaszek, ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller,
Agata Kaźmierska, Eliza Kącka, Piotr Kłodkowski,
Małgorzata Kordowicz, Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński,
Dorota Kozłńska, Ryszard Koziołek, Karolina Lewicka,
Magdalena Łanuszka, Stanisław Łubieński, Szymon Łucyk,
Józef Majewski, Paweł Marczewski, Michał P. Markowski,
Rafał Matyja, Marcin Napiórkowski, Magdalena
Nowicka-Franczak, Wojciech Nowicki, Joanna Olech,
Olaf Osica, o. Wacław Oszajca, Jacek Podsiadło,
Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski,
Zuzanna Radzik, Adam Robiński, Dariusz Rosiak,
Joanna Rusinek, abp Grzegorz Rys, Mariusz Sepiolo,
Tadeusz Stawek, Michał Sowiński, Andrzej Stasiuk,
Władysław Stróżewski, Marcelina Szumer-Brysz

WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes),
Piotr Mucharski (wiceprezes),
Maja Kuczińska (wiceprezeska)
Adres wydawcy i redakcji: ul. Dworska 1C/LU 3-4
30-314 Kraków, tel. 668 477 039
redakcja@TygodnikPowszechny.pl
Reklama, promocja: tel. 602 590 416
reklama@TygodnikPowszechny.pl
promocja@TygodnikPowszechny.pl
tel. 668 479 075
prenumerata@TygodnikPowszechny.pl
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski
Druk: Walstead Kraków Sp. z o.o.

REKLAMA



S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego”

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYCH ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIEDZA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

■ PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym” należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem © mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

„Tygodnik Powszechny” dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących!

Więcej informacji na powszech.net/dostepny

MAŁGORZATA

Kordowicz: *Ciernisty krzew*



DOBRY PASTERZ NIEJEDNO MA IMIĘ. W MIDRASZU czytamy: „Pewnego razu, kiedy Mojżesz, nasz nauczyciel, paśł owce [swojego teścia] Jetry, jeden z baranków uciekł. Mojżesz biegł za nim, póki zwierzę nie dotarło do niewielkiego zacienionego miejsca. Tam baranek natknął się na zbiornik wodny i zaczął pić. Gdy Mojżesz zbliżył się doń, rzekł: »Nie wiedziałem, że uciekłeś, ponieważ byłeś spragniony. Jesteś taki zmęczony!«. Potem położył zwierzę na ramionach i niósł je z powrotem. Święty Jedyny powiedział: »Skoro troszczysz się o owce należące do ludzi z tak wielką miłością, będziesz pasterzem Moich owiec, Izraela«”.

Zbiegły z Egiptu Mojżesz, mimo nomadycznego zajęcia, zapewne zdążył przez 40 lat zapuścić korzenie w Midianie. Czas się zbierać, albowiem czeka nań dziejowa misja. Najwyższy – według midrasza – chce mu to zakomunikować na Górze Synaj, przyszłym miejscu nadania Tory. Jednak gdzie Rzym, gdzie Krym? – do docelowego miejsca daleko. „I poprowadził trzodę na drugą stronę pustyni, i doszedł do góry Bożej, do Chorebu” (Wj 3, 1; Cylkow). Według wersji realistycznej nasz nauczyciel długo nie mógł znaleźć dobrego pastwiska i po wielu dniach wędrówki dotarł aż na Pustynię Synajską; według fantastycznej – został w cudowny sposób przeniesiony do podnóża góry. Był jednak tak zajęty swoją pracą, że nie usłyszał Głosu dobiegającego ze szczytu. Przedwieczny przyciągnął więc uwagę Mojżesza w inny sposób: „I ukazał mu się anioł Wiekuistego w płomieniu ognistym, z pośród ciernia. I spojrział, a oto cierni gorzał ogniem, a cierni nie zgorzał” (wers 2).

Teorii, dlaczego Bóg przemawia do Mojżesza akurat spośród ciernia, nie brakuje. Rabin Eliezer twierdzi, że tak jak cierni jest najmniejszym ze wszystkich drzew na świecie, tak Izrael był poniżony i zdeptany w Egipcie. Rabin Jochanan mówi z kolei, że tak jak ciernisty krzew rośnie w pobliżu wody, tak samo Izrael wzrasta tylko dzięki Torze, która jest nazywana wodą, jak jest powiedziane: „O, wy wszyscy spragnieni, pójďte do wody” (Iz 55, 1). Rabin Pinchas ha-Kohen zauważa, że podobnie jak w przypadku ciernistych krzaków gdy ktoś włoży rękę do środka, nic nie czuje, ale gdy ją wyjmuje, zostaje poparzony, tak też gdy Izrael zstąpił do Egiptu, nikt niczego nie zauważył, ale gdy wyszli, „raził Wiekuisty Faraona klęskami wielkimi” (Rdz 12, 17). Ciernisty krzew to nawiązanie do cierni niewoli, w które uwikłani byli wówczas Izraelici, znak, że Najwyższy z nimi współodczuwa. Gorejący cierni także po to, by Mojżesz, który obawiał się, że Egipcjanie zniszczą Izraelitów, przekonał się, że można palić się, a jednak nie spłonąć. Rabin Josef rzecze: uccie się od Stwórcy – pominął wszystkie piękne drzewa i spoczął swą Obecnością na cierniu. ©

O. WACŁAW

Oszajca: Czytajcie *Błogosławieństwa*



„WSZYSTKIE CZĘŚCI CIAŁA, MIMO ŻE JEST ICH WIELE, TWORZĄ JEDNO CIAŁO – pisze Paweł Apostoł do korynckiej gminy. – Tak też jest z Chrystusem. W jednym Duchu wszyscy zostaliśmy ochrzczeni, by stanowić jedno ciało”. A „te części ciała, które

wydają się najsłabsze, są konieczne. Te części ciała, które uważamy za mniej szacowne, otaczamy większym szacunkiem, a wstydlive większą troską. (...) Bóg udzielił większej czci tym częściom, którym jej brakowało i w ten sposób utworzył ciało, aby nie było w nim rozdarcia, lecz aby poszczególne części wzajemnie ze sobą współdziałały (...). Wy jesteście Ciałem Chrystusa, a każdy z was jest Jego częścią”. Wynika z tego, że słowa Jezusa skierowane do jednego z uczniów – „Filipie! Jeszcze Mnie nie znasz, mimo że tak długo jestem z wami? Kto Mnie zobaczył, zobaczył także Ojca” – należy odnieść do Kościoła. A więc kto widzi chrześcijanina, widzi Chrystusa? Nie zawsze. Dlatego pytanie, jakie we wspomnianej rozmowie Jezus postawił Filipowi – „Dlaczego więc prosisz: »Pokaż nam Ojca«? Czyżbyś nie wierzył, że Ja jestem w Ojcu, a Ojciec jest we Mnie?” – również nas dotyczy.

Nanni Moretti, reżyser „Habemus papam”, w wywiadzie dla „El País” powiedział: „Nie zgadzam się ze słynnym zdaniem Buñuela: »Jestem ateistą, dzięki Bogu«. Wręcz przeciwnie, jestem zły, że jestem ateistą. Ale ten papież [Franciszek] wydaje mi się właściwą osobą we właściwym miejscu i czasie. I jest to dla mnie nie do pomyślenia, że w Watykanie znajdują się ludzie, którzy wypowiedzieli mu wojnę. Nie jestem w stanie pojąć, jak jakiś ksiądz, biskup czy kardynał może się nie zgadzać z Franciszkiem. Ja, ateista”. Następnie dodał, że przez pandemię „na powrót zrozumieliśmy, jak trudno żyć bez bezpośredniego kontaktu z drugim człowiekiem. Dostaliśmy lekcję, że trzeba bezwarunkowo działać wspólnie”.

Mając to na uwadze, czy nie powinien nas, chrześcijan, zastanowić fakt, iż spośród wierzących i praktykujących tylko 45 proc. było gotowych w to Boże Narodzenie zaprosić migranta, a więc najsłabszą cząstkę ludzkiej rodziny, do stołu wigilijnego, a spośród niewierzących i niepraktykujących 70 proc.? W takim razie w kim działa Duch Chrystusa i kto jest bardziej podatny na Jego natchnienia? Kto prawidłowo odczytuje znaki czasu, ci z 45, czy ci z 70 proc.? Wreszcie, z racji niedzieli Słowa Bożego: kto jest uważniejszym słuchaczem słowa i kto tym samym skuteczniej pełni wolę Boga? Ci, którzy bez zająknięcia recytują Credo, czy lewicowi ateści?

Papież Franciszek radzi: „Czytajcie Błogosławieństwa, to wam dobrze zrobi. Jeśli chcecie wiedzieć, co konkretnie należy robić, przeczytajcie 25. rozdział św. Mateusza, będący zbiorem zasad, według których będziemy sądzeni”. ©

ABP GRZEGORZ

Ryś:

Właściwy czas i miejsce

Wieczna szczęśliwość
zależy tylko
od jednego (...) które
jest dobrem; a przecież
ani tym dobrem,
ani tamtym, które
można nazwać, poznać
lub wskazać,
lecz nimi wszystkimi
i poza nimi wszystkimi.

FRANKFURTCZYK



Człowiek bardzo
stary, i ten, który ma
umrzeć we wczesnej
młodości, tracą po równi.
Tylko teraźniejszości
bowiem mają być
pozbawieni
(jeżeli można powiedzieć,
że i ją posiadają).

MAREK AURELIUSZ



Wybrał PIOTR SIKORA



ANIŚMY SIĘ OBEJRZELI, a Jezus już nam wydo-
roślał. Liturgia już od
jakiegoś czasu czyni
nas świadkami Jego
pierwszych publicz-
nych słów i czynów. Ewangelista Marek
wprowadza je następującym zdaniem:
„Gdy Jan został uwięziony, Jezus przy-
szedł do Galilei i głosił Ewangelię Bożą”
(Mk 1, 14). Nie sposób nie zapytać: czy to
rzeczywiście właściwy moment i miej-
sce, by inaugurować przepowiadanie?

Oto chwila cynicznego triumfu zła.
„Największy spośród narodzonych z nie-
wiasty” trafia do więzienia przez zawzię-
tość kobiety niegodziwie korzystają-
cej z przywilejów, jakie daje jej władza.
Wkrótce zginie z rozkazu władcy, który
– niewierny zasadom moralnym i sumie-
niu – pozostanie wierny „przysiędze zło-
żonej po pijanemu” (abp Fulton Sheen).
Czy w takim momencie głoszone Słowo
będzie się w stanie przebić przez wypeł-
niający powietrze chichot diabelski?

I co to za miejsce? „Przyszedł do Ga-
lilei...”. Przecież „żaden prorok nie po-
wstaje z Galilei”. Czy może być co do-
brego z Galilei? Przecież nie bez powodu
jest nazywana „Galileą pogan”. Głosić
Słowo w spoganiąlm świecie? Kto Go
doceni?

Słuchałem tych pytań, siedząc na mo-
dlitwie w mojej kaplicy w Łodzi. Odbi-
jały się we mnie aktualnym echem: czy
to jest teraz dobry moment, by wycho-
dzić do świata z Ewangelią? Moment

wielotwarzowego kryzysu Kościoła. Mo-
ment kryzysu jego autorytetu. Moment
niewiarygodności spowodowanej grze-
chami i przestępstwami duchownych.

I czy to jest właściwe miejsce? Miejsce
gwałtownie sekularyzującego się społe-
czeństwa, zwłaszcza młodzieży. Odejścia
z katechezy. Apostazji. Miejsce, w którym
liczby *dominantes* i *communicantes* nie
napawają nas już dawnym optymizmem.

Tak. To jest najlepszy czas. I najlepsze
miejsce. Jezus – zaraz w następnym zda-
niu – mówi o tym czasie: „Czas (dosł. mo-
ment) się wypełnił”. Czym się wypełnił?
Odpowiedź brzmi: czas jest pełny Bożej
obecności. Łaski. Miłości. Aktywności.
Moment pozornego triumfu zła Bóg
wypełnia Sobą. Wtedy też inaczej po-
strzegamy dramat Jana. Kluczem do jego
zrozumienia przestaje być niegodziwość
Heroda, Herodiady i Salome. Staje się
nim moc Ducha Świętego, który czyni
Jana wiernym „do końca”, a jego „krew
czyni posiewem” Kościoła, który się na-
rodzi.

To jest również najlepsze miejsce. Jezus
objawia nam jego tożsamość w słowach:
„Przybliżyło się do was Królestwo Boże”.
Tak. „Galilea pogan” jest „Królestwem
Boga”. Łódź jest przestrzenią królowania
Boga. I Polska też. I Europa. I świat. To kró-
lowanie przychodzi z Jezusem. Dzieje się
na Jego modłę. Ma Jego styl. I formy. Może
dlatego łatwo je przegapiamy, z uporem
wypatrując Go tam, gdzie Go nie ma.

Najlepszy czas. I najlepsze miejsce.
Trzeba je tylko zobaczyć oczyma Jezusa. ©

CZYTANIA LITURGICZNE (23 – 30 I)

3. niedziela zwykła: Ne 8, 2-4a. 5-6. 8-10;
Ps 19; 1 Kor 12, 12-30; Łk 1, 1-4; 4, 14-21;
Poniedziałek: 2 Sm 5, 1-7. 10; Ps 89; Mk 3, 22-30;
Wtorek: Dz 22, 3-16 albo Dz 9, 1-22;
Ps 117; Mk 16, 15-18;
Środa: 2 Tm 1, 1-8 albo Tt 1, 1-5;
Ps 96; Mk 4, 1-20;

Czwartek: 2 Sm 7, 18-19. 24-29;
Ps 132; Mk 4, 21-25;
Piątek: 2 Sm 11, 1-4a. 5-10a. 13-17;
Ps 51; Mk 4, 26-34;
Sobota: 2 Sm 12, 1-7a. 10-17; Ps 51; Mk 4, 35-41;
4. niedziela zwykła: Jr 1, 4-5. 17-19; Ps 71;
1 Kor 12, 31 – 13, 13; Łk 4, 21-30.

KRAJ

JA WAS UCZYĆ KAŻĘ

Przerwane dzieciństwo, rodzinne tragedie, błyskawiczna kariera. Życie Przemysław Czarnka to ciąg dramatycznych zwrotów akcji. Ukształtowały one człowieka, który dziś formuje polskie dzieci i młodzież.

MAREK KĘSKRAWIEC



TO MIAŁ BYĆ NIETYPOWY WYWIAD. Bez pytań o reformę edukacji, lockdown w szkołach, mniejszości seksualne, Strajk Kobiet. Z ministrem edukacji i nauki chcieliśmy porozmawiać o jego autorytetach, lekturach, przyjaźniach, pasjach, o rodzinnym domu, śmierci rodziców. O wszystkim, co sprawiło, że jest tym, kim jest. Początkowo byłem zaskoczony, gdyż Anna Ostrowska, dyrektor Departamentu Informacji i Promocji Ministerstwa Edukacji i Nauki, przekazała mi zgodę ministra – do ustalenia pozostawał tylko termin. To była połowa września, po której zwała się la wina „przeszkód”. Przygotowania do początku roku akademickiego, inauguracje na uczelniach, reforma szkolnictwa, Boże Narodzenie, Nowy Rok. W końcu służby ministra zamilkły. W tym czasie Przemysław Czarnek wielokrotnie wystąpił w mediach publicznych i w Radiu Maryja.

Śmierć rodziców

Przemysław Czarnek urodził się w 1977 r. w wielkopolskim Kole, ale dzieciństwo spędził na wsi, w Goszczanowie niedaleko Sieradza. Tam też w ostatnie Święto Niepodległości odebrał tytuł honorowego obywatela gminy. Podróże po Polsce lokalnej są od lat jego pasją i zarazem źródłem popularności. Uwielbia takie spotkania, może na nich brylować, opowiadać żarty, dziękować za poparcie, dawać odpór „brukselskiej zgniliźnie”. „To właśnie w Goszczanowie kończyłem szkołę podstawową i wychowywałem się do 15. roku życia. Ogromnie dziękuję radnym za jednogłośnie decyzję, a panu wójtowi za inicjatywę i to wyjątkowe wyróżnienie” – mówił minister, by po chwili delektować się występem małych tancerzy z gminnego ośrodka kultury, orkiestry dętej Heli-kon oraz zespołu śpiewaczego Znad Śwędni.

Powrót do Goszczanowa nie był jednak powrotem do sielskich wspomnień z dzieciństwa. To okres naznaczony głęboką, osobistą traumą. Ojciec Przemysława Czarnka był zawodowym kierowcą, miał nawet własną

ciężarówkę, ale zachorował na stwardnienie rozsiane. Matka pracowała jako pielęgniarka, a po upadku komuny prowadziła sklep „1001 drobiazgów”. Ona też zachorowała, na raka.

– Mieszkali naprzeciwko szkoły – wspomina Aleksandra Maryniaczyk, dyrektorka podstawówki w Goszczanowie. – Przyszłam uczyć w 1983 r., a rok później pojawiła się klasa Przemka. To była wybitna grupka dzieci, chyba najlepsza w naszej historii, a on zawsze był w pierwszej trójce w szkole. Kulturalny, pogodny. Widać było, że z dobrego domu pochodzi.

Dyrektor Maryniaczyk podkreśla, że rodzice bardzo wspierali całą trójkę swoich dzieci. Odeszli po cichu, we wsi do dziś ludzie pamiętają, że długo nie dawali po sobie poznać, że dzieje się cośkolwiek złego.

– Okropna tragedia, niewyobrażalna – wspomina wójt Goszczanowa, 58-letni Krzysztof Andrzejewski. – Przemek był młodszy ode mnie. Bystry chłopiec, dusza towarzystwa, pamiętam, jak się uśmiecha i krzyczy z daleka „dzień dobry”. Bardzo mu współczuliśmy.

Gdy rodzice umierali, Przemek, najstarszy z trójki rodzeństwa, nie mieszkał już w Goszczanowie. Rodzice chcieli, by się kształcił, więc posłali go do Lublina, pod skrzydła o 22 lata starszego wuję, księdza Jerzego Pałuckiego. Niecałe dwa lata wcześniej wrócił on ze studiów w Rzymie i trafił na Wydział Teologii KUL. Swoją pasję, czyli badanie dorobku Ojców Kościoła, musiał po śmierci rodziców Przemka połączyć z nieplanowaną rolą ojca. Jakoś sobie poradził, został profesorem, a przez sześć lat pełnił nawet funkcję dziekana.

Czarnek w Lublinie poszedł do II LO, które wówczas uchodziło za najlepsze w mieście. Jedną z emerytowanych nauczycielek wspomina, że nie lubił się przemęczać, ale widać było, że jest zdolny i sprytny. Wiedział, kiedy się uczyć, więc na maturze poszło mu bardzo dobrze.

– O śmierci jego rodziców rozmawiało się w szkole raczej po cichu – opowiada były kolega z równoległej klasy. – Przemek starał się trzymać gardę, nie rozsypać się. Myślę, że bardzo pomogła mu wtedy wiara w Boga. Kiedy jednak patrzę na to, co mówi dziś, jestem zdumiony. On czasem

zdradzał żylkę awanturniczą, miał poczucie humoru, potrafił się spierać, ale na co dzień był raczej nieśmiały, nie wygłaszał żadnych radykalnych ocen.

Tylko dwa razy otworzył się na moment przed światem. Pierwszy: w grudniu 2015 r., po tym jak został wojewodą. W rozmowie z „Kurierem Lubelskim” stwierdził, że już w podstawówce marzył o studiach na KUL: „Prawo interesowało mnie od zawsze. W prawie wszystko jest poukładane, opisane, a na dodatek ma to ogromny wpływ na ludzkie życie. Nie ukrywam, że myślałem o prawie w kontekście dobrej pracy w przyszłości. Może to zabrzmieć patetycznie, ale wybrałem też prawo, bo chciałem pomagać ludziom, a taka jest przecież rola prawnika”.

Wspomniany wyżej znajomy z czasów liceum uważa, że fascynacja Czarnka „poukładanym prawem” była raczej próbą znalezienia czegoś stałego w świecie, który mu się rozsypał: – W czasie, gdy myśmy przeżywali naszą „durną” młodość, on musiał wydorosnąć. I nawet jeśli się kontrolował, by nie okazywać smutku, to nie potrafił sobie wyobrazić, co czuł.

Już w trakcie studiów musiał stanąć finansowo na nogi. Jednak pracę udało mu się znaleźć nie w Lublinie, ale w Zamościu, w urzędzie miasta. Tam na energicznego studenta prawa zwrócił uwagę Marek Grzelaczyk, ówczesny prezydent miasta, i poznał go z postacią, bez której Czarnek zapewne nie zrobiłby kariery politycznej.

Sławomir Zawislak był na początku wieku działaczem ZChN, ale szybko przeniósł się do świeżo powstałego Prawa i Sprawiedliwości. To przy nim Czarnek zbierał pierwsze doświadczenia polityczne, choć zupełnie nieudane. W 2002 r. kandydował bowiem do lubelskiej rady miasta z komitetu Prawo i Rodzina. Zdobył 0,42 proc. głosów, czyli dokładnie 61.

Lepiej szło mu w życiu prywatnym. Poślubił Katarzynę, która później zrobiła doktorat i została asystentką w Instytucie Nauk o Ziemi KUL. „Poznaliśmy się we Włoszech. Romantyczne małżeństwo... Jak byliśmy młodzi i jeszcze studiowaliśmy, to jak wielu studentów, dorabialiśmy sobie w wakacje. Ja pracowałem w jednym hotelu, żona pracowała w restauracji w drugim hotelu. No i tam się nasze oczy spotkały” →

Wojewoda Przemysław Czarnek podczas obchodów Dnia Strażaka. Lublin, maj 2017 r.

→ – opowiadał Czarnek „Super Expressowi” w drugim z wywiadów, w których zdradził cokolwiek na temat swego prywatnego życia. „Ja już tam byłem trzeci lub czwarty rok z rzędu. Kasia przyjechała pierwszy raz i od razu bardzo mi się spodobała. Ale ja byłem typem chłopca bardzo nieśmiałego, więc trochę to trwało, zanim bliżej się poznaliśmy” – opowiadał śmiejąc się, że musiał aż do Włoch jechać, żeby poznać „dziewczynę z Bychawy”.

Przełomem okazał się rok 2005. Sławomir Zawisła został posłem PiS. Czarnek był wtedy od dwóch lat asystentem w Katedrze Prawa Konstytucyjnego KUL, gdzie trzy lata później otrzymał tytuł doktora za pracę o zasadach państwa prawa i sprawiedliwości społecznej, a potem zrobił habilitację na podstawie rozprawy o wolności gospodarczej jako filarze społecznej gospodarki rynkowej, w której zresztą jawił się jako gospodarczy liberał, daleki od polityki społecznej PiS.

– Był ambitny, kreatywny, pełen inwencji – wspomina początki znajomości poseł Zawisła. – Kiedy zaczął robić karierę na uczelni, zaproponowałem mu współpracę, która trwała 13 lat. Wspierał mnie, pisał opinie prawne oraz interpelacje, choć dla prawnika nie były to atrakcyjne finansowo zlecenia. Widać było wyraźnie jego żylkę obywatelską i to, jak bardzo zależy mu na regionie.

Wojewoda bez zdjęcia

Awans 38-letniego Czarnka na wojewodę lubelskiego w grudniu 2015 r. był ogromnym zaskoczeniem. Stawiano na Krzysztofa Michałkiewicza, lidera partii w okręgu, albo na Roberta Gmitruczuka, szefa biura najbogatszego senatora PiS, Grzegorza Biereckiego. Okazało się jednak, że nawet w tak mocnej konkurencji zwyciężyły wpływy Zawisłaka, którego beniaminkiem Czarnek był już od dziecięciu lat. Sławomir Skomra, autor przytoczonego artykułu z „Kuriera”, dziś reporter lubelskiego „Dziennika Wschodniego”, przypomina sobie, że gdy gruchnęła w mieście wieść, iż to Czarnek ma zostać wojewodą, w żadnej redakcji nie było nawet jednego jego zdjęcia. Nie było go też na KUL, gdzie pracował.

– On jeszcze kilka lat wcześniej funkcjonował na obrzeżach polityki, znano go trochę w Zamościu, ale w Lublinie był anonimowy – wspomina Skomra. – Zrobił na nas jednak dobre wrażenie, bezpośredni, z poczuciem humoru. Tworzył

w kontaktach z dziennikarzami swobodną atmosferę i przede wszystkim był dla nas dostępny. To naprawdę rzadkość wśród osób na podobnych stanowiskach.

Skomra przypomina sobie, jak pewnego dnia pomylił miejsce konferencji prasowej i zamiast pod siedzibę PKP przyszedł do urzędu wojewódzkiego. Natknął się tam na wychodzącego z budynku Czarnka, który niewiele myśląc zaprosił dziennikarza do auta i po prostu go podwiózł.

– On umie wykorzystywać media, w bezpośrednim kontakcie stara się być uprzejmy nawet wobec dziennikarzy z niechętnych mu redakcji, przez co trudniej go zaatakować. Dobrze wygląda, mówi barwnie, dba o puenty, łatwo się go cytuje. Poza tym uwielbia być w centrum uwagi, dlatego konferencje odbywały się co najmniej raz w tygodniu, a biuro pra-

sowe zasypywało redakcje informacjami, co robi, gdzie pojechał, jakie programy wdraża. Przyćmił wszystkich polityków PiS w regionie – opowiada Skomra, ale zaznacza zarazem, że swoje drugie oblicze Czarnek zaczął pokazywać już po dwóch tygodniach, gdy usunął z korytarza wizerunki wojewodów sprzed 1989 r., tłumacząc, że urząd nie będzie robił za muzeum PRL. Po rozprawie z komunistami z gabinetu wojewody wyjechała też flaga UE.

– Najpierw był miły, onieśmielony, ale szybko przekonaliśmy się, że mamy na pokładzie niedojrzałego samca alfa, który wszystko wie lepiej i nie musi się uczyć urzędu – mówi urzędnik średniego szczebla, który przetrwał sześciu wojewodów. – Zrobił się bardzo „bezpośredni”, dumnie się nosił, spoglądał pańskim okiem, protekcjonalnie poklepywał po ramieniu lub karciał ironiczną uwagą.

O co chodzi w „lex Czarnek”

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

Zmiany firmowane przez szefa resortu edukacji i nauki to powrót ze szkoły publicznej do państwowej.

– **GIMNAZJÓW BARDZIEJ ZLIKWIDOWAĆ SIĘ NIE DA**, ale zawsze można zlikwidować szkolną autonomię – mówi Marek Pleśniar z Ogólnopolskiego Stowarzyszenia Kadry Kierowniczej Oświaty, pytany, po co zawiadowcy polskiej edukacji tak zasadnicze zmiany w ustawie Prawo oświatowe.

W tym sensie „lex Czarnek” zawdzięcza istnienie żelaznej zasadzie sprawowania władzy nad oświatą: niemal każda kolejna ekipa musi przybić swoją pieczęć na systemie. A że w obecnej ekipie honor ten przypadł już likwidatorce gimnazjów Annie Zalewskiej, to ambitny Czarnek zapragnął stworzyć własną reformę. O co w niej chodzi?

– Dyrektorzy albo się zmieniają, albo ich się zmieni – mówi Pleśniar o pakiecie zmian przyjętych przez Sejm. – Istotą tej nowelizacji jest zarządzanie strachem. Ludzie odpowiedzialni, kreatywni, albo odchodzą,

albo zapowiadają, że wkrótce odejdą. Niektórzy się dostosowują, inni trwają, przechodząc ciężkie kryzysy, odwiedzając psychiatrów. Na naszych forach dyrektorzy wymieniają się nazwiskami lekarzy i nazwami leków.

Skąd te reakcje? W narracji resortu „lex Czarnek” to zmiany wręcz niewinne. „Ustawa daje tylko [kuratorom] podobne uprawnienia do tych, jakie miały organy samorządu terytorialnego, by reagować na nieprawidłowości, które mogą pojawić się w szkołach” – mówił w Sejmie wiceminister Dariusz Piontkowski. Krytycy twierdzą co innego – to powrót do szkolnego ustroju z czasów słusznie minionych, zamiana szkoły publicznej na państwową. Bo to kuratoria dostaną kilka narzędzi pozwalających im sprawować nad dyrektorami niepodzielną kontrolę. Narzędzie pierwsze: kurator będzie mógł wnioskować do organu prowadzącego o odwołanie (bez wypowiedzenia) dyrektora, jeśli ten nie zrealizuje pokontrolnych zaleceń.

Marek Pleśniar prorokuje: – W praktyce może być tak. Przychodzi do szkoły wizytator, założy, że jest to szkoła dowodzona

Urzędnik wspomina, że Czarnek był zawiedziony, jak niewiele może. Okazało się bowiem, że w obecnych czasach funkcja wojewody jest bardziej reprezentacyjna, a kasę trzymają marszałek województwa i prezydenci miast. Bardzo mu się to nie podobało, więc zaczął się rozpychać, łącząc rolę ważnego urzędnika oraz trybuna ludowego i aktywisty.

Niecałe pięć miesięcy po objęciu stanowiska Czarnek zorganizował obchody 3 Maja. Chciał je zablokować KOD, ale namówieni przez wojewodę działacze prawnicy uniemożliwili zakłócenie oficjalnego pochodu wychodzącego z katedry. Urzędnicy byli zaskoczeni, że ich szefa zajmuje „uliczna polityka” i że jest „jak dziecko” podeksytowany. To był jednak tylko początek, a wojewoda stawał się coraz bardziej

kontrowersyjny. W całej Polsce zrobiło się o nim głośno w 2018 r., z okazji Marszu Równości, który przeszedł ulicami Lublina. Czarnek stwierdził wtedy, że takie inicjatywy są promocją „zбочeń, dewiacji i wynaturzeń”. Rok później uznał, że podobne manifestacje powinny być zakazane, po czym odznaczył samorządowców inicjujących uchwały o strefach wolnych od LGBT – medalami i dyplomami za obronę rodzin przed destrukcyjnymi ideologiami.

Sławomir Skomra wspomina, że pierwsze ostre wypowiedzi Czarnka na temat LGBT+ to był dla miejscowych dziennikarzy lekki szok. Z tej strony nikt go w Lublinie ani Zamościu nie znał. Dziwili się znajomi z dzieciństwa, kiedy uchodził za chłopca grzecznego aż do przesady, a także naukowcy oraz studenci z KUL.

– Nie był mistrzem formy i zdarzało mu się rzucić mało subtelny żart – mówi jedna z jego byłych studentek. – Ale nigdy nie zdradzał obsesji na temat gejów, wydawał się dość swobodny w obyciu. Nie kwestionuję szczerości jego poglądów, niemniej widać było wyraźnie, że gdy temat chwycił, a o „występach Czarnka” zrobiło się głośno, złapał wiatr w żagle i brnął prosto w fale.

Ale zanim wypłynął w Warszawie, opłynął wszystkie akweny w okolicy jako złota rybka. Kiedy inni politycy prawicy przesiadywali w gabinetach, on zdobywał teren.

– Uwielbiał wieś – mówi cytowany już lubelski urzędnik. – Przyjeżdżał i rozmawiał z ludźmi swobodnie, bez tej sztywnej „spinki” towarzyszącej politykom. Umiał słuchać i miał dobrą pamięć, wiedział, jakie są problemy poszczególnych gmin. →

przez dyrektora nie lubianego przez nadzór. Przybywa z tezą, że „u was źle się dzieje”, ubraną w pytanie, np. czy uczniowie są traktowani właściwie, albo czy jest zrównoważony plan lekcji. Potem wydaje zalecenia, których nie da się w pełni wykonać, zwłaszcza w dobie pandemii i przepełnionych szkół. To już wystarczy do odwołania.

TO JEDNAK WCALE NIE NAJCIĘŻSZE ARMATY

wymierzone w dyrektorów. Większy postrach budzi nieprzyjęta jeszcze przez Sejm nowelizacja zwana „lex Wójcik” (od byłego wiceministra sprawiedliwości Michała Wójcika), wprowadzająca możliwość „odpowiedzialności karnej za przekroczenie uprawnień lub niedopełnienie obowiązków w zakresie opieki lub nadzoru nad małoletnim, powodujących szkodę”.

– W praktyce może to oznaczać, że jak dziewczyna z chłopakiem dokonają w toalecie „innych czynności seksualnych”, albo zdarzy się nieszczęście na wycieczce, to do więzienia pójdzie dyrektor – komentuje Pleśniar.

Nawet jeśli ten radykalny przepis nie wejdzie w życie, jest jeszcze rymujący się z nim element „lex Czarnek”: kurator będzie mógł zawiesić dyrektora szkoły „w sprawach niecierpiących zwłoki związanych z zagrożeniem bezpieczeństwa uczniów”. „Trudno nam znaleźć powody, dla których w ramach nadzoru pedagogicznego mogłyby zachodzić »sprawy niecierpiące zwłoki« inne niż niezgodność poglądów kuratora

i dyrektora na wybrane działania szkoły” – komentowało zgryźliwie zapis OSKKO. Wreszcie narzędzie ostatnie, propagandowo najmocniejsze. Refren niemal każdej wypowiedzi ministra Czarnka, święcie przekonanego o szkodliwości wielu – w wyobrażeniu polityków PiS – organizacji pozarządowych. W ujęciu krytyków zmian – wyraz obsesji szefa resortu edukacji i nauki, zafiksowanego na obronie szkół przed edukacją seksualną.

– Zgodnie z aktualnym stanem prawnym na zajęcia prowadzone przez organizację pozarządową musi wyrazić zgodę rada rodziców – mówi Marek Pleśniar. – Podam przykład, choć z oczywistych powodów nie przytoczę ani szkoły, ani lokalizacji. Otóż grupa rodziców uczniów z klas 6, 7 i 8 poprosiła dyrektora o organizację w szkole dodatkowej, prowadzonej przez organizację, edukacji seksualnej. I tak się stało. Po zmianach nie będzie o podobnych sytuacjach mowy. Teraz będzie istniał obowiązek przedłożenia w kuratorium na dwa miesiące przed terminem zajęć ich programu oraz materiałów, które zostaną wykorzystane.

– To oczywiście nic innego jak cenzura bądź wymuszanie autocenzury, bo wielu dyrektorom nie będzie się chciało kopać z koniem i np. zapraszać przedstawicieli WOŚP, by prowadzili w szkole kurs pierwszej pomocy, co czynili już w tysiącach placówek – dodaje działacz OSKKO.

– Albo inną organizację, która mogłaby

przeprowadzić zajęcia psychologiczne, będące prewencją samobójstw, których w Polsce wśród młodych ludzi jest rekordowo dużo.

CO MOGĄ STRACIĆ DYREKTORZY, a w konsekwencji też uczniowie, opowiada Izabela Leśniewska, która ze swojej 26-letniej praktyki dyrektorskiej w Publicznej Szkole Podstawowej nr 23 w Radomiu zapamiętała kilka ważnych wizyt organizacji pozarządowych.

– Pierwsza odbyła się kilkanaście lat temu, gdy mieliśmy dziewczynkę zakażoną wirusem HIV – opowiada Leśniewska. – Chodziło o nauczanie tego dziecka i pozostałych, jak w tej sytuacji bezpiecznie funkcjonować. Druga historia: w rejonie szkoły otwarto ośrodki dla uchodźców. Dzieci stamtąd, pochodzące z Czeczenii, Dagestanu, Inguszetii, zaczęły chodzić do naszej placówki, pojawiły się napięcia i konflikty. Bardzo nam wtedy pomogło wsparcie Polskiej Akcji Humanitarnej. Były też w naszej szkole dzieci romskie, a w ślad za nimi działalność Centralnej Rady Romów, organizującej w naszej placówce zajęcia z wielokulturowości. Miewaliśmy też uczniów deklarujących się jako osoby transpłciowe czy homoseksualne, uczniów w kryzysach psychicznych. Wszystkie te historie łączy jedno: reagować trzeba było tu i teraz, a nie za dwa miesiące. Gdy wejdzie w życie „lex Czarnek”, taka reakcja będzie już w zasadzie niemożliwa. ©P

→ Uchodził za pracowitego w partii, choć nawet do niej nie wstąpił.

Jeszcze dziś na YouTube można znaleźć dziesiątki filmów dokumentujących te „gospodarskie wizyty”. Czarnek otwiera ronda ku czci cichociemnych, organizuje uroczystości ku chwale żołnierzy wyklętych, otwiera posterunki policji, jeździ do szkół, na otwarcia przedszkoli i żłobków, na uroczystości maryjne, na święto plonów, dożynki, pogrzeby weteranów, spotyka się z kołami gospodyń, otwiera wyremontowane kaplice.

– Były setki spotkań, nikt przed nim tego nie robił – opowiada Skomra. – Kiedy ludzie z centrali PiS objeżdżali lubelski okręg, od razu spozstrzegali, jakie tłumy gromadzą się wokół Czarnka i jak bezpośredni kontakt ma z ludźmi.

Na wszystkich imprezach wojewoda zawsze ze szczególną atencją witał duchownych (ulubiony zwrot: „wielce szanowny księże proboszczu”), którym współczuł „nagonki” ze strony środowisk antykościelnych. Aż zaczął być zapraszany do Radia Maryja.

Na warszawskich salonach

Aktywna postawa Czarnka w regionie, nieustająca kampania przeciwko środowiskom LGBT+ oraz „przywiązanie do tradycji” i nieustanne zwarcia polityczne spodobały się w centrali PiS, gdy szukano kandydata na stanowisko ministra edukacji, które zwalniał (pozostając jednak w resorcie) niezbyt charyzmatyczny Dariusz Piontkowski. W przeciwieństwie do niego Czarnek nie bał się konfliktów z ZNP, mówił swobodnie, patrzył w oczy dziennikarzom, był radykalny, ale też lojalny. Szczególne wrażenie miał zrobić na Beacie Szydło i Elżbiecie Witek.

– Znałem jego werwę, wyraziście poglądy i właśnie dlatego byłem za tym, żeby został ministrem edukacji – przyznaje prof. Ryszard Terlecki, najbliższy współpracownik Jarosława Kaczyńskiego.

Ważne było również to, że Czarnek robił wrażenie swoim dorobkiem na uczelni. Zrobił tam szybką karierę, doktorat, habilitację. Był nawet dość lubiany przez studentów.

– Zapisalam się do niego na zajęcia, bo był dobrym ćwiczeniowcem. Nie tworzył dystansu, atmosfera była przyjazna. Już wtedy był jednak trochę przemądrzały,



ARKADIUSZ HAPKA DLA „TP”

Wypowiedzi Czarnka na temat LGBT+ wywołały w Lublinie i Zamościu szok.

Nikt go od tej strony nie znał. Dziwili się znajomi z dzieciństwa, kiedy uchodził za chłopca grzecznego do przesady, a także naukowcy i studenci z KUL.

butny i przekonany o swej wyższości – wspomina Anna, dziś menedżerka w firmie medycznej.

– Mogłabym go określić słowami „równy chłop” – dodaje jej koleżanka z uczelni. – Bo z jednej strony był prostolinijny i na zajęciach rozmawiało się z nim dobrze. Ale jednocześnie był z niego taki... no właśnie... chłop. Trochę zbyt rubaszny, jego krytyczne uwagi bywały chamskie. Brakowało mu ogłady.

Brak ogłady nie okazał się przeszkodą w nominacji na stanowisko ministra. Ważniejsze było też to, że Czarnek miał świetnego protektora. Promotorem jego pracy magisterskiej i doktorskiej był znany w środowiskach PiS wybitny konstytucjonalista z KUL, prof. Dariusz Dudek, którego szczególnie cenił Lech Kaczyński. Kiedy więc prezydent wszedł w spór z Donaldem Tuskiem o to, kto ma prawo reprezentować Polskę na posiedzeniach Rady Europejskiej – to właśnie prof. Dudek uczynił swym reprezentantem na rozprawie w Trybunale Konstytucyjnym. Dudek był też reprezen-

tantem Andrzeja Dudy w jego konflikcie z Sądem Najwyższym o to, czy powoływanie sędziów jest wyłączną kompetencją głowy państwa.

Czarnek podobał się zarówno na Nowogrodzkiej, jak i na Krakowskim Przedmieściu. Przykładowa rodzina, dwójka dzieci, dom pod Lublinem (200 m kw.), ogród, który Czarnek rzekomo pielęgnuje sam, bo uważa, że psychika najlepiej odpoczywa przy pracy fizycznej. Opowiada też o regularnej lekturze Pisma Świętego i o miłości do jazdy na rowerze. Jego refren zaś, czyli kruczata przeciwko LGBT+, został uznany w otoczeniu Andrzeja Dudy za jedną z głównych osi podziału wyborców podczas kampanii prezydenckiej w 2020 r. PiS liczył, że dzięki temu przybędzie mu głosów, po czym dokooptował do wąskiego sztabu Dudy nie kogo innego, tylko Czarnka. Ten poszedł do TVP Info i powiedział: „Brońmy rodziny przed tego rodzaju zepsuciem, deprawacją, absolutnie niemoralnym postępowaniem, brońmy nas przed ideologią LGBT+ i skończmy słuchać tych idiotyzmów o jakichś prawach człowieka czy o jakiejś równości. Ci ludzie nie są równi ludziom normalnym i skończmy z tą dyskusją”.

– Wątpię, czy ostatecznie przysporzyło to głosów Dudzie, bo w końcu Czarnka ukryli – mówi jeden z małopolskich polityków Porozumienia. – Pewnie zrozumieli, że dla wielu ludzi wypowiedzi, które jako uchodziły ministrowi, były już niegodne głowy państwa. No i ta charyzma. Cóż, Czarnek potrafi mocniej porwać tłum niż Duda.

Na razie minister edukacji kwitnie. Kaczyński wybacza mu chamskie uwagi, wojny wypowiedziane uczniom, nauczycielom i rodzicom, gdyż uważa go za żołnierza na froncie. Froncie być może najważniejszym, bo odpowiadającym za kształtowanie przyszłych pokoleń, a na tym punkcie prezes ma obsesję. Prezes docenia też upór Czarnka, a zwłaszcza jego odporność na ataki i charyzmę, której w ostatnich miesiącach wyraźnie brakuje innym ministrom. Czarnek jest też wygodny, bo swoim radykalizmem może odbierać głosy ludziom Ziobry. O ile nie zgubi go pewność siebie i nie zardzie z prawdziwym samcem alfa, będzie ministrem do końca rządów PiS. I będzie wychowywał nasze dzieci.



DOMINIK GAJDA / AGENCIA WYBORCZA.PL

Piekarnia Agata w Jastrzębiu-Zdroju. Opłaty za energię w tym biznesie wynoszą ponad połowę wszystkich kosztów. 8 stycznia 2022 r.

Strefa zgniotu

MAREK RABIJ

W konstrukcji aut niektóre miejsca osłabia się celowo po to, żeby chroniły kierowcę, same ulegając zmięczeniu. W pierwszych dniach stycznia właśnie tak czują się drobni polscy przedsiębiorcy.

NIE WSZYSCY CHCĄ ROZMAWIAĆ. – A co mam panu powiedzieć? Głowy teraz nie mam na te wywiady, proszę tu już nie dzwonić. Do widzenia – wybuchła do słuchawki jeden.

– Pewnie przesadzam, ale jak zacznę się po mediach skarżyć, to pewnie się od razu zainteresuje nami skarbowka, więc sam pan rozumie – uprzejmie odmawia właścicielka innej firmy.

Kolejni uciekają w ironię.

– Może zrobimy tak, że pan prześle te pytania najpierw do gazowni i zakładu energetycznego, potem zapyta w urzędzie skarbowym, a jak przyjdą odpowiedzi, to zadzwoni pan do mnie znowu.

Wielu z nich od niedawna mówi o sobie z przekąsem „bieda-przedsiębiorcy”. Oczywiście, w kontekście drastycznych podwyżek cen gazu i prądu oraz zmian

podatkowych zawartych w Polskim Ładzie, choć nie tylko. Na początku stycznia właśnie tak nazwała ich Anna Maria Żukowska, co ciekawe, posłanka Lewicy. „Gospodarce zwyczajnie opłaca się promocja zatrudnienia w dużych firmach, a nie głaskanie po głowie bieda-firm” – wypaliła w mediach społecznościowych parlamentarzystka, w zasadzie wyśmiewając minorowe nastroje wśród właścicieli małych sklepów, drobnej gastronomii czy punktów usługowych. W kwestii tego, co się naszemu PKB bardziej opłaca, można mieć oczywiście zdanie zbliżone do posłanki Żukowskiej i polityków PiS, którzy też uwielbiają fantazjować o wielkich narodowych firmach-czempionach. Jednak dla ukąszonych przez taką wizję polskiej gospodarki właściciele „bieda-firm” mają prostą radę: niech w takim razie spróbują się ostrzec na Orlenie, a bułki na śniadanie niechaj dostarcza im KGHM.



Gaz podniósł ciśnienie

→ Nowy rok zaczął się w małych firmach jak u Hitchcocka. Nie trzeba uważnie śledzić mediów, by wiedzieć, że przez kraj przetacza się fala drakońskich podwyżek taryf energetycznych dla przedsiębiorstw – przy czym nie ma znaczenia, czy chodzi o wielki zakład przemysłowy, który gaz źłopie jak smok, czy o lokalną firmę, która zaopatruje w chleb okolicznych mieszkańców. Zapowiedziana przez rząd obniżka cen gazu o 25 proc. dla klientów biznesowych, obowiązująca od 14 stycznia do 28 lutego, niewiele zmienia.

Piekarnia Kuźmiuk z Lublina od stycznia miała płacić za gaz 877 proc. więcej. Na razie – jak mówi współwłaścicielka Katarzyna Goławska – szefostwo firmy musi ochłonać i na spokojnie oszacować, czy przy takich stawkach da się w ogóle zarabiać na wypieku chleba. „Prosimy nie pytać nas w najbliższym czasie, dlaczego pieczywo zdrożało” – apeluje do klientów w mediach społecznościowych. Po obniżce za gaz będą płacić nie 79, ale 59,25 gr za jednostkę. W zeszłym roku było to 8 gr.

Piekarnie zdają się być w szczególnie trudnym położeniu. Opłaty za energię w tym biznesie sięgają nawet 60 proc. wszystkich kosztów. Marże na pieczywie, jak na większości produktów spożywczych, są niewielkie. Na dodatek wiele zakładów kupiło sobie dostęp do półek w hipermarketach zawierając ryzykowne, długoterminowe umowy na dostawy z gwarancją stałej ceny. Teraz sieci handlowe nie chcą słyszeć o zmianie warunków lub zmuszają piekarzy do pokrycia 75 proc. podwyżki cen energii, co w najlepszym razie oznacza sprzedaż pieczywa po kosztach produkcji. Jak niesie branżowa wieść, kilka dużych piekarni pracujących na wyłączność dla wielkich sklepów w ciągu najbliższych tygodni zmieni właściciela. Przejmą je duże sieci handlowe. Jeśli zaś rząd dotrzyma obietnic i wprowadzi ceny maksymalne na niektóre produkty spożywcze – na liście niemal na pewno znajdzie się wtedy pieczywo – lista bankrutów wydłuży się jeszcze bardziej.

Wielu drobnych przedsiębiorców woli więc nie czekać, aż wypracują poważne długi. Administracja zamku w wielkopolskim Rydzynie jeszcze przed świętami do odwołania zawiesiła rezerwacje i wyłączyła ogrzewanie w całym budynku: w połowie listopada dostawca gazu wystawił obiektowi fakturę z nową taryfą na ponad

Piekarnie zdają się być w szczególnie trudnym położeniu.

Opłaty za energię w tym biznesie sięgają nawet 60 proc. wszystkich kosztów.
Marże na sprzedawanym pieczywie są niewielkie.

30 tys. zł; rok wcześniej przy identycznym zużyciu kosztowało to firmę 12 tys. zł.

Agnieszka Stawiów, właścicielka pięciu domków letniskowych na Mazurach, dostała jeszcze większą podwyżkę.

– Wychodzi na to – cedi znad faktury – że w skali roku koszty samego ogrzewania wzrosną z 30 do 108 tys. zł. A przecież w górę idzie też prąd! Od zeszłorocznych wakacji stawka za kilowatogodzinę skoczyła pięciokrotnie. W sezonie muszę również zatrudnić czterech-pięciu pracowników do bieżącej obsługi domków i im też trzeba będzie w tym roku zapłacić więcej niż dotychczas. W tej chwili najrozsądniejszym rozwiązaniem wydaje mi się sprzedaż ośrodka, bo po zsumowaniu kosztów wychodzi mi, że w najlepszym razie zarobimy tylko na bieżącą obsługę kredytu, który wzięliśmy na wykończenie domków. Mamy z mężem oszczędności, ale nie będziemy ich marnować na ratowanie biznesu, który miał być naszym sposobem na emeryturę, a już przestaje się dopinać. Oboje mamy dobre posady w Warszawie. Widocznie nie jest nam dane być przedsiębiorcami – kwituje.

Niestety, nie wszyscy mikroprzedsiębiorcy są w równie komfortowej sytuacji. Z badań przeprowadzonych jesienią ub. roku przez Główny Urząd Statystyczny można wręcz wyciągnąć wniosek, że drobni przedsiębiorcy oraz zatrudniani przez nich pracownicy mogą należeć do osób najsłabiej wynagradzanych w całej polskiej gospodarce. W maciechniku mikroprzedsiębiorczości, jakim pozostaje sektor usług i drobny handel, jesienią ubiegłego roku dało się zaobserwować największe odchylenie przeciętnych miesięcznych wynagrodzeń od średniej krajowej brutto. W przypadku pracowników usług i sprzedawców sięgało ono aż 38 proc.

Dla robotników przemysłowych i rzemieślników – niespełna 20 proc.

Marcin Pniasz od ośmiu lat prowadzi punkt usługowy opodal Politechniki Wrocławskiej. Jego kramik przycupnął w pawilonie supermarketu pomiędzy cukiernią a kioskiem. – Kilkadziesiąt metrów stąd jest przystanek, więc studenci mają do mnie po drodze i z uczelni, i na uczelnię – wylicza. – Mam ksero, można szybko skopiować notatki, drukuję też ploterem, bo ci z politechniki często potrzebują czegoś większego niż format A4. Poza tym oprawiam prace dyplomowe, dorabiam klucze, sprzedaję baterie i tonery do drukarek, można też u mnie zamówić zaproszenia na wesele lub komunię. Miałem nawet e-papierosy i fluidy, ale producent obciął marżę i podziękowałem mu za współpracę. Zostały mi po nim jeszcze szklane fiki do palenia marihu..., to znaczy do kolekcjonowania – chichocze.

Zyski? Liczby Marcin woli zachować dla siebie, jednak zapewnia, że szafu nie ma.

– Zarabiam tu najwyżej 60 proc. tego, co dostawałem na rękę na ostatnim etacie w agencji reklamowej. Ale za to nie mam teraz tyłu nerwów, co tam. To znaczy, nie miałem.

Według księgowej Pniasza, Polski Ład będzie go kosztować może 30 zł miesięcznie, czyli kwotę, którą można pominąć w comiesięcznych wydatkach.

– Za to na podwyżkę czynszu czekam jak na wyrok – przyznaje. – Firma, która administruje pawilonem, już w grudniu zapowiedziała, że najem pójdzie ostro w górę przede wszystkim z uwagi na skok ceny gazu, którym ogrzewają cały budynek. Podobno od stycznia będą płacić cztery razy więcej, ale rachunków oczywiście nam nie pokazali. Market ma umowę jeszcze na dwa lata, ale nie zgadza się na renegotjację warunków najmu, więc na pewno będą cisnąć nas. Dziewczyny w cukierni słyszały, że ich szef dostał już podwyżkę czynszu o 227 proc. Jeśli mnie podniosą o tyle samo, to już po mnie. Materiały eksploatacyjne też drożeją jak głupie. Coś przegapiłem? O, rata leasingu za ploter. Już prawie trzy stowy miesięcznie. Rok temu płaciłem niecałe 250.

Ile firmy w firmie

Mikroprzedsiębiorstwa to firmy zatrudniające do dziewięciu osób. Są ich w Polsce, według danych GUS, niemal trzy miliony, z czego 2,6 mln stanowią jednoosobowe działalności gospodarcze. W tej

ostatniej liczbie zawartych jest oczywiście mnóstwo paradzialalności będących *de facto* pracą na rzecz jednego, tego samego odbiorcy, któremu co miesiąc wystawia się faktury. Liczby takich etatów ucharakteryzowanych jedynie do celów podatkowych w cechy działalności gospodarczej nie da się dokładniej określić.

Niektórzy badacze polskiego rynku pracy bardziej w oparciu o intuicję niż dane szacują ją na około 400-600 tys. Nawet rząd PiS, który jeszcze przed pandemią zapowiadał „test przedsiębiorcy” w celu ukrócenia tego zjawiska, ostatecznie skapitulował i w Polskim Ładzie woli po prostu dokręcić fiskalną śrubę wszystkim przedsiębiorcom, zmniejszając różnice w opodatkowaniu między pracą na etat a jednoosobową działalnością gospodarczą. W rezultacie po kieszeni dostają także prawdziwi mikroprzedsiębiorcy: fryzjerzy, mechanicy samochodowi, złote rączki, masażysty, trenerzy personalni i psychoterapeuci, właściciele małej gastronomii czy niewielkich osiedlowych sklepów.

Ten gospodarczy plankton może wydawać się nieistotny, ale w rzeczywistości stanowi kręgosłup gospodarki. Mikrofirmy wytwarzają obecnie około 30 proc. polskiego produktu krajowego, więcej od grupy największych przedsiębiorstw, które odpowiadają za 26 proc. PKB. Tego wkładu w gospodarkę nie wolno mylić z innowacyjnością czy produktywnością, bo w odniesieniu do mikrobiznesu mowa głównie o wkładzie w PKB w postaci płac. Jednak zapewniając bieżące utrzymanie ponad czterem milionom osób, małe firmy stanowią przede wszystkim stabilne źródło dochodów dla tych większych. Im więcej lokalnych knajpek, salonów fryzjerskich i piekarni, tym lepiej także dla zarządzanych przez skarb państwa mołochów. Z punktu widzenia fiskusa nie do przecenienia są także wpływy podatkowe, jakie zapewnia mikroprzedsiębiorczość. Duży biznes na co dzień obraca miliardami, ale do perfekcji opanował też legalną, choć kontrowersyjną z punktu widzenia interesu obywatelskiej wspólnoty optymalizację podatkową. W rezultacie gwiazdy biznesu opisywane z zachwytem przez branżowe media rzadko płacą daniny w wysokości wyższej niż 4-5 proc. swoich przychodów, a zdarzają się i takie, które oddają fiskusowi promile. Drobnica – nawet na podatku liniowym – z reguły ma bardzo ograniczone możliwości optymalizacji podatkowej.

Gospodarczy plankton stanowi kręgosłup gospodarki,

choć wydaje się nieistotny. Mikrofirmy zatrudniające do dziewięciu osób wytwarzają około 30 proc. produktu krajowego Polski.

W bliskości siła

Nie sposób wreszcie przecenić tego, że małe firmy stanowią dla milionów Polaków miękkie infrastrukturalne podbrzusze ich codzienności. 7 na 10 mikroprzedsiębiorstw działa w sektorze usługowym i handlowym, najczęściej na lokalną skalę, tworząc ważną sieć powiązań z lokalną społecznością. Zaprzyjaźniony osiedlowy sklep spożywczy, w którym można zostawić bezpieczne klucze dla dziecka, a zapomniawszy portfela zrobić drobne zakupy „na zeszty”, czy też warsztat samochodowy, do którego w nagłym wypadku można odholować auto nawet w środku nocy – stanowią dla mieszkańców wartość wykraczającą daleko poza cenniki tych przybytków.

Lokalność działa zresztą w drugą stronę, bo jak pokazują ostatnie badania, drobne biznesy, głęboko wrośnięte w lokalną społeczność znoszą kryzysowe tapnięcia lepiej od firm, dla których klient to tylko klient. Dość przypomnieć solidarność, jaką na początku pandemii mieszkańcy wielu miejscowości wykazywali wobec zamkniętych przez lockdown biznesowych sąsiadów. Gdzie tego zabraknie, tam prędzej czy później zaczynają się procesy opisane na początku tego stulecia przez Charlesa Fishmana w jego głośnym „Efekcie Wal-Martu”. W miasteczkach podbitych przez tę największą amerykańską sieć handlową nie ma miejsca nie tylko dla jej konkurentów. Stopniowo zamiera również inny biznes, bo gdy lokalny fryzjer i nauczycielka baletu przestają robić zakupy w miejscowych sklepach, żony i córki sklepikarzy zaczynają oszczędzać na fryzjerze i prywatnych lekcjach baletu.

Zosia – tak prosi, żeby ją opisać, choć niedawno skończyła czterdziestkę – jest

właścicielką niewielkiego lokalu gastronomicznego w centrum Krakowa. Wnętrze niemal w całości zajmują cztery stoliki, do których latem dołącza niewielki ogródek.

– Jak większość knajpek w naszej okolicy żyje głównie z turystów i lockdown prawie mnie zabił. Musiałam pożyczyć od rodziny pieniądze, żeby utrzymać to miejsce na kulinarnej mapie miasta. Rok temu, kiedy przedłużały się obostrzenia i część branży otwarcie buntowała się przeciwko rządowym restrykcjom, nie dołączyłam do bojkotu, mimo że nie miałam z czego żyć. Wydawało mi się to nieodpowiedzialne. Nieobywatelskie. Dlatego dziś – ciągnie Zosia – czuję się jak frajerka. Bo ludzie się wciąż nie szczepią. Rząd dba tylko o swój twardy elektorat i nie wprowadza ograniczeń dla niezaszczepionych, przez to koszty walki z pandemią rosną, a rachunki za ten epidemiczny bal na „Titanicu” płacą tacy jak ja.

Pierwszą pozycją na tej fakturze jest inflacja, którą zdaniem Zosi rząd traktował jak powietrze, aż wyrwała mu się spod kontroli. Skutek? W zeszłym roku na zestawie śniadaniowym złożonym z rogalika, dżemu, szklanki świeżego soku z pomarańczy i białej kawy Zosia zarabiała, po odliczeniu kosztów, około 12 zł. – Teraz na tym samym wychodzi mi na czysto maksymalnie 8 zł, bo nie mogę w nieskończoność przenosić swoich kosztów na klienta. Jeśli croissant, który w piekarni kosztuje 5 zł, wycenię na 9 zł, wielu gości machnie ręką i jednak go kupi. Tylko że biorąc pod uwagę wszystkie koszty, czynsz, ZUS, podatki, energię, za tego rogala powinienam wziąć 16 zł, a to już cena absurdu. Mam poczucie, że rządzący myślą takich jak ja z wielkimi państwowymi firmami i myślą, że skoro one sobie poradzą, to my też damy radę. Ale ja nie jestem Orlenem, który codziennie ma setki tysięcy transakcji i wystarczy, że przy każdej zarobi 50 groszy więcej. Bywają dni, kiedy pod wieczór mam w kasie fiskalnej mniej niż 20 zamówień.

Na pytanie, czy w tej sytuacji warto prowadzić małe bistro, Zosia wzrusza ramionami.

– Możliwe, że nie. Ale czy wyobrazasz sobie Dzielnicę Łacińską w Paryżu albo rzymskie Trastevere bez kameralnych bistro i kawiarni?

© P MAREK RABIJ



Weronika Lasek z córką Wiktorią na trasie narciarskiej z Obidowej na Turbaczu. Gorce, kwiecień 2021 r.

Z drogi śledzie, mama jedzie!

WERONIKA LASEK, AUTORKA BLOGA „CAŁA NAPRZÓD”:

Wiktoria waży wraz z wózkiem 40 kg. Kiedy ją pcham, jestem spocona jak mysz, a Wiki, jak to dzieciak, śmieje się ze mnie. Sport pozwala mi nie zwariować.

MAŁGORZATA NOCUŃ: Piszesz na blogu, że Wiktoria, twoja siedmioletnia córeczka, ma sportowe geny.

WERONIKA LASEK: Tak. Wiktoria lubi ruch. Wycieczki w góry – latem i zimą. Spływy kajakowe, pływanie pontonem. Jazdę na rowerze i udział w zawodach biegowych. Latem, podczas zawodów triathlonowych Ironman w Warszawie, wystartowałyśmy w ostatniej ich części, czyli biegu na 10 km.

W żargonie mówi się o stanie Wiktorii: „czterokończynowe, piątka”.

Mózgowe porażenie dziecięce przybiera różne postaci, od łagodnej, wręcz niezauważalnej – dziecko na przykład

źle stawia stopy podczas chodzenia – do najcięższej, którą ma moja córka. To MPD czterokończynowe. Stopień choroby mierzy się w pięciostopniowej skali. Mamy piątkę. Moja córka nie wykonuje samodzielnie żadnych czynności. Jej ręce i nogi są niesprawne. Nie zje posiłku, nie wypije wody. Podaję ją strzykawką, jak niemowlęciu. Wiktoria nie usiadzie na nocniku, muszę ją na niego wsadzić. Nie może podrapać się po swędzącym nosie. Ma uszkodzone mięśnie twarzy i przeponę, dlatego mówienie sprawia jej ogromny wysiłek. Są dni, w których napięcie mięśniowe się nasila, wtedy trudno zrozumieć wypowiedziane przez nią słowa. Czasem jednak mięśnie robią się bardziej wiotkie i wtedy łatwiej jej mówić. Cierpi też na padaczkę. Dziecko obciążone

czterokończynowym MPD zawsze pozostaje krok za chorobą.

Podkreślmy jednak: Wiktoria rozumie otaczający ją świat i chce go doświadczać.

Znajduje się w niewielkim procencie dzieci, które pomimo tak ciężkiego rozpoznania są w normie intelektualnej. Ciężko opisać stan jej umysłu. Brakuje testów, które umożliwiają diagnozę pacjenta nieruszającego rękoma, mówiącego z trudem i słabo widzącego. Wiktoria nie ma wady wzroku, ale cierpi na korowe zaburzenia widzenia, jej mózg nieprawidłowo odczytuje obraz, który odbierają oczy. Nie widzi w formacie 2D. Dostrzeże kubek leżący na stole, ale nie rozpozna kubka na rysunku.

Przyszła na świat jako wcześniaczka, dziesięć tygodni przed terminem porodu. Była w dobrym stanie: 9 punktów w skali Apgar, nie wymagała tlenoterapii.

Na jednej z ostatnich wizyt neurologka powiedziała: „Stan dziecka po urodzeniu był zbyt dobry, by choroba przybrała obecnie tak ciężką postać. Coś musiało wydarzyć się po drodze”. Tylko jaki sens ma studiowanie siedmioletniej historii choroby? To niczego przecież w naszym życiu nie zmienia.

Kiedy Wiktoria była niemowlęciem, specjaliści Cię uspokajali.

Ale i tak czułam niepokój. Mała nie osiągała „milowych kroków” w rozwoju: nie obracała się na bok, nie stała przy meblach, nie zbierała do raczkowania. Minął rok i wciąż nie siedziała. W pewnym momencie zaczęłam pytać lekarzy: „Czy to jest MPD?”. „Ależ skąd – mówiono. – Przecież jest wcześniaczką, ma czas, by dogonić rówieśników”.

W końcu sama ją zdiagnozowałaś.

Wypożyczyłam podręczniki do neurologii. 90 procent opisanych w nich objawów MPD zgadzało się z zachowaniem Wiki. Podczas kontroli w poradni neurologka odnotowała w dokumentacji medycznej: „MPD”. Dodała jednak, bym się nie przejmowała. „To nie jest diagnoza. Muszę postawić takie rozpoznanie, by dziecko dostało dodatkowe godziny rehabilitacji”. Co zresztą pokazuje, jak chory jest sam system opieki nad niepełnosprawnymi w Polsce. Naciąga się orzeczenia, by można było skorzystać z pomocy.

Ciało Wiktorii jest niesprawne.

Ale umysł chce przeżywać dzieciństwo. Podobnie jak umysł zdrowego dziecka.

Chce być jak rówieśnicy, dlatego uczęszcza do integracyjnej zerówki w publicznej szkole podstawowej i radzi sobie z opanowywaniem materiału. Kiedy zacznie się nauka czytania i pisanie, będzie posługiwać się specjalnym systemem, bo sama nie dostrzeże płaskich liter w podręczniku.

Wiki, jak to dziecko, uwielbia „robić mikstury”, czyli mieszać farby, plastelinę. Bawić się w dom, choć nie może wziąć do ręki lalki. Trzeba to robić w jej imieniu: zainscenizować jakąś sytuację, ułożyć dialog lalki-mamy i lalki-dzidziusia. By Wiki doświadczała świata i nie czuła się poszkodowana, trzeba zaaranżować dla niej każdą czynność. To trochę jak nieustanna zabawa w teatr.

Jak udało Ci się pogodzić z chorobą dziecka?

Nie pamiętam pierwszego roku życia mojej córki. Długo nie opuszczał mnie stres związany z jej pobytem na oddziale intensywnej terapii. Kiedy przekonałam się, że będzie chora, płakałam. Przeklinałam los. Ale się nie załamalam. Później przyszedł czas żałoby. Godziłam się z jej niepełnosprawnością. Nie miałam innego wyjścia, w przeciwnym razie szarpałabym się przez całe życie. Niezaakceptowanie choroby Wiki byłoby równoznaczne z tkwieniem w żalu i rozgoryczeniu. Powtarzałam sobie: „inni mają lepiej”, „też bym tak chciała”.

Nigdy tak nie robisz?

A skąd! To by mnie zniszczyło. Zbudowałam sobie w mózgu taką „instalację odbijającą złe myśli”. Działa jak piorunochron podczas burzy. Owszem, bywa, że kiedy patrzę, jak bawią się zdrowe dzieci, którym do szczęścia wystarczy patyk i trochę błota, jest mi przykro. Choć czasem myślę sobie również, że mój profil psychologiczny pasuje do świata osób z niepełnosprawnością. Potrafię się w nim odnaleźć. Może mam w sobie otwartość na pomaganie? Empatię? Pan Bóg dobrze dla mnie wybrał. Jako mama chorego dziecka jestem na odpowiednim miejscu. Złe wybrał dla mojej córki. Ona cierpi. Moje zadanie polega na tym, by to cierpienie zminimalizować.

Przyjaźnię się z mamą bliźniaków, skrajnych wcześniaków. Marysia i Filip także cierpią na MPD. Ich rodzice wkładają ogromny wysiłek oraz setki tysięcy złotych w rehabilitację. Ten trud procentuje. Filip opuścił oddział intensywnej terapii z bardzo złymi rokowaniami. Mówiono, że może być dzieckiem leżącym, bez kontaktu. Zaskoczył jednak wszystkich: zaczął samodzielnie chodzić, uczy się języków obcych. Wiki nigdy nie zrobi kroku, choćby z pomocą balkonika. W naszym przypadku rehabilitacja ma przede wszystkim sprawić, by nie odczuwała bólu. Chcemy, by przybierała prawidłową postawę, bo jeśli się skrzywi, zebra będą uciskać na organy wewnętrzne. Zacznie się skolioza, a ta pociągnie za sobą ból i operację.

Postanowiłaś nie rezygnować ze swojej pasji – sportu.

Żeby nie czuć się tylko mamą dziecka z niepełnosprawnością, pomyślałam so-

bie: no dobra, jest jak jest. Teraz trzeba to życie ułożyć tak, żeby robić to, co się robiło w przeszłości.

Kupiłaś trzykołowy wózek, by chodzić z Wiktorią w góry.

To wózek sportowy, który – w przeciwieństwie do inwalidzkiego – wszędzie wjedzie. Jest długi, lekki oraz zwrotny. Dzieci „spastyczne”, które nie zginają nóg, mogą przybrać w nim pozycję półleżącą.

Na początku biegałyśmy. Mówiłam: „Wiki, a teraz mama chce zrobić coś dla siebie”, „Mama musi się dotlenić”. Wkładałam ją do wózka i robiłyśmy kilka okrążeń w parku. Natomiast w lecie jeździmy w góry. Szukamy odpowiedniej trasy. Same musimy ją przetestować, niekiedy szlaków polecanych w internecie nie da się pokonać wózkiem.

Jestem w pewnym sensie oczami Wiki. Doświadczam świata z nią i za nią. Dla niej nasze górskie wyprawy to wycieczki krajoznawcze. Opowiadałam jej o otaczającej nas przyrodzie. Urywam gałązkę choinki: „Dotknij, kłuje!”. Zrywam grzyba: „Powąchaj, pachnie”. Daję jej do zjedzenia jagody i maliny. Dużo opowiadam: o zwierzętach, roślinach. Wymieniam pasma górskie i szczyty. Wie, że jest Beskid Niski i Wyspowy. Że są Gorce i Tatry. Zawsze dopytuje się: „A w jaki Beskid teraz jedziemy?”. Pyta: „A co widać?”. „A Babią Górę już widać?”. „A widać Tatry?”.

Musisz bardzo dbać o kondycję fizyczną.

Wiktoria waży wraz z wózkiem 40 kg. Kiedy ją pcham, jestem spoconą jak mysz, a Wiki, jak to dzieciak, śmieje się ze mnie. Nawiazała się między nami nic porozumienia: „Jeśli mamie jest dobrze, to córka też ma frajdę”. Lubi też sploty kajakowe. Siedzi pomiędzy moimi nogami. Nie może zająć samodzielnego miejsca, bo gdyby kajak się wywrócił, nie miałyby szans wypłynąć. Daję jej do ręki cedzak i staramy się „coś złowić”.

Sport stał się dla mnie rodzajem terapii, pozwala nie zwariować. Czasem mówię do Wiki: „Idziemy pobiegać, dobrze?”. Kiedy czuję, że mam w sobie za dużo trudnych emocji i mam ochotę rzucać mięsem, wtedy muszę się poruszać. Wiele postów przychodzi mi do głowy podczas biegania. Potem nie mam czasu ich spisać. W mózgu powinna być przechowalnia myśli.

→ Bierzenie udział w zawodach biegowych.

Tak, ale nie jeździmy tam po me-dale. Sportowcy doceniają trud, który wkładam, by ten wózek pchać. Wiedzą, jakie to ciężkie. Zawsze nam kibicują, krzyczą: „Brawo dziewczyny!”. Wiki się cieszy. W triathlonie startujemy we cztery: jedna z moich koleżanek bierze udział w odcinku pływackim, druga ko-larskim, a ja biegnę z Wiki. Córka uczy się różnych haseł: „Mama, szybciej!”, „Mama, go!”, „Z drogi śledzie, mama jedzie!”. Nie je-stem zresztą jedyną mamą startującą z nie-pelnosprawnym dzieckiem.

A jak jest zimą, gdy leży śnieg?

Dawniej plucha i śnieg nas ograniczały, ale do wózka dokupiłam płozy i narty. Mój kolega, z którym studiowałam na Akademii Wychowania Fizycznego, ku-pił uprząż i dorobił mechanizm, za po-mocą którego mocuję ją do wózka.

Poruszanie się na skiturach, czyli specjalnych nartach przeznaczonych i do podejścia, i do zjazdu, jest trudne. Ciężko to sobie wyobrazić z wózkiem.

Sport nie pojawił się w moim życiu po narodzinach córki, zawsze dbałam o kon-dycję. Mój tata był sportowcem, wszędzie mnie ze sobą zabierał. Biegaliśmy, jeździ-liśmy na rowerze i na nartach. Jako na-stolatka miałam już tych nart dość, ale później do nich wróciłam i zrobiłam stopień instruktorski. W 2003 r. pojechałam z tatą na ferie do Włoch. Tam tata zmarł, odszedł tak, jak żył, na stoku narciarskim. Od tamtej pory nie przypięłam nart zjaz-dowych i już chyba nigdy tego nie zrobię. Zaczęłam jeździć na skiturach. Te narty dają ogromne możliwości: można na nich wejść w las, zjechać pomiędzy drzewami. Ale nie mogę tak jeździć z Wiki. Muszę wybrać odpowiednią trasę, abyśmy były w stanie bezpiecznie z niej zjechać. To tro-chę jak zwożenie tobaganu przez ratow-

Żeby nie czuć się
tylko mamą dziecka
z niepełnosprawnością,
pomyślałam sobie:
no dobra, jest jak jest.
**Teraz trzeba to życie
ułożyć tak, żeby robić to,
co się robiło w przeszłości.**

ników GOPR, jest ich zawsze dwóch: pierwszy prowadzący i drugi hamujący. Mnie jest trudniej. Jeśli, nie daj Boże, się wywrócę, ona wywróci się także.

Kim są wózkersi?

To ekipa dzieciaków z niepełnospraw-nościami i ich rodziców. Poznałam ich w warszawskim centrum terapeutycz-nym i teraz razem spędzamy wakacje. Za-bieramy ze sobą dwie terapeutki, które pomagają nam zajmować się dziećmi. Mam cudownych przyjaciół, ale kiedy wypoczywałam z nimi i ich pełnospraw-nymi dziećmi, nie nadążałam. Matka dziecka z niepełnosprawnością prowa-dzi dwa równoległe życia: swoje i swojego dziecka. Jest jego rękami i nogami. Nie powie: „Idź zrobić siusiu przed drogą”, „Zjedz kanapkę”, „Ubierz się”. Wózkersi dobrze rozumieją, kiedy kładę się spać już o godzinie dwudziestej, bo tego wymaga moje dziecko cierpiące na epilepsję.

Twoje macierzyństwo jest samotne, przez co jest Ci pewnie jeszcze trudniej.

Nie czuję się samotna. Mam przyjaciół i wspierałam mamę, która pomaga mi każ-dego dnia. A są matki, które naprawdę nie otrzymują od nikogo pomocy. Tata Wiki postanowił wybrać inną życiową drogę, córka widuje go podczas turnu-sów rehabilitacyjnych w Warszawie. Nie jestem w stanie zmusić go do większego zaangażowania. Poza tym, nie da się stwo-rzyć więzi na siłę. W naszym domu o ta-cie Wiki mówi się zawsze dobrze. „To jest twój tata i on cię kocha”. Chociaż to mi-łość dziwna.

Prowadzisz – choć czasem – życie towarzyskie?

To jest najtrudniejsze. Od siedmiu lat nie byłam na imprezie. Od czterech lat organi-zuję bal charytatywny, ale przychodzę tam nie jako gość, tylko jako gospodyni.

Byłaś na dwudziestoleciu matury.

I na koncercie Pearl Jam, bilet zaspon-sorowała mi brytyjska fundacja Give to Life. Trzy osoby były wówczas potrzebne do opieki nad Wiki. Moje wyjście zawsze odbywa się czyimś kosztem. To mnie sto-puje, wolę więc być samodzielną, jeśli tylko mogę.

Na spotkaniu maturalnym koledzy i koleżanki z klasy wręczyli Ci pieniądze. Poptakałaś się.

Pieniądze są dużym problemem. Czuję się niezwykle odpowiedzialna za to, na co je wydaję. Kiedy chcę kupić sobie co-kolwiek, zastanawiam się, czy nie powin-nam jednak przeznaczyć tych środków na Wiktorię. Choć oczywiście nie są to fundusze pochodzące ze zbiorów na nią. Chciałabym wrócić na rynek pracy, ale po-bieram zasiłek dla matki wychowującej dziecko z niepełnosprawnością, a to wiąże się z zakazem zarobkowania. Wiele mam dzieci z niepełnosprawnością marzy, by być pełnoprawnymi obywatelkami: pra-cować, płacić podatki. A tymczasem mu-simy na wszystko zbierać. Z zasiłku nie kupię sprzętu ortopedycznego. Nie zapew-nię córce odpowiedniej rehabilitacji i nie sfinansuję zagranicznych operacji. Cza-sem tak o sobie mówię: „matka żebrząca” albo „matka zbierająca”.

Nie raz zapewne słyszałaś takie słowa: „A ja też znałem takie chore dziecko i udało się je wyleczyć rehabilitacją. Miało nie chodzić, a chodzi”.

W Polsce nie ma świadomości powi-kań, jakie może przynieść wcześniactwo, a także złożoności MPD. Zdarzało się, że pytano mnie: „Może złego rehabilitanta macie?”. Kiedyś mnie to dołowało, teraz nawet nie chce mi się niczego i nikomu tłumaczyć. Dla dzieci z piątym stopniem MPD jedyną nadzieją jest technologia. Na przykład ktoś wymyśli urządzenie sterowane impulsem płynącym z mózgu. Wiki pomyśli, że chce wstać, i wózek za nią wstanie. Pomyśli: „zabierz coś ze stołu” i zainicjuje ruch. Moja córka wie, co zna-czą słowa: „zrób krok” i nawet próbuje ru-szyć nogą. Ale ciało nigdy jej nie posłucha.

© Rozmawiała MAŁGORZATA NOCŨN



ZUZANNA RADZIK opowie
Grzegorzowi Chłascie
o starożytnych diakonisach

(tekst na s. 37). Słuchaj w środę 19 stycznia o godzinie 7.30 w Polskim Radiu RDC. Audycję można także odsłuchać w podkastach na stronie internetowej radia – www.rdc.pl.

| Warszawa 101 FM | Ostrów Maz. 87,6 FM

| Radom 89,1 FM | Ostrołęka 100,8 FM

| Płock 101,9 FM | Siedlce 103,4 FM

JACEK

Podsiadło: Chyba się każdy zgodzi...



PAŃSTWO TO WIECZNY SCHIZOFRENİK, który sobie nie radzi ze sobą, z własnym rozwojem. Bardzo jest osłabiony i zagubiony, ale nigdy się do tego nie przyzna. Przeciwnie, kiedy

któs oferuje mu pomoc, pacjent nasz z automatu podnosi zarzut wtrącania się w jego sprawy wewnętrzne i każe pilnować własnego nosa. Jak bardzo by nie chorował, zawsze uważa, że właśnie wraca do zdrowia. Jest to schizofrenik paranoiczny. Wierność swojej paranoi stawia na pierwszym miejscu. Mam przyjemność obserwować pogłębianie się choroby co najmniej od czterdziestu lat i pora, abym podzielił się spostrzeżeniami. Tym bardziej że pacjent, którego mam na oku, to szczególnie ciekawy przypadek: wątłej konstytucji, niezbornej mowy, cierpi na manię wielkości, wbrew zaleceniom pije, bywa agresywny, łatwo wpada w złość i regularnie wydaje mu się, że jest Chrystusem.

Linie, wzdłuż której rozszepcza się osobowość pacjenta, łatwo zauważyć. Jest to podwójna ciągła oddzielająca obywateli i władzę. Konstytucja naszego wążka każe mu nazywać obywateli Narodem z dużej litery, a władzę jego przedstawicielami. Zajrzyjmy do karty pacjenta, żebyśmy sami wiedzieli, o czym mówimy. Różne słowniki różnie państwo definiują, ale zawsze jest tam mowa o ludziach. I nigdy na pierwszym miejscu: „organizacja polityczna obejmująca ludzi stale osiadłych na pewnym terytorium”; „ogół współdziałających ze sobą instytucji, służących zapewnieniu bezpiecznego i harmonijnego współżycia ludzi” itp. Obszerniej cytuję wyjątki z poświęconego państwu hasła w encyklopedii PWN, bo tu pada nawet słowo „dwoistość” w odniesieniu do jego natury: „Współczesne państwo ma swoisty charakter społeczny: jest organizacją przymusowo scalającą wszystkie osoby i grupy żyjące na określonym terytorium, czyli powszechną wspólnotą dla wszystkich swych obywateli, którzy są formalnie równi wobec prawa; jednak państwo nie w takim samym stopniu reprezentuje interesy każdej grupy społecznej; jako organizacja panowania politycznego realizuje interesy grup silniejszych (np. warstw bogatszych, innych klas, grup nacisku, określonych grup etnicznych lub religijnych). Ta dwoistość państwa umożliwia mu pod pewnym względem łączenie funkcji integracji całego społeczeństwa z funkcją ochrony panowania interesów grup silniejszych”. Pod pewnym względem trzeba się z tymi uwagami zgodzić: państwo jest przymusową wspólnotą. Ale w wyliczance grup silniejszych bardzo mi brak grup liczniejszych, których interes realizują państwa demokratyczne.

Kiedys żartem z państwa na równi liczącego głos mędrca, opinię półdioty i krzyżyk stawiany przez idiotę zupełnie poświęci się osobny felietonik, tymczasem po-

śluchajmy, jak państwo papla. Bo wzmiankowane rozdwojenie szczególnie wyraźnie się rysuje, kiedy państwo próbuje coś powiedzieć. Żeby nie sięgać zbyt głęboko w historię, wróćmy pamięcią do niedawnych dni, kiedy to minister wicesprawiedliwości Woś za pomocą plastikowego pistoletu połączonych kablem ze starą konsolą marki Pegasus strzelił sobie w łeb kapiszonem „Wyborczej”. Wskutek samopostrzału poniósł śmierć cywilną kilka dni później, kiedy wezwane do tablicy państwo przemówiło ustami przywódcy wiodącej partii. Zdawszy na dostateczny z dwoma egzamin z informatyki („Powstanie i używanie [Pegasusa] jest wynikiem zmiany technologicznej, rozwoju szyfrowanych komunikatorów, których za pomocą starych systemów monitorujących nie można odczytać”), przywódca wskoczył na swój podręczny stołeczek, żeby wziąć wysokie C: „Chyba każdy się zgodzi, że rozmaite grupy przestępcze powinny być pod obserwacją, że przestępczość trzeba zwalczać i że na całym świecie używa się do tego narzędzi inwigilacji, oczywiście gdy są do tego podstawy prawne [...]. Pieniądze publiczne wydano na ważny cel publiczny, związany z walką z przestępczością, ochroną obywateli”.

Ponieważ z trupa, nawet cywilnego, kpić nie wypada, powstrzymam się od dociekań, dlaczego do celów walki z przestępczością państwo polskie skupuje u Żydów stare konsole po 25 milionów. Nie powstrzymam się natomiast od wyjaśnienia, co przywódca chciał powiedzieć. Tłumacząc z polskiego na nasze: chciał powiedzieć, że przedstawiciele narodu za pieniądze narodu przeznaczone na pomoc przedstawicielom narodu pokrzywdzonym w wyniku przestępstw, w tajemnicy przed narodem zakupili, wbrew prawu ustanowionemu przez przedstawicieli narodu i zgodnie z prawem bliżej nieokreślonym, oprogramowanie służące ochronie narodu poprzez podsłuchiwanie i podglądanie tegoż narodu. Wikipedia zwraca uwagę, że naród często myli państwo z krajem i z samym sobą. Dzieje się tak nie przypadkiem. Nie przypadkiem też szafuje się przymiotnikiem „narodowy”, a skąpi przymiotnika „państwowy”. Narodowy może być stadion, gdyż jest rzeczą pożądaną, aby naród gromadził się na stadionach i śpiewał pijackie hymny, w razie czego łatwo się go tam zamknąć. Państwowe muszą pozostać lasy, aby naród się nie pchał tam, gdzie wypoczywają jego przedstawiciele i gdzie tak łatwo poczynają się partyzantki. Musi być dwoistość, żeby zaistniała integracja. Nie ma reintegracji bez dezintegracji, pacjent musi się utożsamiać ze swoim katem, żeby lecznica miała rację stanu, znaczy się bytu. Musi być i wspólnota, i rozdwojenie jaźni, żeby przedstawiciele narodu mogli ubezwłasnowolnić naród. Musimy stanowić jedność, abyśmy mogli żerować jedni na drugich, inaczej grozi nam całkowity rozpad, i to nawet osobowości. ©

WYSOKIE PROGI

ROD DREHER, AUTOR „OPCJI BENEDYKTA”:

Powinniśmy mieć strategię ochrony Kościołów i naszej wiary przed zniekształceniami przez siły polityczne zarówno lewicowe, jak i prawicowe.

PIOTR SIKORA: W swojej książce „Opcja Benedykta” wzywa Pan do tworzenia osobnego społeczeństwa chrześcijańskiego – czegoś w rodzaju chrześcijańskich dzielnic, alternatywnego systemu edukacji itd. Jednocześnie pisze Pan z podziwem o Dietrichu Bonhoefferze, jako świadku i męczenniku, który potrafił żyć Ewangelią pomimo trudnych okoliczności zewnętrznych. Przecież bonhoefferowska wizja chrześcijaństwa bezreligijnego wydaje się sprzeczna z Pana propozycją.

ROD DREHER: Gdzie pan widzi konflikt pomiędzy opcją Benedykta a tym, czego chciał Bonhoeffer?

Bonhoeffer uważał, że chrześcijanie powinni być całkowicie zanurzeni w tym – zsekularyzowanym – świecie, nie oddzielać się zewnętrznie od niego.

To prawda. Ale Bonhoeffer zasługuje na szacunek, ponieważ żył swoją wiarą aż do śmierci. Chciałbym widzieć dzisiejszy Kościół, chrześcijan XXI wieku – katolików, protestantów, prawosławnych – podobnie gotowych cierpieć za swoją wiarę, dając świadectwo Ewangelii.

Żyjemy w społeczeństwie, w którym mamy coraz mniej wsparcia w życiu chrześcijańskim. Zapewne w Polsce nie jest aż tak źle, jak w Stanach Zjed-

noczonych. W USA przyzwyczailiśmy się do „wiary klasy średniej” – wygodnej, spokojnej. Większość Amerykanów nie wyobraża sobie cierpienia za cokolwiek, nie tylko za wiarę. W mojej ostatniej książce piszę o Franciszku Jägerstätterze, Austriaku z czasów nazizmu. Ze swoją żoną żyli w katolickim miasteczku, niczym się zewnętrznie nie wyróżniali, jak wszyscy chodzili do kościoła. Gdy przyszli naziści, tylko Franz i jego żona rozpoznali zło i przeciwstawili się mu, uznając to za swój chrześcijański obowiązek.

Gdy myślę o opcji Benedykta, to chciałbym, aby chrześcijanie wzięli sobie takie postawy za wzór i zaangażowali się we wspólne budowanie silnych wspólnot prawdziwych uczniów Jezusa. Żebyśmy wiedzieli, kiedy spotykamy się ze złem, i mieli odwagę cierpieć za wiarę. Niektórzy myślą, że opcja Benedykta polega na ucieczce „w góry”. Nie. Nie jestem mnichem, moi czytelnicy też nie. Ale w pewnym sensie powinniśmy żyć jak mnisi – byśmy idąc do świata, ukazywali Chrystusa, byli Mu wierni.

Współczesne społeczeństwo staje się coraz bardziej zatowizowane, a Kościół jest jego częścią. Potrzeba, byśmy w Kościele tworzyli znacznie silniejsze wspólnoty, w których będziemy pamiętać, kim jesteśmy i co to znaczy: żyć jako chrześcijanie – pełniąc dobre uczynki i służąc bliź-



ANDRZEJ SIDOR / FORUM

nim. Ale także ze świadomością, że gdy świat domaga się od nas kompromisu w naszej wierze, trzeba być gotowym na cierpienie.

Podobnie Bonhoeffer uważał, że śmiertelnym wrogiem wiary jest „tania łaska”. Lecz on żył i pracował w świecie, który był wciąż bardziej chrześcijański niż nasz dzisiaj. Gdyby dziś miał iść, by głosić Ewangelię i oddać za nią życie – skąd czerpałby siłę? Napisał zresztą książkę „Życie wspólne” – podkreślając, jak



Odpust parafialny w bazylice Nawiedzenia Najświętszej Maryi Panny w Sejnach. 6 września 2020 r.

ważne są mocne wspólnoty, umożliwiające formację chrześcijańską, wspierające w wierności.

W jakim sensie nazistowskie Niemcy – świat Bonhoeffera – były bardziej chrześcijańskie niż współczesna Ameryka czy Polska?

Niemcy nazistowskie były bardzo pogańskie. Myślałem raczej o świecie Zachodu w ogóle. (Bonhoeffer żył jakiś czas w Nowym Jorku). Wtedy katego-

rie chrześcijańskie były powszechnie zrozumiałe. Dziś nie są. Urodziłem się w 1967 r., gdy ruch obrony praw człowieka był prowadzony przez pastorów – m.in. Martina Luthera Kinga. Używali języka biblijnego, odwoływali się do zmysłu chrześcijańskiego, który był jeszcze w Stanach powszechny. Nawet jeśli ktoś nie chodził do kościoła, rozumiał, o czym mówili. To się skończyło. Wielu wykładowców i nauczycieli mówi, że uczniowie nie znają nawet podstaw chrześci-

jaństwa. Rozmawiałem kiedyś ze znaną ateistyczną profesorką historii sztuki, Camille Paglią. Powiedziała mi, że niepokoi się zanikiem chrześcijaństwa w Ameryce. Gdy wyraziłem zdziwienie, że ją, ateistkę i feministkę, to obchodzi, powiedziała, że obchodzi ją sztuka i że ma ogromne problemy w wyjaśnieniu sensu wielkich dzieł sztuki europejskiej swoim studentom – bo nie znają podstawowych historii biblijnych. W ciągu ostatnich dekad ze społeczeństwa zasadniczo →

→ chrześcijańskiego staliśmy się społeczeństwem postchrześcijańskim.

Niedawno rozmawiałem z kanadyjską socjologką, Geneviève Zubrzycki, która podobnie opisuje stan sekularyzacji Québecu. Twierdzi, że jedną z głównych przyczyn tego procesu jest dawne ścisłe powiązanie polityki i Kościoła, tronu i ołtarza. Czy w Pana perspektywie taki związek jest niebezpieczny dla wiary?

Tak, widzieliśmy to i w Québecu, i w Irlandii. Kiedy byłem w Polsce, słyszałem to wiele razy z ust młodych, konserwatywnych polskich katolików – że za 10, 20 lat Polskę czeka ten sam los. Częściowo za przyczyną tego związku polityki i religii.

Miałem pewne wyobrażenia o Polsce – dorastałem w erze Jana Pawła II, uznawałem Polskę za twierdzę chrześcijaństwa: Europa upadnie, ale nie Polska. Ale gdy przyjechałem do Polski, odkryłem, że te wyobrażenia są nieprawdziwe. Rozmawiałem jakiś czas temu z o. Włodzimierzem Zatorskim, niedawno zmarłym na covid benedyktynem z Tyńca. Spytałem go, czy to, co mówią ci młodzi ludzie, może być prawdą w Polsce Jana Pawła II. Odpowiedział – tak. Dlaczego? Odparł, że przez próżną chwałę biskupów. Zrozumiałem, że ma na myśli fakt, iż biskupi są tak bardzo skoncentrowani na zachowaniu władzy światowej, swojego statusu społecznego, że nie widzą, co się dzieje w polskim społeczeństwie.

To też problem Ameryki. Choć nie mamy państwowego Kościoła, mamy nadal wielu chrześcijan, zwłaszcza ewangelikalnych protestantów i innych na prawicy, którzy myślą, że gdybyśmy tylko zdobyli władzę polityczną, to rozwiązałoby to wszystkie nasze problemy. Takie myślenie jest samobójcze.

W Polsce politycy usiłują używać chrześcijaństwa jako narzędzia utrzymania władzy. O ile Pana rozumiem, spostrzega Pan sytuację w Stanach jako zupełnie inną niż nasza...

Nie znam dobrze sytuacji w Polsce. W USA wszystkie kulturowe siły – media, uniwersytety, prawo – są pod wpływem „wokeness” – postliberalnej lewicowej myśli, koncentrującej się na tożsamości, gender, kwestiach rasowych. Ta ideologia zastąpiła liberalizm w klasach mających wpływ społeczny. Jeśli uważasz, że

Chrześcijanie na prawicy myślą, że zdobycie władzy politycznej rozwiązałyby wszystkie nasze problemy.

To myślenie samobójcze.

aborcja jest zła, nie akceptujesz transgenderyzmu, małżeństw homoseksualnych – zostajesz uznany za bigota, kogoś, kto powinien zostać uciszony jako zagrożenie dla dobra wspólnego.

Zapewne w Polsce jest inaczej, ale myślę, że może tak się łatwo u was stać, jeśli Kościół będzie słaby. Nie w sensie braku władzy politycznej. Mówimy tu bowiem o kulturze. Uważam, że polityka wypływa z kultury. Zmiany kulturowe nieuchronnie wpływają na zmianę polityki. Ja mam 55 lat, ale pokolenie moich dzieci jest zasadniczo lewicowe. Starsi jeszcze myślą, że jeśli będą głosować na Republikanów, a ci wyznaczą właściwych sędziów Sądu Najwyższego, to problemy zostaną rozwiązane. To bardzo nierozsądne.

Ameryka staje się coraz bardziej postliberalna, a Kościół próbuje bić się w przegranej bitwie. Liderzy Kościołów – katolickich, protestanckich, prawosławnych – próbują zbudować coś w rodzaju „linii Maginota”. A to już nie ta, lecz następna wojna. Kultura zmienia się szybko, a Kościół nie nadąża z odpowiedzią. Zostajemy bez władzy politycznej i bez wpływu na kulturę, na łasce ludzi, którzy uważają chrześcijaństwo za coś złego.

Weźmy transgenderyzm – ideę, że nie ma czegoś takiego jak męskość i kobiecość ustalone biologicznie, że jeśli myślisz o sobie jako o mężczyźnie, to jesteś mężczyzną, nawet jeśli masz piersi i genotyp kobiety. To jest chory pogląd, lecz stał się „ortodoksją”. Zaprzeczając temu, ryzykujesz pracę, własny biznes. Nie można o tym nawet debatować.

Trudno mi dyskutować z Pana opisem sytuacji w Pana kraju. Ale może warto zastanowić się, jakie są przyczyny tych zmian kulturowych. Czy nie ma tu winy chrześcijan? W chrześcijaństwie widziano – a w Polsce nadal taki sposób patrzenia jest

popularny – sprawy z odwrotnej perspektywy. Nie dopuszczano do debaty, czy zmiana płci nie jest czasami słuszną – tj. że należy uznać, że poziom psychologiczny, stan świadomości powinien być ważniejszy niż biologia. Albo – że trwały związek homoseksualny, pełen wzajemnej troski i wsparcia, powinien być uznany za dobry. W Polsce są osoby LGBT, które cierpią z powodu nastawienia chrześcijańskiego otcenia.

Nie mogę mówić o polskiej sytuacji. W Stanach była możliwa dyskusja na ten temat – także w środowiskach katolickich konserwatystów. Ale to lewica nie chciała dopuścić tej dyskusji do mediów. Krytyczne stanowisko Kościoła wobec np. małżeństw homoseksualnych porównuje się do stanowiska Ku-Klux-Klanu w sporach z lat 60. o równość rasową.

Wiem, że są miejsca w Kościele, gdzie też nie dopuszcza się dyskusji na te tematy, i myślę, że to błąd. Młodzi ludzie są pod wpływem mediów społecznościowych i potrzebna jest dyskusja, w której te tematy będą w Kościele poruszane. Osobiście uważam, że stanowisko Kościoła jest właściwe i że ma on dobre argumenty. Ale te zagadnienia muszą być poruszane, bo problemy – np. z poglądami dominującymi wśród młodych chrześcijan – nie znikną, jeśli się przestanie je zauważać. Nawet jeśli teraz chrześcijańskie poglądy są wspierane przez rząd – jak w Polsce – to przecież żyjemy w demokracji. Starsi ludzie głosujący na konserwatywne ugrupowania umrą, przyjdą nowe pokolenia i wszystko może się zmienić – zwłaszcza jeśli nie będziemy wyjaśniać im, dlaczego Kościół głosi takie, a nie inne poglądy. Pomysł, że to tylko przez bigoterię.

Wracając do opcji Benedykta: z jednej strony proponuje Pan, by w jej ramach tworzyć równoległy system edukacji. Z drugiej – podkreśla, że nie możemy zamknąć się w getcie. Jak to pogodzić?

Gdy piszę o getcie, mam na myśli sytuację, z jaką spotkałem się kiedyś w konserwatywnym ewangelikalnym college'u. Miałem tam wykład do kilkuset studentów o duchowej dyscyplinie. Po wykładzie pewna dziewczyna zapytała mnie: „Po co duchowa dyscyplina? Czy nie wystarczy kochać Jezusa z całego serca, jak nas rodzice uczyli?”.

Odpowiedziałem, że trzeba zacząć od tej miłości, ale jeśli nie wcielimy jej w praktykę, w struktury wokół nas, to będziemy napędzani tylko emocjami. A ponieważ emocje się zmieniają, wiara nie będzie w stanie ostać się w próbach. Nie miała pojęcia, o czym mówię. Później podszedł do mnie nauczyciel z tego college'u i powiedział, że większość ich uczniów tak postrzega świat. Pochodzą z środowisk wielkich Kościołów ewangelikalnych, uczą się w miejscu, gdzie wszyscy myślą podobnie, i nie wiedzą, czego spodziewać się, gdy wyjdą do świata.

Z drugiej strony – jeśli jesteś całkiem zanurzony w świecie i gubisz różnicę pomiędzy chrześcijanami a światem, gubisz zmysł, co znaczy być chrześcijaninem. W rozdziale 29 Księgi Jeremiasza Bóg mówi do Żydów na wygnaniu: „Budujcie domy, żęńcie się, starajcie się o pomyślność kraju, do którego was zesłałem, i módlcie się za niego” – jest to wezwanie do zanurzenia się w świecie, w którym żyjemy. W Księdze Daniela mamy historię trzech żydowskich młodzieńców służących królowi Nabuchodonozorowi. Służba królowi oznacza doskonałą asymilację. Ale trzej zasymilowani młodzieńcy

Musimy, zastanowić się,
jak być jednocześnie
członkami społeczeństwa
i, jako chrześcijanie,
pamiętać, kim jesteśmy.

nie chcą czcić królewskiego bożka i gotowi są na śmierć.

Opcja Benedykta to wzięcie pod uwagę głosów i Jeremiasza, i Daniela. Musimy zastanawiać się, jak być jednocześnie członkami społeczeństwa i pamiętać, kim – jako chrześcijanie – jesteśmy. I jeśli coś niszczy nasze najgłębsze przekonania – mieć odwagę sprzeciwiać się temu, nawet do śmierci. Po to jest opcja Benedykta – tworzenie silnych wspólnot, by, gdy pójdziemy do świata, zobaczono w nas Jezusa.

Jaki więc sens zabierania dzieci ze szkół i tworzenie równoległe-

go systemu edukacji? Czy to nie skończy się tak, jak w przypadku tej ewangelikalnej młodzieży? Czy nie lepiej kształtować duchową dyscyplinę młodych w rodzinach, w grupach, np. parafialnych, i pozwolić im, by w szkole uczyli się nawiązywać relacje z inaczej myślącymi?

Kiedyś w Ameryce to było możliwe. Być może dzisiaj w Polsce to właśnie jest najmądrzejsza opcja. Ale obecnie w USA szkoły publiczne są wrogiem chrześcijaństwa. Są szkoły, w których, gdy dziecko zadeklaruje się, że chce zmienić płeć, szkoła pomaga mu w tym, nie informując rodziców. Albo uczy się – wbrew rodzicom – krytycznej teorii rasowej, według której biali ludzie są odpowiedzialni za całe zło świata. Wielu ludzi nie ufa publicznemu szkolnictwu.

Kultura smartfonu tak się rozpleciła, że sprzyja rozpowszechnieniu się wśród nastolatków pornografii. Jeśli chcesz, by twoje dziecko socjalizowało się zgodnie z wartościami chrześcijańskimi, dużo trudniej to zrobić, pozostawiając dziecko w szkołach publicznych, a nawet świeckich szkołach prywatnych.

→

Św. Benedykt, polityka i Amisze

SĄ WSPÓLNOTY RELIGIJNE, które negatywnie oceniają kulturę tworzoną w oparciu o wzorce i wartości inne niż te, na których zbudowana jest ich tradycja. W konsekwencji ściśle łączą wierność swojemu fundamentalnemu przestaniu z wyraźnym oddzieleniem się od reszty społeczeństwa. Wioski Amiszów albo dzielnice ortodoksyjnych Żydów są przykładami form życia kształtowanego przez takie postawy.

CZY WSZYSCY CHRZEŚCIJANIE, którzy chcą być wierni Ewangelii, powinni zmierzać w takim kierunku? Tak zdaje się sugerować Rod Dreher – zdobywający coraz większą popularność amerykański dziennikarz, pisarz i bloger

– autor idei nazwanej „opcją Benedykta”.

ŚW. BENEDYKT, zauważa Dreher, dostrzegł zepsucie współczesnego sobie, późnostarytnego Rzymu i postanowił stworzyć wspólnotę zaangażowanych uczniów Jezusa, gościnną wobec przybyszów, ale jednak żyjącą w oddaleniu od głównego nurtu ówczesnej kultury.

WSPÓŁCZESNA KULTURA AMERYKAŃSKA – lub szerzej: zachodnia – jest, zdaniem Drehera, ostentacyjnie antychrześcijańska, do tego stopnia, że właściwie nie sposób prowadzić życia całkiem w niej zanurzonego i być wiernym Ewangelii. Nie da się jednocześnie, podkreśla au-

tor opcji Benedykta, zmienić tej sytuacji środkami politycznymi. Dlatego, namawia Dreher, trzeba tworzyć mocne środowiska chrześcijańskie – mieszkając niedaleko kościołów i blisko siebie nawzajem, tworząc alternatywny system edukacji, wspierając biznesy swoich siostr i braci w wierze. W takich środowiskach będzie możliwa, jego zdaniem, właściwa formacja chrześcijańska.

Z PROPOZYCJAMI DREHERA można dyskutować. Wiele wątpliwości budzi zarówno jego konserwatywna wizja samego chrześcijaństwa, jak i – tym bardziej – jego postrzeganie współczesnej kultury: jako „miękkiego totalitaryzmu”, w którym trzeba funkcjonować podobnie, jak podziemne

wspólnoty chrześcijańskie funkcjonowały w komunistycznej Czechosłowacji czy na Węgrzech.

MYŚL DREHERA – śmiała i prowokacyjna – może jednak pobudzać do samodzielnego myślenia o miejscu Kościoła w świecie.
© PIOTR SIKORA



Rod Dreher
OPCJA BENEDYKTA
Wydawnictwo AA,
Kraków 2018



tenże
ŻYC BEZ KŁAMSTWA
Esprit,
Kraków 2021

⇒ **Wiele z problemów, na które Pan wskazuje, pojawi się od razu, gdy dopuści się człowieka do kontaktu z otaczającą kulturą – na przykład przez internet. Więc nie da się ich uniknąć, jeśli nie chcemy wychowywać dzieci i żyć w kompletnej izolacji. I tak liczy się wykształcenie wewnętrznej duchowej dyscypliny. Poza tym, wycofując się z różnych obszarów kultury – np. z publicznego szkolnictwa, tracimy na nie jakikolwiek wpływ i pozostawiamy innych samym sobie.**

W dużej mierze podzielałam te zastrzeżenia. Na pewno wewnętrzna dyscyplina i wychowanie w rodzinie jest kluczowe. Trzeba też myśleć o tych, którzy nie są z naszych wspólnot. Ale ważna jest tu roztropność. Jeśli widzisz, że konkretne środowisko, w którym wychowuje się twoje dziecko, ma na nie zbyt silny, negatywny wpływ – roztropność podpowiada, by je stamtąd zabrać. Czasami nacisk otoczenia rówieśników jest nie do odparcia przez rodziców.

Jak więc widzi Pan relację pomiędzy opcją Benedykta a ewangelizacją?

Chrześcijanie muszą ewangelizować, to nie ulega wątpliwości. Nie możemy jednak dać światu tego, czego nie mamy. Wiele badań pokazuje zaś, że w USA chrześcijaństwo, zwłaszcza młodsza generacja, niewiele wie o tym, czego uczy wiara chrześcijańska. Według poważnych badań z 2019 r. tylko jedna trzecia amerykańskich katolików wierzyła, że Eucharystia jest naprawdę Ciałem i Krwią Chrystusa. Inne badania ujawniają podobny stopień ignorancji w pozostałych Kościołach amerykańskich. Jak można oczekiwać od chrześcijan ewangelizacji, jeśli tak naprawdę nie wiemy, co to znaczy myśleć i żyć po chrześcijańsku? Nie można przeciwstawiać ewangelizacji i poświęcenia się budowaniu mocnych wspólnot chrześcijańskich. Obie rzeczy są konieczne i wzajemnie od siebie zależą.

Przez wiele lat dominowało u nas przekonanie, że religia jest przede wszystkim sprawą odczuwania pozytywnych emocji względem siebie i Boga, a Kościół powinien być przyjazny poszukującym. Parafie chciały być otwarte na niewierzących zainteresowanych wiarą. Wiele Kościołów tak bardzo starało się o atrakcyjność względem poszukujących, iż mają teraz

niewiele do zaoferowania tym, którzy już wierzą.

Myślę, że w sytuacji, gdy społeczeństwo staje się coraz bardziej zsekularyzowane, przetrwają te Kościoły, które są przyjazne tym, którzy już znaleźli. Może takie wspólnoty mają wyższy „próg wejścia”, ale zapewniają swoim członkom znacznie silniejsze więzi i bogatsze doświadczenie uczenia się i życia wiarą.

Może jednak da się łączyć otwarcie na poszukujących i dbanie o już wierzących? Skoro opcja Benedykta powstała w kontekście postrzegania amerykańskiej kultury jako postliberalnej i antychrześcijańskiej, ciekawi mnie, jak Pan widzi miejsce dla tej idei w zupełnie innym społeczeństwie: takim, w którym kultura pozostaje pod wpływem konserwatywnego nurtu katolicyzmu, w którym władze polityczne próbują wykorzystywać kulturowy katolicyzm, a nawet struktury Kościoła do utrzymania władzy, jednocześnie podejmując działania, które trudno

uznać za zgodne z Ewangelią (np. traktując imigrantów na granicy z Białorusią w sposób, który spowoduje cierpienie, a nawet śmierć – w tym kobiet i dzieci).

Chcę najpierw zastrzec, że nie znam dobrze sytuacji w Polsce, więc moja odpowiedź nie jest oceną polskiego rządu i jego relacji do Kościoła. Owszem, sformułowałem opcję Benedykta w kontekście doświadczenia lewicowej sekularyzującej się i liberalizującej kultury amerykańskiej. Ale zagrożenie wobec integralności chrześcijańskiej może przyjść także z prawej strony. W Stanach Zjednoczonych mamy wielki problem z niektórymi Kościołami ewangelikalnymi, które wspierają Donalda Trumpa i zawiązują Ewangelię w amerykańską flagę – kosztem czystości świadectwa chrześcijańskiego. By było jasne: nie uważam, że głosowanie na Trumpa jest samo w sobie złe. Ale martwi mnie, gdy widzę, jak myli się politykę z teologią.

Opcja Benedykta powinna być strategią ochrony Kościołów przed zniekształceniami przez siły polityczne zarówno lewicowe, jak i prawicowe. Uważam, że chrześcijanie powinni zajmować stanowisko w pewnych sprawach, zaliczam do nich aborcję czy ideologię *gender*, ale jednocześnie trzeba bardzo uważać, by Kościół nie został utożsamiony z jakąś modlącą się partią polityczną. Jestem prawosławnym i mam prawosławnych przyjaciół w Rosji. Są konserwatywnymi chrześcijanami, ale bardzo niepokoją się ścisłym związkiem Patriarchatu Moskiewskiego z władzami. Nie mam kompetencji, by wydawać sądy w tej sprawie, ale wiem, że choć w Stanach zagrożenie dla tradycyjnego chrześcijaństwa płynie zasadniczo z lewej strony, to nie tylko stamtąd. A także, że w innych krajach głównym zagrożeniem może być polityczna prawica. „Nie pokładajcie ufności w książętach” (Ps 146, 3) – mówi psalmista – to dobra rada dla wszystkich chrześcijan.

Wspominałem na początku o Franciszku Jägerstätterze i jego żonie. Nie wiem, co robili wcześniej w życiu, co dało im mądrość i siłę, by stawiać opór nazistom. Ale uważam, że opcja Benedykta powinna przygotować chrześcijan do czegoś podobnego: by mieli zdolność rozpoznania zła, przychodzącego zarówno z lewej, jak i z prawej strony, i by mieli siłę przeciwstawić się mu.

© Rozmawiał PIOTR SIKORA



TOMASZ JASTRZĘBOWSKI / REPORTER

ROD DREHER (ur. 1967) jest amerykańskim pisarzem i publicystą, autorem bestsellerowych książek o współczesnym chrześcijaństwie. Na Uniwersytecie Stanowym Luizjany ukończył dziennikarstwo. Jego artykuły na temat wojny kulturowej wywoływały dyskusje i kontrowersje. Prowadzi cieszący się popularnością blog w dwutygodniku „The American Conservative”.



Mozaika w świątyni w Seforis, ok. III-IV w. n.e.

DOMENA PUBLICZNA / WIKIPEDIA

Bazylika diakonis

ZUZANNA RADZIK

Mamy kolejne mocne archeologiczne świadectwo roli, jaką odgrywały kobiety w starożytnym Kościele.

Z WIEDZALIŚMY SEFORIS, RUINY PIĘKNEGO miasta, słynącego z licznych mozaikowych podłóg, w upalny wrześniowy dzień. W ruinach synagogi spotkał się grupę rozdyktowanych izraelskich czterdziestolatków. To niemożliwe – złościł się jeden z nich, ubrany po świecku – źle podpisano to miejsce. To nie może być synagoga. Inni również byli poruszeni: synagoga z mozaiką dekorowaną zodiakiem z Heliosem w centrum? Każde dziecko wie, że judaizm zakazywał przedstawiania ludzkich postaci. A tu grecki bóg słońca na posadzce?

Archeologia potrafi płatać figle tradycji, zachować to, co wymykało się normie kodyfikowanej przez autorytety religijne. Mozaiki, inskrypcje, groby, układy pomieszczeń, zakopane w jaskiniach rękopisy – przynoszą nam z zaskoczenia obrazy przeszłości niezgodne z tym, w co zwykliśmy wierzyć. Rabini chcieliby, by ich słuchano, po tekstach można odnieść wrażenie, że może i tak było. Archeologia jednak wie swoje, gdy odkrywa nieprawomyślne mozaiki. Podobnie gdy odsłania inskrypcje pokazujące znaczenie przywództwa starożytnych chrześcijańskich kobiet, o którym chcieli zapomnieć chrześcijańscy teologowie i przywódcy.

Poznajcie świętą matkę Sofronię, diakoniszę Teodozję i diakoniszę Gregorię, diakoniszę Severę... Kobiety tak ważne dla swojej wspólnoty, że poświęcono im inskrypcje w pysznej, wielkiej bazylice, którą niedawno odkopano w nadmorskim izraelskim mieście Aszdod.

Inskrypcje o kobietach

Ponoć odkrycie zaskoczyło samych archeologów. „Wysłałem tam kilku wolontariuszy, którzy niemal od razu znaleźli pierwszą inskrypcję – tłumaczył dziennikowi „Haaretz” prowadzący wykopaliska prof. Alexander Fantalkin, archeolog z Uniwersytetu w Tel Awiwie. – Myślałem: to będzie miły mały kościółek. Jakże się myliłem, stawał się coraz większy i większy”. Okazało się, że odsłonięto jedną z największych i najstarszych dotąd odkrytych na terenie Izraela bizantyjskich bazylik.

Jednak to nie wielkość obiektu jest największym zaskoczeniem. Odkrycie zwraca uwagę z dwóch innych powodów. Grobowce z IV w., które umieszczono w nawach, zostały użyte ponownie. Ciała wrzucono do nich →

→ (już bezładnie) w VI w., co wskazuje na pochówki z czasu zarazy z epoki cesarza Justyniana – na którą istniały tylko nieliczne archeologiczne dowody. Naukowcy będą teraz szukali śladów biologicznych w znalezionych w grobowcach szkieletach.

Jeszcze bardziej intrygujące są inskrypcje i nagrobki odnoszące się do kobiecej posługi diakonis. Tak liczne, że niektórzy badacze już nazwali kościół „bazyliką diakonis”. Niby nic nowego, bo wiemy, że w starożytności w wielu miejscach posługiwały diakonis, ale zwykle są to świadectwa rozproszone, a tu mamy do czynienia z koncentracją w jednym miejscu.

Skąd jednak tak wielka bazylika akurat tutaj? Leżało tu Azotos Paralios, duże miasto widoczne na mozaikowej mapie z Madaby (VI w.). Na słynnej mapie wygląda na drugie największe w Ziemi Świętej. Na łamach „Haaretz” badacze spekulują, że duże centrum kultu może być związane z Filipem, który w Dziejach Apostolskich uzdrowił Etiopczyka, a zaraz potem „znalazł się w Azocie i głosił Ewangelię od miasta do miasta, aż dotarł do Cezarei” (Dz 8, 40). Potem Dzieje Apostolskie wspominają jeszcze, że osiadł w Cezarei Filip miał cztery córki prorokinie-dziewice. Ale czy uzasadnione są spekulacje archeologów, którzy w Filipie i jego córkach upatrują postaci, które dały początek temu centrum religijnemu naznaczonemu tak silnie rolą kobiet?

Czas patronek

Są to jednak postacie odległe od początku V w., na który datowana jest pierwsza odkryta inskrypcja. Czemu szukać w tak odległej przeszłości? Ten czas, koniec IV i V w., to konstituowanie się chrześcijaństwa jako religii cesarstwa i delegalizacja pogaństwa. To również czas popularyzacji pielgrzymek do Ziemi Świętej i rozwoju szlaku między Synajem a Jerozolimą, prowadzącego właśnie drogą nadmorską, na której znajduje się m.in. Aszdod. Do tego dodać należy rozwój monastycyzmu, który mocno wpłynął na rozkwit znajdującej się na tym szlaku chrześcijańskiej Gazy,

Poznajcie matkę Sofronię,
diakonisy Teodozję,
Gregorię i Severę
– **kobiety tak ważne
dla swojej wspólnoty,**
że poświęcono im inskrypcje
w pięknej bazylice,
którą niedawno odkopano
w izraelskim mieście Ashdod.

wyrastającej od V w. na ważny ośrodek chrześcijańskiego monastycyzmu i restryki – co sprawiło, że na mapie z Madaby przedstawiono je jako drugie co do wielkości miasto.

Ta epoka to też czas patronek, sponsoerek, założycielek klasztorów – takich jak Paula (sponsorka pracy św. Hieronima) czy Melania Starsza i Młodsza. To okres, gdy w Rzymie działa krąg biblistek zgromadzony przez Marcelę, która z innymi patrycjuszkami studiowała Pismo, również w oryginalnych językach. A to tylko ułamek, o którym słyszymy, bo wspominają o nich zachowane listy Hieronima czy inne źródła. To czas, gdy do Ziemi Świętej pielgrzymuje Egeria, biegną w Piśmie i związanej z nim geografii, obserwująca zwyczaj z zagranicznych kościołów. Wiemy choćby tylko z tych źródeł, że kobiety przyciągało chrześcijaństwo i chciały być zaangażowane, gdzie tylko było to możliwe.

Wizerunki i symbole

Archeologicznych źródeł dotyczących roli kobiet w starożytnym chrześcijaństwie szukała Ally Kateusz (pisała o jej książce na tych łamach Katarzyna Martynuska w artykule „Kapłanki wczesnego Kościoła”; „TP” nr 47/2019) czy s. Christine Schenk, która poświęciła szczególną uwagę kobiecym chrześcijańskim sarkofagom. Z analizy tysięcy

sarkofagów Schenk wyciąga wnioski, że wiele kobiet było przedstawianych w pozycji autorytetu, co sygnalizuje ich rolę w chrześcijańskich wspólnotach. Jak podkreśla – za badaniami swoimi, ale też Carolyn Osiek i Petera Lampego – kobiety były w chrześcijaństwie IV w. bardziej wpływowe, niż sobie wyobrażamy.

Na sarkofagach są przedstawione ze zwojami, w geście nauczania, twarzą w twarz z apostołem, co jest sygnałem statusu we wspólnocie. Schenk przypomina też dużo wcześniejsze freski z katakumb Priscilli, czyli jednego z najstarszych chrześcijańskich cmentarzy, w których na fresku „Fractio panis” przedstawione są postacie być może łamiące chleb. Scena posiłku, bo tylko tego możemy być pewni, została szybko skojarzona z eucharystią. Dziś wielu badaczy i badaczek uważa, że te postacie to kobiety, nie jest jednak pewne, czy fresk jest dowodem na sprawowanie przez nie eucharystii, czy też przedstawia posiłek pogrzebowy. Nie ma jednak wątpliwości, że na tym fresku, datowanym na II w. n.e., kobieta pokazana jest w aktywnej roli we wspólnocie podczas jakiejś religijnej chrześcijańskiej ceremonii. W tych samych katakumbach przedstawiona jest budząca kontrowersję postać kobiety w szalu i geście modlitewnym.

Nie mniej zamieszania powodują freski z katakumb kościoła San Gennaro w Neapolu, odkryte w początku lat 70. i odrestaurowane dziesięć lat temu. Przedstawiają one dwie modlące się kobiety, Cerulę i Bitalię, nad których dłońmi widnieją zwoje opisane jako cztery Ewangelie.

Interpretowanie tych przedstawień kobiet jako wynikających z funkcji pełnionych przez ich ojców czy mężów przestaje wystarczać wobec tego wszystkiego, co wiemy. Pozostaniemy z pytaniem, ile jeszcze sarkofagów, inskrypcji, nagrobków i mozaik opowiadających nam historię Kościoła, zamiast historii napisanej przez mężczyzn, trzeba znaleźć, byśmy zaczęli te dowody traktować poważnie.

©© ZUZANNA RADZIK



Krzyż na Kaukazie

MARCELINA SZUMER-BRYSZ

Jako jedni z pierwszych przyjęli chrześcijaństwo. Zachowali własny język, wiarę i tradycję. Społeczność Udynów w Azerbejdżanie ma się dziś lepiej niż kiedykolwiek.

STRÓJ JEST BRĄZOWY. SKŁADAJĄ SIĘ na niego spodnie, barania czapa, koszula ze stójką i długi, sięgający niemal do ziemi kaftan haftowany złotą nicią. I właśnie on jest najciekawszy. Bo skąd nagle krzyż wyszywany z przodu tradycyjnego ubioru ludowych muzyków ze wsi Nidź (Nic) na północy Azerbejdżanu?

Nie tylko zresztą on jest nawiązaniem do chrześcijańskich korzeni noszących go mężczyzn. Słońce ze strzałami, które zdobi plecy, symbolizuje pielgrzymkę do Ziemi Świętej i oznacza, że nosząca go osoba przyjęła chrzest.

Wzmianki u Herodota

Udyni, bo o nich mowa, to dziewięcioletnia mniejszość etniczna zamieszkująca Kaukaz. Największa ich grupa żyje w Azerbejdżanie. Tu mieszka też szefujący reaktywowanej niedawno Albańskiej Chrześcijańskiej Wspólnoty Religijnej Udynów Robert Mobili.

– My, Udyni, jesteśmy spadkobiercami spuścizny Albanii Kaukaskiej – mówi Mobili, który niedawno gościł w Rzeszowie, na konferencji naukowej poświęconej Kaukazowi. Zaznacza od razu, że kraj ten nie miał nic wspólnego z istniejącym współcześnie bałkańskim państwem. – Albania Kaukaska była królestwem obejmującym m.in. tereny dzisiejszego Azerbejdżanu. Żył w nim 26 różnych plemion, ale najsilniejsze było właśnie nasze. O Albanii mowa w pismach Pliniusza, Strabona i Herodota. Udyni już wtedy byli w niej obecni.

Wskazują na to pisma odnalezione w 1995 r. w bibliotece klasztoru



REZA / GETTY IMAGES

Chrzest w społeczności Udynów w kościele św. Elizeusza we wsi Nidź. Azerbejdżan, 4 sierpnia 2013 r.

św. Katarzyny na Synaju. Początkowo badacze nie mogli odczytać 238 odnalezionych kart, nie wiadomo było bowiem, jakim alfabetem zostały zapisane. Nie był to alfabet ormiański, choć odrobinę go przypominał. Badania dowiodły, że to zapis stosowany w dawnej Albanii Kaukaskiej i praprawny, nieistniejący już język, z którego wywodzi się używany dziś język Udynów.

– Chrześcijaństwo przyjęliśmy niedługo po tym, gdy stało się ono religią obowiązującą w Imperium Romanum. Tłumaczenie Biblii na nasz język pochodzi z IV wieku i jest jednym z pierwszych na świecie – mówi Robert Mobili i przywołuje postać apostoła Bartłomieja, świętego opisanego w trzech ewangeliach i Dziejach Apostolskich, za sprawą którego Dobra Nowina dotarła do królestwa Albanii. W podobnym czasie chrześcijaństwo przyjęły Armenia i Gruzja.

Szkoła przetrwania

One przetrwały, Albania, której ostatnim królem był zamordowany w 822 r. Varaz Tiridates II, upadła pod naporem Arabów. Dziś teorii na jej temat jest wiele, a zależą w dużej mierze od tego, skąd pochodzą lansujący je naukowcy. Ormianie stoją

na stanowisku, że żadni „potomkowie” Albańczyków nie istnieją, bowiem przed wiekami, po upadku królestwa, zostali oni wchłonięci i zasymilowali się z ludnością ormiańską, gruzińską, turecką czy nawet irańską – czytamy w obszernym artykule opublikowanym przez portal Eurasianet. Azerowie i sami Udyni twierdzą coś zgoła przeciwnego i wiele wskazuje, że mają sporo racji.

Udyni przez wieki padali ofiarą sprzecznych interesów różnych nacji i władców. W XVIII w., gdy tereny, na których żyją, należały do Iranu, skarżyli się rosyjskiemu carowi, że niszczone są ich kościoły, a oni sami zmuszani do konwersji na islam. W 1836 r. car Mikołaj wydał dekret, na mocy którego Kościół albański został niejako wchłonięty przez ormiański. I choć zdaniem wielu historyków był on raczej próbą uporządkowania kwestii wyznań na Kaukazie niż chęcią zniszczenia albańskiej spuścizny, Udyni ten właśnie moment uważają za kolejną tragedię swojego ludu.

– Niektórzy z wiernych dostosowali się do tej decyzji i dołączyli do Kościoła ormiańskiego. Udyni nigdy tego nie zrobili. Zabrano nam nasze kościoły, zaczęliśmy więc modlić się w domach, one stały się →

→ naszymi świątyniami – mówi Robert Mobili.

W tamtym czasie Udyni skarżyli się ormiańskim hierarchom, że nabożeństwa odbywają się w języku, którego nie rozumieją. W jednym z zachowanych listów – przytaczanym przez Eurasianet – można przeczytać, że czują się przez Ormian traktowani jak „bezużyteczny, gnijący i szkodliwy element”.

Czyje więc są kościoły od wieków stojące na terenach Karabachu, który po 30-letniej okupacji armeńskiej wrócił w zeszłym roku w granice Azerbejdżanu? Mobili przekonuje, że są to kościoły albańskie, nie zaś ormiańskie.

– Jeśli Ormianie uważają, że to ich kościoły, dlaczego tak je zaniedbali? Dlaczego pozwolili, by popadły w kompletną ruinę? Dlaczego niektóre przerobili na obory, a inne na chlewy dla świń? Kto tak postępuje z własnymi świątyniami? Moim zdaniem tylko ci, którzy wcale nie czują, że to ich świątynie.

Portal Caspian News donosi z kolei, że zanim Ormianie wycofali się z Karabachu, klasztor Khudavang, który Udyni również uważają za swój, został splądrowany. Zabrano przedmioty liturgiczne, dzwon, a nawet część dachówek. Mobili był niedawno w tej świątyni. Jego zdaniem są dziesiątki elementów wskazujących na „albańskie” pochodzenie kompleksu: od kształtu krzyża, po kamienie użyte do jego budowy. – Nie ma mowy, by to był kościół ormiański.

Kaukascy Udyni
chrześcijaństwo przyjęli
jeszcze w starożytności.

Tłumaczenie Biblii
na ich język pochodzi
z IV wieku
**i jest jednym z pierwszych
na świecie.**

Polityka i religia

Mobili jest dumny, że Udyni przetrwali zachowując swój język i kulturę. – A przecież nie żyliśmy w próżni, nie chowaliśmy się przed światem. Tak, część naszych przeszła do Kościoła ormiańskiego, niektórzy zostali muzułmanami. Ale wielu pozostało wiernych spuściznie przodków.

Robert Mobili za swój najważniejszy cel uważa odbudowę niezależnego Kościoła albańskiego. Jego organizacja nawiązała współpracę z Syryjskim Kościołem Prawosławnym i jego biskupstwem w tureckim Mardin. Dwa razy w roku w tamtejszym klasztorze odbywają się szkolenia dla duchownych i liderów społeczności chrześcijańskiej. Dzieci Udynów uczą się w szkołach własnego języka, w Azerbejdżanie publikowane są dla nich

podręczniki i słowniki. Ale religia tych mieszkańców muzułmańskiego Azerbejdżanu wyraża się nie tylko w książkach. Gospodynie nie zaczynają piec afaru – tradycyjnego placka z nadzieniem z pokrzywy, jeśli wcześniej nie wykonają na cieście znaku krzyża.

W 2005 r. kościół w Nidzu został wyremontowany przez Ministerstwo Kultury Azerbejdżanu. Ku zadowoleniu wielu przedstawicieli Udynów zniknęły wtedy z niego ormiańskie inskrypcje.

Jak to możliwe, że Udynom z Azerbejdżanu bliżej do tamtejszych muzułmanów niż „braci w wierze” z Armenii? Mobili nie jest zadowolony z mojego pytania, ale w końcu wyjaśnia, że Azerowie zawsze okazywali im szacunek, podczas gdy Ormianie chcieli ich zdominować.

– Nie zaakceptowali nawet naszych imion i nazwisk, zmieniając je po swojemu. A Azerbejdżan, choć zamieszkanym w większości przez muzułmanów, jest krajem świeckim i jednocześnie wspierającym mniejszości etniczne i wyznaniowe. Islam nigdy nie był tu radykalny, to chyba jedyny kraj świata, w którym szyici i sunnici potrafią się modlić w jednym meczecie – twierdzi Mobili. Podkreśla też, że państwo równo traktuje obywateli różnych wyznań. – Pieniądze od państwa otrzymują wszystkie wspólnoty wyznaniowe. Część kościelnych rachunków, np. te za gaz, również opłaca państwo. Języki mniejszości nauczane są w szkole – wymienia.

Na razie Robert Mobili wizytuje kościoły w towarzystwie prezydenta Azerbejdżanu Ilhama Alijewa. Ten ostatnio zasugerował nawet „reaktywację” oryginalnego alfabetu, zastąpionego przez azerskich Udynów zapisem łacińskim.

Choć niektórzy publicyści zajmujący się Kaukazem twierdzą, że władzom bliższe są cele polityczne niż religijne, Mobili się z tym nie zgadza, podkreślając, że nie tylko Udyni mogą liczyć na wsparcie stawiającego na wielokulturowość państwa. Zwraca uwagę, że w Azerbejdżanie bez problemu funkcjonują nawet takie grupy religijne (np. Adwentyści Dnia Siódmego), na które gdzie indziej nie patrzy się przychylnie.

Udyni, chrześcijańska mniejszość przez wieki spychana na margines i pomijana w międzynarodowych decyzjach, złapali dziś wiatr w żagle i skwapliwie z tego korzystają.

© MARCELINA SZUMER-BRYSZ

W Sądzie Rejonowym w Jarosławiu, I Wydział Cywilny, pod sygn. akt I Ns 294/21 toczy się postępowanie z wniosku Mieczysławy Miszczyszyn z udziałem Anny Wołczeckiej, Julity Borowiec i Ewy Leśniak o stwierdzenie nabycia spadku po Alicji Józefie Szajnar z domu Szajnar, c. Stanisława i Władysławy, ur. 12 marca 1928 r. w Jarosławiu, zm. 5 listopada 2020 r. w Prałkowcach, ostatnio zamieszkałej w Jarosławiu. W skład spadku po niej wchodzi mieszkanie położone w Jarosławiu na os. Kopernika 6/18.

Wzywa się spadkobierców, aby w ciągu trzech miesięcy od dnia ukazania się ogłoszenia zgłosili się i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

W Sądzie Rejonowym w Tarnobrzegu w I Wydziale Cywilnym pod sygn. akt I Ns 438/21 toczy się postępowanie z wniosku Zofii Burdzy z udziałem Łukasza Burdzy, Pawła Burdzy i Sylwii Burdzy o stwierdzenie nabycia spadku po Mieczysławie Burdzy, zm. 23 lutego 2020 r. w Toms River, w USA. Ostatnim miejscem zwykłego pobytu spadkodawcy była Wydrza w Gminie Grębów.

Sąd Rejonowy w Tarnobrzegu wzywa spadkobierców, aby w ciągu trzech miesięcy zgłosili się i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

WOJCIECH

Bonowicz:

Budzenie



WYRWAĆ SIĘ Z ETYCZNEGO ODREŹWIENIA – oto zadanie na dziś. Porzucić przekonanie, że nic od nas nie zależy, na nic nie mamy wpływu, nikomu pomóc nie możemy, a nasza dobra wola albo napotka opór, albo zostanie wykorzystana. Przestać

myśleć partykularnie, skupiając się na własnej wygodzie, i zrobić miejsce innym, nieważne, czy ci inni przyjdą z daleka, czy już teraz mieszkają na sąsiedniej ulicy. Budząc się z etycznego odrętwienia, zaczynamy dostrzegać, że „las”, „granica” jest w bardzo różnych miejscach, a obojętność na los przybyszów jest efektem codziennego ćwiczenia się w nieczułości.

Notuję te myśli – nie odkrywcze bynajmniej, bo dotyczące spraw podstawowych – na marginesie eseju Filipa Springera, który otwiera jubileuszowy, osiemsetny numer miesięcznika „Znak”. Tytuł eseju, „Z głębi ciemnego lasu”, to aluzja do tego, co dzieje się dziś na granicy polsko-białoruskiej (a co, nawiasem mówiąc, tracimy powoli z oczu), ale też nawiązanie do pierwszej tercyny z „Boskiej komedii” Dantego. Springer, choć posługuje się klasycznym sformułowaniem zaproponowanym przez Edwarda Porębowicza, podaje ową tercynę również w nowym przekładzie Jarosława Mikołajewskiego, który umieszcza bohatera „w ciemnej dziczy, / bo prosta droga była zgubiona”. Nie chodzi tu, jak widać, o indywidualną pomyłkę, ale o błąd, by tak rzec, cywilizacyjny: zabrnęliśmy w miejsce, w którym trudno o światło, a prosta droga wyjścia nie istnieje. Co jednak nie zwalnia nas z poszukiwań – bohater Dantego schodzi do piekła, żeby lepiej zrozumieć, co właściwie stało się z jego światem.

Springer cytuje jeszcze jednego autora – rumuńskiego filozofa i polityka Andreia Pleșu. To właśnie on pisał o „etycznym odrętwieniu”, w które popadamy, żyjąc wedle „stadnej mechaniki”, koncentrującej nas raczej na tym, co przynosi profit, a nie na tym, co etycznie słuszne. Pleșu zwraca uwagę na te momenty, w których rozpoznanie dziejącego się zła czy krzywdy domaga się od nas natychmiastowej reakcji: „Są chwile, w których trzeba zrobić po prostu to, co jako pierwsze przychodzi do głowy. Każda zwłoka nieodwracalnie osłabia zdrowy moralny odruch” (tłum. Andrzej Zawadzki). Pojedynczy akt sprzeciwu czy solidarności ma przy tym moralne znaczenie niezależnie od tego, czy uruchomił ciąg pozytywnych zmian, czy przeszedł niezauważony. Nigdy nie wiemy z góry, jakie będą skutki naszych spontanicznych decyzji. To, co jedno pokolenie wysmiewa lub zignoruje, inne może docenić – i na odwrót. Ważne by – tak rozumiem interwencję Springera – nie tłumić owej spontaniczności, nie dysk-

dytować jej, nie traktować w kategoriach obłędu, tak jak to miało (i wciąż ma) miejsce w odniesieniu do ludzi, którzy zdecydowali się nieść ratunek uchodźcom uwięzionym na naszych wschodnich rubieżach.

Odruch moralny ma w tym przypadku podwójne znaczenie – niesie realną, nawet jeśli niewielką, pomoc, a jednocześnie rzuca światło na drogi, którymi idziemy, wskazuje inne, które zarosły, choć niegdyś były uczęszczane, oraz takie, które trzeba będzie dopiero wytyczyć.

Na razie, pisze Springer, cały świat wciąż próbuje nas przekonać, że wygoda jest najważniejsza: „niewyobrażalne siły, pieniądze i ludzka pomysłowość zostały zaprzęgnięte do tego wielkiego zadania – uczynienia ludzkiej egzystencji wygodniejszą. Ciężko na tę wygodę pracujemy, zniszczyliśmy nawet planetę, żeby ją osiągnąć. Nie było to może najbardziej dalekowzroczne posunięcie, ale kilku pokoleniom było przyjemnie. Dziś pukanie [przybyszów] do bram europejskiej twierdzy uświadamia nam, że ta wygoda była iluzją, dostępną zresztą nielicznym”. Dopowiedzmy, że przede wszystkim iluzoryczne było przekonanie, iż opiera się ona na stabilnych i sprawiedliwych podstawach. Pukanie, które się rozlega, przypomina nam o kosztach, których nie chcieliśmy płacić. Uchylając się od ich płacenia dzisiaj, wpędzamy się w etyczną, ale też egzystencjalną pułapkę. ©

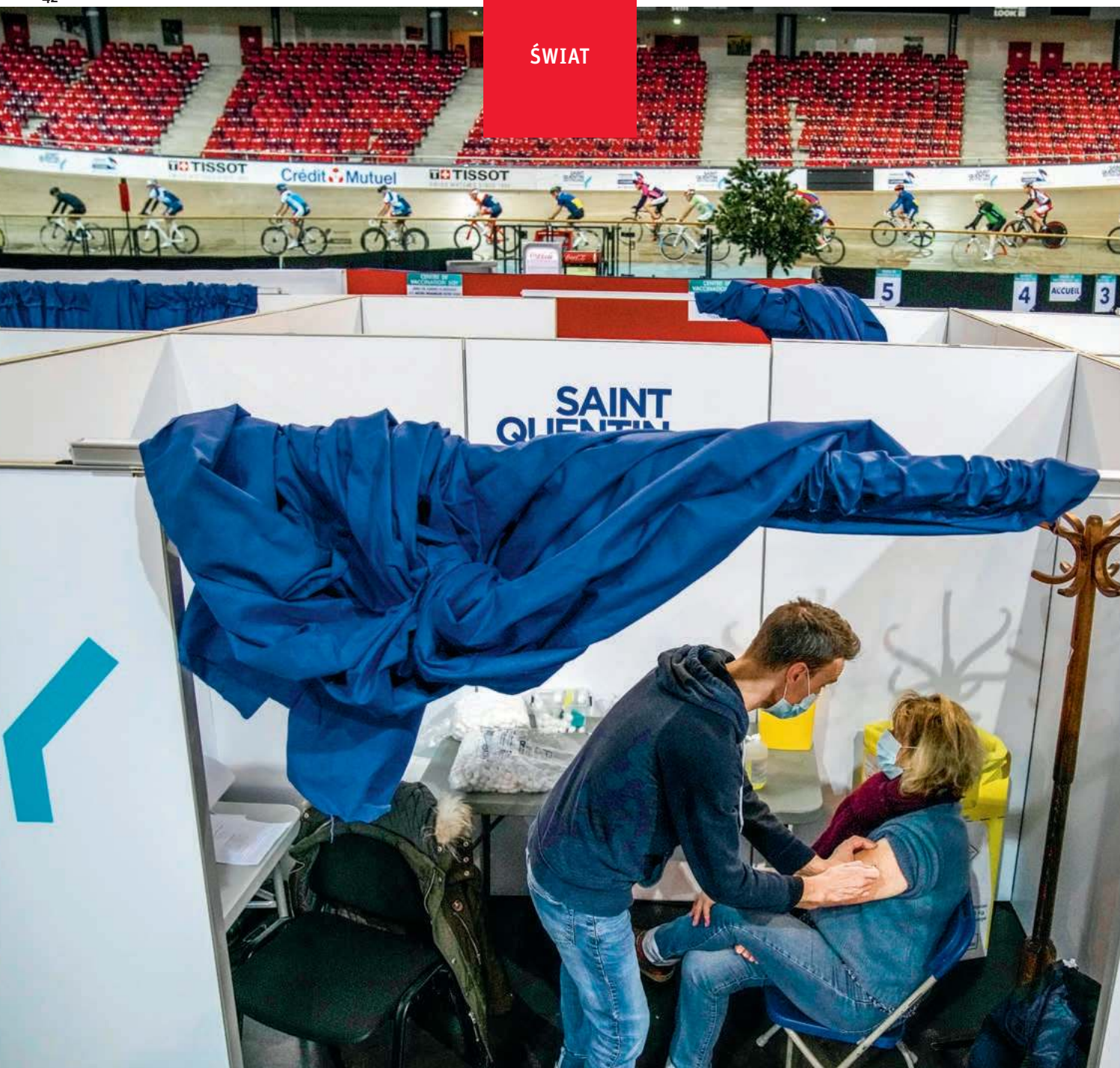
OGŁOSZENIA

W Sądzie Rejonowym dla Warszawy-Woli w Warszawie, w Wydziale I Cywilnym, pod sygnaturą akt I Ns 42/21 toczy się postępowanie z wniosku Skarbu Państwa – Prezydenta Miasta Łodzi o stwierdzenie nabycia spadku po Moszku Matysie Polakiewicz, synu Jakuba i Hindy Rajzli, ostatnio zwykle przebywającym w Warszawie przy ul. Chłodnej 62, urodzonym w 1893 r. w Warszawie, zmarłym 2 lipca 1937 r. w Warszawie.

Sąd wzywa wszystkich spadkobierców, aby w terminie 3 miesięcy od dnia ukazania się niniejszego ogłoszenia zgłosili się i udowodnili prawa do nabycia spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

W Sądzie Rejonowym w Opolu Lubelskim w sprawie I Ns 217/21 toczy się postępowanie z wniosku Agaty Marii Bednarczyk i Adama Grzegorza Bednarczyka o stwierdzenie zasiedzenia nieruchomości położonej w miejscowości Maszki Wojciechowskie, stanowiącej działkę oznaczoną w ewidencji gruntów numerem 500 o powierzchni 0,25 ha oraz działkę oznaczoną w ewidencji gruntów numerem 499/2 o powierzchni 0,40 ha.

Sąd wzywa wszystkich zainteresowanych, a zwłaszcza spadkobierców po Piotrze Figlarskim, synu Agnieszki i Józefa, zmarłym 23 kwietnia 1986 roku, do wylegitymowania praw do ww. nieruchomości w terminie 3 miesięcy od daty ukazania się ogłoszenia. Jeżeli w tym terminie nikt się nie zgłosi albo zgłoszący się, własności nie wykaże, Sąd stwierdzi zasiedzenie, jeżeli zostanie ono udowodnione.



W KLESZCZACH OMIKRONA

Wraz z ekspansją nowej mutacji koronawirusa we Francji zaostrza się ton publicznej debaty.

SZYMON ŁUCYK Z PARYŻA



Szczepienia na welodromie w mieście Saint-Quentin-en-Yvelines, należącym do paryskiej aglomeracji. 17 grudnia 2021 r.

zmarłych), zaś blisko 400 chorych trafia codziennie na oddziały intensywnej terapii. Od początku epidemii zmarło już ponad 126 tys. Francuzów.

Jeszcze mocniej od statystyk przemawiają do wyobraźni spektakularne przykłady – szczególnie, gdy dotyczą znanych osobistości. Prasa francuska podała na przełomie roku, że na covid zmarli w wieku 72 lat niemal jednocześnie najbardziej medialni francuscy bliźniacy, Igor i Grichka Bogdanoff. Pochodzący z rodziny imigranta z bolszewickiej Rosji, tworzyli nierozłączny duet; zasłynęli jeszcze w latach 70., gdy prowadzili popularny program telewizyjny *science fiction* „Temps X”, oglądany przez miliony Francuzów.

W ostatnich latach o braciach Bogdanoff było mniej głośno, jednak po wybuchu pandemii zabrali publicznie głos, podając w wątpliwość skuteczność szczepionek przeciw covidowi. Według dziennika „Le Monde”, żaden z nich się nie zaszczepił. Gdy w grudniu obaj zakazili się wirusem, lekarzom nie udało się ich uratować pomimo szybkiej hospitalizacji – bracia zmarli w odstępie sześciu dni.

Lekarze kontra antyszczepionkowcy

Czy historia braci Bogdanoff może zachęcić do szczepień tych, którzy są wobec nich najbardziej oporni?

We Francji do 11 stycznia dwiema dawkami zaszczepiły się 52 mln osób, czyli 77,6 proc. ogółu populacji, natomiast trzecią dawkę, przypominającą przyjęło 43 proc. populacji – przy czym dopiero w połowie grudnia rozpoczęto szczepienia dla dzieci w wieku 5-12 lat. Gdyby ograniczyć się tylko do dorosłych Francuzów, dwie dawki szczepionki przyjęło ok. 90 proc. spośród nich.

Tych 10 proc. niezaszczepionych to jednak niemało: 4 mln osób. I właśnie ta grupa, choć zdecydowanie mniejszościowa, skupia nad sobą gorące spory nad Sekwaną.

Według danych medycznych cytowanych przez dziennik „Le Figaro”, to właśnie osoby niezaszczepione lub nie w pełni zaszczepione stanowią obecnie ok. 80 proc. pacjentów na oddziałach reanimacyjnych we francuskich szpita-

lach. I to w sytuacji, gdy w placówkach zaczyna brakować łóżek szpitalnych, a personel medyczny pada ze zmęczenia. Popularny dziennik „Le Parisien” alarmował na początku roku, że już teraz w wielu szpitalach trzeba odkładać na później od dawna zaplanowane operacje z powodu lawinowego wzrostu liczby chorych na covid w stanie ciężkim.

Lekarze i pielęgniarki coraz częściej publicznie krytykują pacjentów odrzucających szczepienia. W grudniu kilkunastu lekarzy na łamach dziennika „Le Monde” opublikowało list, w którym wzywali niezaszczepionych do zmiany postawy. „Nie szczepić się to ryzykować życie swoje i innych (...), to także blokować dostęp do oddziałów intensywnej terapii osobom najsłabszym” – apelowali. Jak dotąd, z mało widocznym skutkiem.

Media francuskie cytują też głosy personelu medycznego, proponującego, by każdy niezaszczepiony płacił za pobyt pod respiratorem na francuskich OIOM-ach. Tę propozycję trudno uznać za realistyczną, zwłaszcza we Francji – wszak w konstytucji tego kraju zapisane jest, że państwo „gwarantuje każdemu opiekę zdrowotną”.

Macron chce być upierdliwy

Ton w kwestii szczepień zaostrzył także bardzo prezydent Emmanuel Macron – choć jeszcze niedawno, bo w noworocznym orędziu telewizyjnym, w pojednawczy sposób prosił „niezaszczepionych”, by uczynili ten „prosty gest” dla siebie i innych.

Ten sam prezydent na początku stycznia oświadczył: „Mam wielką ochotę wkurzać niezaszczepionych”. Słowa te padły w rozmowie z przedstawicielami „zwykłych Francuzów”, opublikowanej na łamach dziennika „Le Parisien”. Dokładniej rzecz biorąc, Macron użył dość wulgarnego – choć bardzo dziś spowszedniałego – czasownika *emmerder*; słowo to przysparza niemałych kłopotów tłumaczom z języka francuskiego, a najbliższy oryginału wydaje się zwrot „być (dla kogoś) upierdliwym”.

To niesalonowe określenie wzburzyło nie tylko samych zainteresowanych – co było nietrudne do przewidzenia – lecz także bardzo licznych zwolenników szczepień. „Prezydentowi nie wypada używać takich słów” – tak uważa 65 proc. Francuzów, według styczniowego sondażu →

WARIANT OMIKRON ROZPOWSZECZANIA się nad Sekwaną w błyskawicznym tempie. Liczby są alarmujące: Francja, gdzie codziennie notuje się już ponad 300 tys. nowych zakażeń – przy czym we wtorek 11 stycznia było to już prawie 360 tys. – wysunęła się na czoło w Europie pod względem tej statystyki.

W drugim tygodniu stycznia z powodu zakażenia koronawirusem codziennie umierało średnio dwieście kilkadziesiąt osób (jednak z tendencją od kilkunastu dni rosnącą: 11 stycznia było to już 339

CHRISTOPHE ENA / AP / EST NEWS

→ ośrodka Odoxa-Backbone dla dziennika „Le Figaro”. Ale jednocześnie 59 proc. ankietowanych przyznało, że prezydent ma rację co do sedna sprawy. Zwolennicy Macrona twierdzą, że nawet jeśli wyraził się on zbyt dosadnie, to tak naprawdę można go usprawiedliwić, bo, ich zdaniem, to niezaszczerpieni zatrzuwają życie reszcie Francuzów.

W tym samym wywiadzie padło jeszcze inne zdanie, bardziej nawet kontrowersyjne: nazywając osoby niezaszczerpię „nieodpowiedzialnymi”, Macron rzucił, iż „osoba nieodpowiedzialna nie jest obywatelem”. Opozycja, w pełni kampanii przed wiosennymi wyborami prezydenckimi, zatriumfowała, zarzucając prezydentowi pogardę wobec zwykłych Francuzów. Centroprawicowy marszałek Senatu Gérard Larcher oświadczył, że Macron „stygmatyzuje” miliony Francuzów i stara się ich pozbawić praw obywatelskich.

Protesty na ulicach

Wypowiedź Macrona oburzyła oczywiście także przeciwników szczepień, którzy w sobotę 8 stycznia wyszli na ulice wielu miast – w sumie według ministerstwa spraw wewnętrznych w całym kraju było ponad 100 tys. demonstrantów. To więcej niż w ostatnich tygodniach, ale mniej niż w szczytowym okresie demonstracji przeciw obowiązkowemu dziś paszportowi sanitarnemu – w sierpniu 2021 r. protestowało, według danych policyjnych, ok. 237 tys. osób. Jak wcześniej, tak i tym razem protestujący wznosili hasła takie jak: „Nie dla apartheidu” i „Stop dyktaturze sanitarnej”.

Według badań opinii przytaczanych przez „Le Figaro”, tylko 2 proc. Francuzów to tzw. twardzi antyszczepionkowcy, często bliscy teorii spiskowych. Pozostałe osoby, które dotąd nie chcą się szczepić, mają liczne wątpliwości lub też z zasady protestują przeciw przymusowym szczepieniom (tj. formalnie są one przymusowe dla personelu medycznego, ale coraz liczniejsze restrykcje sprawiają, że osobom niezaszczerpionym trudno już teraz uczestniczyć w życiu publicznym, a rząd szykuje kolejne ograniczenia).

Niemniej można przypuszczać, że to właśnie niewielka „frakcja” radykalna nadaje ton protestom przeciw restrykcyjnej polityce antycovidowej.

Nowy paszport szczepionkowy

Już od kilku miesięcy nad Sekwaną obowiązuje paszport sanitarny, bez którego nie można wejść do większości miejsc publicznych, takich jak środki transportu (samoloty i pociągi dalekobieżne), niektóre centra handlowe, bary, restauracje, kina, teatry czy muzea. Za paszport sanitarny uznaje się we Francji certyfikat szczepień przeciw covidowi, ale także negatywny wynik testu.

Teraz jednak władze idą krok dalej: od połowy stycznia chcą zastąpić ów paszport sanitarny – paszportem szczepionkowym. Innymi słowy: od tej pory tylko osoby zaszczepione będą mogły uczestniczyć w szeroko pojętym życiu społecznym. Pozostali nie będą mieli wstępu do większości miejsc publicznych – nawet negatywny wynik testu już tu nie wystarczy.

Centrowy prezydent Macron i lojalny mu rząd premiera Jeana Casteksa pozostają wierni swojej strategii: zmusić niemal wszystkich Francuzów do szczepień, nie wprowadzając formalnie ich obowiązku.

Na nowym paszporcie rządowe restrykcje się nie kończą. W obliczu fali Omikrona od stycznia w wielu miastach przywrócono obowiązek noszenia masek ochronnych na ulicy (nie wymaga się jednak, jak we Włoszech, żeby były to maski typu FFP2). Nakaz ten wywołał kolejne sprzeciwy, także wśród lekarzy, którzy powątpiewają w jego skuteczność – zwracają oni uwagę, że do zdecydowanej większości zakażeń dochodzi w pomieszczeniach, a nie na zewnątrz.

Poza tym władze wprowadziły obowiązkową telepracę co najmniej trzy razy w tygodniu we wszystkich miejscach, gdzie jest to możliwe. Za złamanie tej reguły mają grozić wysokie grzywny.

Projekt wprowadzenia paszportu szczepionkowego był przedmiotem gorących debat w parlamencie. I wszystko wskazuje, że po jego przegłosowaniu przeciwnicy obowiązkowych szczepień będą kontynuować batalię na ulicy.

Rząd francuski planuje też surowiej ścigać osoby które używają fałszywych certyfikatów szczepień – będzie im grozić nawet do 5 lat więzienia i 75 tys. euro grzywny. Według policji na początku roku krążyło we Francji aż 200 tys. fałszywych przepustek sanitarnych (projekt ustawy przewiduje też furtkę dla skruszonych: przyłapany oszust może

uniknąć tej bardzo surowej kary, jeśli zaszczepi się w ciągu miesiąca).

Szkolny chaos

Z powodu ofensywy Omikrona napięcie rośnie nie tylko w szpitalach, ale także w szkołach. Początkowo ministerstwo edukacji zamierzało przedłużyć przerwę noworoczną, żeby powstrzymać ekspansję wirusa. W końcu jednak zwyciężyła opcja, że dzieci i młodzież mają wrócić do nauki zaraz po Nowym Roku. Kłopot w tym, że po tym, jak szybko wykryto liczne przypadki zakażeń wśród uczniów lub nauczycieli, 10 tys. klas szkolnych trzeba było tymczasowo zamknąć.

Według francuskiej procedury, każdy z uczniów może wrócić do nauki tylko wtedy, gdy przedstawi negatywny wynik testu. To jednak nie rozwiązało problemu: obowiązek natychmiastowego dostarczenia testu szkole zmusza rodziców dzieci do czekania w tasemcowych kolejkach do laboratoriów lub aptek (we Francji także one wykonują testy). Nie wspominając o tym, że licznych zakażonych nauczycieli nie ma kto zastąpić, w związku z tym normalna edukacja staje się w wielu miejscach fikcją.

Po wielu woltach rząd uprosił procedurę, dopuszczając robienie przez samych uczniów szybkich testów. Problem w tym, że w aptekach brakuje takich testów; rzecznik rządu twierdzi, że w najbliższych dniach mają one dotrzeć do aptek.

Widmo edukacyjnego paraliżu

Chaotyczne i często zmieniające się komunikaty władz wywołały gniew rodziców i nauczycieli. Większość związków zawodowych sektora edukacyjnego ogłosiła ogólnokrajowy dzień strajku: protestują przeciw „niewyobrażalnemu bałaganowi”, o który obwiniają rząd.

Stéphane Crochet, sekretarz generalny SE-Unsa, jednego z syndykatów nauczycielskich, bije na alarm. „Nigdy nie widzieliśmy czegoś podobnego – mówił Crochet cytowany przez radio France Inter. – Takiego poziomu rozpacz, wyczerpania, kolegów ze łzami w oczach, którzy spędzają całe wieczory, żeby wysłać wiadomości do rodziców uczniów o kolejnych zmianach procedur”.

Ta ocena, nawet jeśli bardzo emocjonalna, dobrze oddaje widmo paraliżu szkół wywołanego ekspansją Omikrona.

Groźny moment

WOJCIECH KONOŃCZUK

Po serii negocjacji USA i NATO odrzuciły rosyjskie ultimatum, co jest dobrą wiadomością. Jednak wywołany przez Rosję kryzys jest daleki od zakończenia.

NIEKTÓRZY ZACHODNI POLITYCY UZNALI, że miniony tydzień będzie najważniejszy w stosunkach międzynarodowych od dziesięcioleci. Choć było w tym dużo przesady, to rozmowy amerykańsko-rosyjskie w Genewie, spotkanie Rady NATO–Rosja w Brukseli i posiedzenia OBWE w Wiedniu przykuły uwagę świata. Wszystko ze względu na trwającą od trzech miesięcy kolejną zmasowaną koncentrację wojsk rosyjskich wzdłuż granic Ukrainy, czemu towarzyszą rosyjskie żądania wobec Zachodu.

Przypomnijmy, że Kreml w sposób bezceremonialny domaga się, by państwa i instytucje zachodnie zrewidowały swoją współpracę z Ukrainą, w tym zagwarantowały, że nigdy nie zostanie przyjęta do NATO, aby zmusiły Kijów do realizacji porozumień z Mińska (niekorzystnych dla Ukrainy) i zobowiązały się, że w państwach wschodniej flanki nie będzie żadnych systemów i infrastruktury wojskowej Sojuszu.

W TRAKCIE SERII SPOTKAŃ Rosja nie pozostawiała wątpliwości, że oczekuje przyjęcia wszystkich jej żądań bez wyjątku, strasząc zarazem, że ich odrzucenie przyniesie „nieobliczalne konsekwencje” dla bezpieczeństwa europejskiego. Było to zwińczenie wielotygodniowej operacji zastraszania Zachodu z intencją zmuszenia go do jednostronnych ustępstw. Rosyjskie ultimatywne działania, wyjątkowo bezczelny sposób ich formułowania i używany przy tym język (daleki od dyplomatycznego) nie mają precedensu w relacjach zachodnio-rosyjskich po 1991 r. A jednak mimo



Sekretarz generalny NATO Jens Stoltenberg (w środku) i wiceszef MSZ Rosji Aleksandr Gruszko przed rozmowami w kwatrze głównej NATO. Bruksela, 12 stycznia 2022 r.

tej presji Zachód wystąpił zwartym frontem, odrzucając groźby i pokazując nieustępliwość – czym zaskoczył Moskwę, która najwidoczniej uważała, że przynajmniej w wybranych obszarach możliwe będą ustępstwa.

Najważniejsze dziś pytanie brzmi: co dalej? Dla wszystkich jest bowiem jasne, że kryzys jest daleki od rozwiązania. Co więcej, Moskwa uznaje, że skoro Zachód odrzucił jej warunki, to nie ma sensu dalej rozmawiać. Dlatego w kolejnych dniach i tygodniach nie są planowane żadne nowe rozmowy. Z punktu widzenia Rosji w grę nie wchodzi jednak jej pasywność, bo to oznaczałoby jej prestiżową porażkę i utratę twarzy. Rosyjscy oficjele sugerują pewne kroki, jakie może podjąć Moskwa.

NAJBARDZIEJ PRAWDOPODOBNA wydaje się nowa faza konfliktu w Donbasie, która wyjdzie poza ten okupowany przez Rosję region i będzie efektem rosyjskiej prowokacji – mającej służyć oskarżeniu Ukrainy, iż to ona jest winna eskalacji. Nie ma też wątpliwości, że Moskwa będzie podejmować inne działania destabilizujące państwo ukraińskie i Zachód.

Próbkę widzieliśmy w piątek 14 stycznia, gdy strony internetowe wielu ukraińskich instytucji państwowych – od MSZ i rządu po służbę finansową – zostały poddane zmasowanemu atakowi hakerskiemu. Przy czym zamieszczony przez hakerów komunikat informował (m.in. w kiepskim języku polskim), że jest to zemsta za... zbrodnie OUN-UPA na Wołyniu. Nietrudno stwierdzić, kto za tę oczywistą prowokację odpowiada.

A wszystko wskazuje, że jest to dopiero początek podobnych ataków, które dają Moskwie możliwość do umywania rąk i powtarzania, przy równoczesnym mruganiu okiem: „To nie my”.

Asortyment działań, które Rosja może podjąć, jest zresztą szerszy. Może obejmować np. stacjonowanie rosyjskich systemów ofensywnych na Białorusi, czy nawet na Kubie lub w Wenezueli. W założeniu Moskwy działania destabilizujące mają jeszcze bardziej zwiększyć napięcie międzynarodowe, co z kolei ma służyć bardziej efektywnemu zmuszeniu Zachodu do kolejnych negocjacji i do oczekiwanych przez Moskwę ustępstw.

ZACHÓD ZDAJE SOBIE SPRAWĘ, w jak groźnym momencie znalazło się europejskie bezpieczeństwo – i coraz bardziej otwarcie próbuje pokazać Moskwie, jaką cenę zapłaci za swoje działania. Stąd pojawiające się propozycje nowych sankcji, jeśli w tej czy w innej formie dojdzie do kolejnej rosyjskiej agresji. W odpowiedzi Kreml grozi całkowitym zerwaniem relacji z Zachodem.

Pokuszenie się o bardziej konkretną prognozę, jak dalej rozwinie się ten kryzys, jest dzisiaj praktycznie niewykonalne. Warto natomiast pamiętać, że historia relacji Moskwy z jej zachodnimi sąsiadami uczy, iż dla efektywnego powstrzymania Rosji konieczne są nie ustępstwa, lecz ich brak – przy jasnym określeniu ceny, jaką Kreml może zapłacić za złamanie reguł prawa międzynarodowego. ©

Tekst ukończono w piątek 14 stycznia

Wyspa, która tonie

ULA IDZIKOWSKA Z KORFU (MORZE JOŃSKIE, GRECJA)

Turyści odjechali. Na wymarłej greckiej wyspie zostali mieszkańcy i śmieci. Korfu walczy ze skutkami pandemii, stosami odpadów i obojętnością rządu w Atenach.

TO TUTAJ JESZCZE COŚ LATA? PRZECIEŻ o tej porze nikt tu nie przyjeżdża! – Makis, właściciel kilku apartamentów w Kavos na południu Korfu, dziwi się, że decyduje się na urlop po sezonie. Przestrzega, że wszystko jest zamknięte, oprócz kilku supermarketów i nielicznych barów.

Nie przesadza. Z trudem udaje mi się zdobyć zapasy. Poza tym gdziekolwiek się pojawia, wzbudzam sensację. Za każdym razem padają te same pytania. Skąd jesteś? Co tu robisz? Przecież wszystko pozamykane. Planujesz przejść całą wyspę? Po co?

W każdej z wymarłych miejscowości natrafiam na ten sam obraz: spiętrzone stoły, spuszczone rolety i zaplastikowane wejścia. Dopiero we wsi Pentati, 30 km od Kavos, znajduję drugą otwartą tawernę. Właściciel Marcos od razu zabiera mnie do kuchni. Podnosi pokrywki i wysuwa naczynia z piekarnika. Wybieram ryż z warzywami – jedynę wegetariańskie danie – i pytam o miniony sezon. Marcos nie narzeka. Stwierdza, że przyjechało sporo Polaków.

Według wiceminister turystyki Sofii Zacharaki, do połowy lipca 2021 r. Grecję odwiedziło ponad 200 tys. turystów z Polski – w porównaniu z 295 tys. w całym 2020 r. Kraj ten znalazł się – oprócz Chorwacji i Włoch – w czołówce ówczesnych wakacyjnych kierunków Polaków.

– Ale straciliśmy Anglików – marwi się właściciel hotelu w nadmorskim Ipsos, niedaleko stolicy wyspy. Przed pandemią Korfu, liczące 110 tys. stałych mieszkańców, co roku odwiedzało pół miliona Brytyjczyków – tymczasem w 2021 r. na przyjazd zdecydowała się zaledwie jedna trzecia tej liczby. Ubiegły sezon był przy tym wyjątkowy krótki: jeszcze w czerwcu plaże i bary świeciły pustkami ze względu na obostrzenia covi-

dowe, turyści zaczęli przyjeżdżać dopiero w połowie lipca.

Królowa Wyp Juńskich

Madalena, właścicielka pokoi do wynajęcia w miejscowości Pelekas, obawia się, że będzie musiała zrezygnować z prowadzenia pensjonatu. – Więcej kosztuje nas utrzymanie obiektu i opłaty. Gdybyśmy tu nie mieszkali, to już dawno dalibyśmy sobie spokój – tłumaczy. – Sezon skończył się dużo wcześniej, bo we wrześniu. Dwa miesiące to zdecydowanie za krótko, żeby utrzymać się przez resztę roku.

Również właściciel hotelu w Ipsos liczy na to, że tegoroczny sezon będzie dłuższy: – W 2020 r. mogliśmy wynająć tylko połowę pokoi ze względu na obostrzenia. Jeżeli sytuacja się nie poprawi, to zbankrutujemy.

Grecki sektor turystyczny zatrudnia 16 proc. obywateli. Jeszcze w 2018 r. Grecję odwiedziła rekordowa liczba 33 mln turystów – w porównaniu z 15 mln w 2010 r. Żaden inny europejski kraj nie odnotował takiego wzrostu liczby urlopowiczów w ciągu dekady. A Korfu, nazywana królową Wyp Juńskich, to najczęściej odwiedzana grecka wyspa, po Santorini i Krecie.

Nie powinno to dziwić: gaje oliwne, wzgórza porośnięte zielenią i plaże – wydłubione poza sezonem – cieszą oczy. Do tego idyllicznego obrazka nie pasują tylko sterty śmieci, na które można natrafić na obrzeżach wsi i w korytach wyschniętych rzek. Podpytuję właściciela tawerny w Sinarades, czy wie coś na ten temat. – Jesteśmy na wyspie, więc musimy sobie radzić z odpadami sami. Dysponujemy zaledwie jednym wysypiskiem, które niestety bardzo szybko się zapełnia.

„Powstrzymamy tę zbrodnię”

Wyspa boryka się z problemem utylizacji śmieci od lat. Komisja Europejska stwierdziła uchybienia w funkcjonowaniu wysypiska w Temploni, 12 km od stolicy

wyspy, już w 2011 r. Do niedociągnięć zaliczono „niewłaściwą gospodarkę biogazem, nieoczyszczanie ścieków oraz obecność odpadów, które powinny być przetwarzane w innych warunkach”.

Ponieważ greckie władze nie podjęły odpowiednich kroków w celu rozwiązania problemu, cztery lata później Komisja skierowała sprawę do Trybunału Sprawiedliwości UE. Decyzję uzasadniano m.in. zagrożeniem, jakie wysypisko niesie dla zdrowia ludzi i dla środowiska. Sytuacja pozostawała bez zmian przez kolejne trzy lata. Do 2018 r., kiedy „kryzys śmieciowy” osiągnął apogeum: stosy piętrzących się odpadów i unoszący się smród spowodowały, że wielu turystów zrezygnowało z pobytu – jak wspominał pisarz Richard Pine w artykule dla ateńskiego dziennika „Kathimerini” z 2019 r.

Mieszkańcy wielokrotnie protestowali przeciw nieudolnej gospodarce odpadami. Plan utworzenia nowego wysypiska w Lefkimi na południu wyspy spotkał się z tak gwałtownym sprzeciwem, że ministerstwo środowiska w Atenach z niego zrezygnowało. Ostatecznie władze zdecydowały o otwarciu nowego składowiska odpadów w 2023 r. w tym samym miejscu, czyli w Temploni. W ten sposób pogrzebano nadzieje mieszkańców na odzyskanie i ponowne zagospodarowanie tego terenu.

Ostatni protest odbył się w czerwcu tamtego roku, przy okazji Światowego Dnia Ochrony Środowiska. Organizacja Waste Watch Corfu, organizator demonstracji, chciała w ten sposób „powstrzymać tę zbrodnię” – takie hasło widniało na ich transparentach.

Na własną rękę

Mieszkańcy Korfu nie czekają na interwencję polityków, starają się rozwiązać problem sami. – Utworzyliśmy kilka centrów recyklingowych. Poza tym próbujemy nadać przedmiotom i ubraniom drugie życie: wymieniamy je, oddajemy lub sprzedajemy. Ta forma recyklingu zyskała na popularności ze względu na skutki kryzysu ekonomicznego – wyjaśnia mi Christina Panagiotidou z biura podróży Green Corfu. Razem z grupą przyjaciół wróciła kilka lat temu na wyspę. – Mieliśmy dosyć gonitwy. Stwierdziliśmy, że na Korfu, wśród zieleni, odzyskamy spokój. W końcu otoczenie ma znaczący wpływ na nasze życie – wspomina Christina.



Plaża w pobliżu Chalikounas, Korfu, 14 listopada 2021 r.

Panagiotidou podkreśla, jak ważny jest zintegrowany system recyklingu: – Na wyspie wytwarzamy znacznie więcej odpadów, niż jesteśmy w stanie zutylizować. Najlepiej zacząć od segregacji śmieci u źródła: w domach, restauracjach i hotelach. W ten sposób znacznie mniej odpadów trafiałoby do środowiska. Jest kilka osób i organizacji, które starają się promować ten pomysł. Pojawiła się też propozycja generowania biogazu z odpadów organicznych z prasy oliwnej i odpadów restauracyjnych, ale żadne konkretne plany nie zostały jeszcze upublicznione. Miejmy nadzieję, że wkrótce usłyszymy więcej.

Christina Panagiotidou zaznacza, że śmieci to niejedyny problem na Korfu: – W wielu wsiach brakuje odpowiedniej instalacji kanalizacyjnej. Domy, hotele, a nawet fabryki są uzależnione od zbiorników kanalizacyjnych. W ostatnich latach w wielu firmach, a nawet pojedyn-

czych domach zainstalowano oczyszczalnie biologiczne, aby znacznie zmniejszyć produkcję odpadów.

Pod groźbą grzywny

Gdy w listopadzie i grudniu 2021 r. w Grecji notowano codziennie maksymalnie 8 tys. nowych zakażeń koronawirusem, wydawało się, że sytuacja jest tragiczna. Dodatkowe obostrzenia wprowadzono już na początku listopada, aby powstrzymać falę zachorowań wywołaną wariantem Delta. Dziś w kraju zdomował się już na dobre nowy wariant Omikron – i od końca grudnia wykres nowych infekcji zaczął rosnąć niemal pionowo, osiągając w pierwszych kilkunastu dniach stycznia średni poziom 30-35 tys. nowych infekcji dziennie (to tak, jakby w Polsce było ich trochę ponad 100 tys.). Dodatkowe restrykcje, obowiązujące od 3 stycznia, pozostaną w mocy do co najmniej 16 stycz-

nia. Połowa pracowników sektora publicznego pracuje zdalnie, a wszystkie lokale rozrywkowe są zamykane o północy. Przy stoliku może siedzieć maksymalnie sześć osób.

Obostrzenia w barach i restauracjach wprowadzono już na początku listopada – jeszcze przed apogeum fali wywołanej przez wariant Omikron. Przed wejściem do każdego baru czy restauracji pytano mnie o paszport covidowy, jako że wstęp do środka mają jedynie osoby zaszczepione – osoby z oficjalnym potwierdzeniem o negatywnym wyniku testu mogą zająć miejsca na zewnątrz. Za niedostosowanie się do tego rozporządzenia grozi grzywna 5 tys. euro dla właściciela i zamknięcie lokalu na dwa tygodnie, a dla klientów po 300 euro.

Obowiązek dla seniora

Do 10 stycznia dwiema dawkami zaszczepiło się zaledwie 66,3 proc. Greków, a dawkę trzecią, przypominającą, przyjęło 37,2 proc. populacji. To nieco więcej niż europejska średnia (dla porównania: w Polsce tego dnia podwojnie zaszczepionych było jedynie 56,1 proc., a potrójnie – 20,7 proc.). Greckim władzom nie udało się więc zrealizować swojego celu, aby przed początkiem zimy zaszczepić dwiema dawkami 70 proc. społeczeństwa.

Pod koniec listopada, jeszcze podczas apogeum Delt, premier Kyriakos Mitsotakis ogłosił kolejny sposób na zwalczanie koronawirusa: od 16 stycznia osoby powyżej 60. roku życia będą płacić grzywnę w wysokości 100 euro miesięcznie, jeśli do tej pory nie zaszczepią się albo – jeśli nie są jeszcze zaszczepione – nie umówią się wiążąco na szczepienie. Kara ma być pobierana automatycznie przez urząd podatkowy, a pozyskane środki będą przeznaczone na finansowanie szpitali.

Sceptycy wątpią, czy to pomoże. – Ja się zaszczepiłam, bo prowadzę biznes – mówiła mi Madalena. – Ale to przecież sprawa osobista. Rząd nie powinien przmuszać ludzi.

Nikolaos Tzanakis, ekspert w dziedzinie chorób układu oddechowego, obawia się, że szczyt fali wariantu Omikron jeszcze przed Grecją: zespół, którym Tzanakis kieruje, szacuje, że ta uderzy w kraj między 20 a 25 stycznia. Albo nawet później, jeżeli okaże się, że okres ferii nie przyniósł pożądanego efektu, a otwarte szkoły przyczyniają się do dalszego rozprzestrzeniania się wirusa. ©



ESTEBAN FELIX / AP / EAST NEWS

Prezydent elekt Gabriel Boric (po prawej) przyjmuje gratulacje od swoich zwolenników, Santiago, 20 grudnia 2021 r.

Zacząć wszystko od nowa

MAGDALENA BARTCZAK

Chile ma za sobą intensywny czas polityczno-społecznych przełomów, a w nowy rok weszło z dużą niepewnością, ale też nadzieją. Oraz z nowym, najmłodszym w swej historii, prezydentem.

WEDŁUG WIERZEŃ RDZENNYCH MIESZKAŃCÓW Chile Nowy Rok obchodzi się w tym kraju dwa razy. Nie tylko pod koniec grudnia, ale też w ostatnich dniach czerwca, gdy na południowej półkuli następuje czas przesilenia zimowego.

Zgodnie z legendami ludu Ajmarów dochodzi wtedy do symbolicznej odnowy roku, Machac Mara, świętowanej składaniem specjalnych darów Ziemi w podziękowaniu za jej hojność. Mieszkańcy Rapa Nui (inaczej Wyspy Wielkanocnej, należącej do Chile) określają ten moment mianem Aringa Ora, co oznacza „żywą twarz przodka”. Składają

wówczas hołd duchom wyspy i tym, którzy zamieszkiwali ją przed nimi. Dla Rapanuczyków jest to też święto płodności i urodzaju – czas, gdy wraz ze światem odradza się ludzka energia. Z kolei Mapucze, najliczniejsi rdzenni mieszkańcy Chile, pod koniec czerwca celebrują noworoczne Wiñol Tripantu. Zgodnie z ich wierzeniami jest to czas przesilenia: symbolicznego schyłku dawnego porządku i nadejścia nowego.

Zdaniem Jaime’ego Luisa Huenúna – mapuczańskiego pisarza, poety i profesora literatury – nie bez powodu właśnie połowa roku 2021 przyniosła temu państwu polityczne przełomy.

– Dla nas Wiñol Tripantu, które świętujemy od kilkuset lat, oznacza zmianę, nowe otwarcie. Jest w tych dniach coś, co zapowiada odnowę. I czuje się to w naturze: w obfitych deszczach, silnym wietrze, podnoszących się wodach rzek i jezior. Przyroda kwitnie i ożywa. Wszystko to oznacza cyrkulację energii, zamknięcie jednego cyklu i otwarcie kolejnego – opowiada mi Huenún.

– W polityczno-społecznej rzeczywistości Chile te zmiany były teraz bardzo widoczne. Tak jakby energia Wiñol Tripantu, jednego z najważniejszych mapuczańskich świąt, patronowała tym przełomom i im towarzyszyła – dodaje Huenún.

Pierwszy przełom

Polityczne przesilenie nadeszło 4 lipca, kilka dni po czerwcowym Nowym Roku.

Odbyły się wtedy pierwsze obrady wyłonionego w drodze wyborów Zgromadzenia Konstytucyjnego, które zaczęło pracę nad nową ustawą zasadniczą. Ma zastąpić tę odziedziczoną jeszcze po rządach Augusta Pinocheta – przyjętą w 1980 r., na podstawie sfałszowanego przez ówczesne władze plebiscytu. Jed-

nym z jej czołowych autorów był Jaime Guzmán – ideolog tamtego reżimu, guru tutejszych konserwatystów i założyciel skrajnie prawicowej Niezależnej Unii Demokratycznej (UDI).

Przemowę otwierającą obrady wygłosiła świeżo wybrana przewodnicząca, Elisa Loncón, zasłużona profesorka językoznawstwa należąca do społeczności Mapuczy. Jest jedną z 17 reprezentantów rdzennych ludów Chile, dla których zarezerwowano miejsca w zgromadzeniu – tym samym po raz pierwszy w historii będą oni mieli udział w tworzeniu pisanego dla kraju prawa.

„Moje słowa kieruję do wszystkich mieszkańców Chile, od dalekiej północy po Patagonię; od wybrzeża po górskie szczyty. Do mieszkańców lądu i wysp” – tak Loncón zaczęła swój poruszający wywód, częściowo wypowiedziany w mapudungun, rodowym języku Mapuczy. „Dziś rodzi się Chile w liczbie mnogiej. Chile rozumiane jako wspólnota, wielojęzyczne i wielokulturowe. Tworzone przez różne narody, płcie i terytoria. Połączone tym samym marzeniem, jakim jest napisanie nowej konstytucji. *Mañum pu lamngen! Marichiweu!* (Dziękuję, bracia i siostry! Zwycięzimy!)”.

Maraton zmian

Potem, gdy rok 2021 dobiegał końca, nadeszły następne przesilenia.

Jedno z nich wydarzyło się 7 grudnia. Przyjęto wówczas ustawę o legalizacji małżeństw par jedнопłciowych, które od stycznia mogą już nie tylko zawierać związki partnerskie czy adoptować dzieci, ale też sankcjonować swoje relacje małżeńską przysięgą. Z inicjatywą przywrócenia ustawy do porządków obrad wystąpił sam prezydent, centroprawicowy i znany z konserwatywnych poglądów Sebastián Piñera, a prawo przyjęto przy znacznej przewadze głosów: 82 deputowanych było za, 20 przeciw, dwie osoby się wstrzymały.

Głosowaniu przyglądała się z trybuny Isabel Amor, dyrektorka fundacji Iguales, która działa na rzecz praw osób LGBT+. Nie kryła wzruszenia: „Jestem ogromnie przejęta – wyznała chilijskim mediom po poznaniu wyników. – Naprawdę wiele mnie kosztuje to, żeby zachować dziś spokój. To historyczny dzień dla naszej społeczności. Mamy za sobą dużo ciężkiej pracy. I trudny wielokilometrowy maraton, który wreszcie

doprowadził nas do miejsca, w którym jesteśmy teraz”.

Legalizacja małżeństw osób tej samej płci, akceptowana przez 75 proc. społeczeństwa, jest symbolem tego, jak długą drogę obyczajowych zmian przeszło w ostatnich dekadach Chile. Kraj, gdzie aż do 2017 r. obowiązywał całkowity zakaz aborcji (pięć lat temu dopuszczono aborcję w sytuacjach, gdy życie matki jest zagrożone, ciąża jest wynikiem gwałtu lub wykryto śmiertelne wady płodu), gdzie dopiero w 2004 r. zalegalizowano rozwody, i gdzie do końca 1999 r. za związek z osobą tej samej płci można było trafić na kilka lat do więzienia.

Pożegnanie z przeszłością

Kolejny sygnał przesilenia pojawił się 16 grudnia, wkrótce po przegłosowaniu powyższej ustawy. Tego dnia w wieku 99 lat zmarła Lucía Hiriart, wdowa po Augustie Pinochecie (zmarłym w 2006 r.). Znana też jako „Doña Lucía” lub „Czarna Wdowa”, przez lata pozostawała symbolem łączącym współczesne Chile z ciężarem tamtej dyktatury.

Uważa się, że Lucía Hiriart była najbliższą doradczynią i prawą ręką Pinocheta, którego od początku ich długoletniego związku motywowała do wojskowej, a później politycznej kariery. Sam generał przyznawał, że dominująca małżonka często wpływała na jego decyzje. Przekonała go m.in. do współudziału w zamachu stanu, w którym 11 września 1973 r. armia obaliła rządy lewicowego prezydenta Salvadora Allende.

– Dziwna ulga, poczucie zerwania z przeszłością. I radość, jakkolwiek źle brzmiałoby mówienie o cieszeniu się z tego, że ktoś umarł – komentuje odejście „Czarnej Wdowy” José, mój chilijski znajomy.

José prawie nie pamięta czasów reżimu, przyszedł na świat w jego schyłkowym momencie, w 1986 r. Ale ma wrażenie, że trudno tej śmierci, szczególnie teraz, nie uznać za ważny znak; może moment ostatecznego zamknięcia pewnej epoki.

Choć on sam nie wyszedł tego dnia świętować na ulice – jak uczyniło kilkanaście tysięcy Chilińczyków – to tak jak wielu z nich ma poczucie, że stała się rzecz niemożliwa. Wdowie po Pinochecie określano bowiem, pół żartem, pół serio, mianem nieśmiertelnej. Pomimo podeszłego wieku i licznych problemów ze

zdrowiem przeżywała wszystkich wokół. Ostatnie lata spędzała na uboczu, mieszkając w rodzinnej willi, w najzamożniejszej dzielnicy stołecznego Santiago. Chile doświadczało kolejnych społecznych wstrząsów, a ona trwała dalej – i na przekór wszystkim wydawała się niezniszczalna.

Wyborcza niespodzianka

Tego samego dnia, w którym odeszła „nieśmiertelna” Lucía, finiszu dobiegała kampania dwóch kandydatów: lewicowego Gabriela Borica, reprezentującego koalicję Apruebo Dignidad, oraz ultraprawicowego Joségo Antonia Kasta – założyciela i przedstawiciela chilijskiej Partii Republikańskiej.

Dwóch rywali, których zdawało się dzielić wszystko, w niedzielę 19 grudnia zmierzyło się ze sobą w drugiej turze wyborów prezydenckich.

Wygrana Borica była dla wielu zaskoczeniem. W pierwszej turze z 21 listopada lewicowy polityk zdobył mniejsze poparcie od konkurenta – jego zwycięstwo w finale, mimo wcześniejszej przegranej, stanowi pierwszy tego typu przypadek w historii chilijskich wyborów. Co więcej, poza tymi dwoma kandydatami najwięcej głosów otrzymali inni reprezentanci partii bądź ruchów prawicowych – Franco Parisi i Sebastián Sichel. Oni zaś jasno dali swoim wyborcom do zrozumienia, że przekazują otrzymane poparcie Kastowi i właśnie jemu będą kibicować, solidaryzując się z prawicowym kandydatem przeciwko temu lewicowemu.

Ostateczny triumf Borica tłumaczy się masową mobilizacją tych, którzy w pierwszej turze w ogóle nie poszli do urn – takich osób było ponad 1,2 mln w całym Chile. To właśnie ów „nowy” elektorat w dużej mierze przeważał szalę zwycięstwa na stronę kandydata Apruebo Dignidad i – jak wskazują sondaże – składał się on głównie z osób młodych. Według danych zebranych przez agencję badawczą Unholster w pierwszej turze głos oddało zaledwie 53 proc. wyborców poniżej 30. roku życia, w drugiej zaś odsetek ten wzrósł już do 63 proc.

„Gdyby Pinochet żył...”

Istotna dla finałowego wyniku okazała się też mobilizacja kobiet – ich partycypacja wzrosła z 58 proc. w pierwszej turze do 67 proc. w drugiej.

→ Silne poparcie Chilijek dla Borica wynikało także z lęku przed jego kontrkandydatem. José Antonio Kast wielokrotnie opowiadał się jako zdecydowany przeciwnik „feministycznej ideologii”, zwolennik powrotu do całkowitego zakazu aborcji i krytyk tzw. antykoncepcji awaryjnej. 55-letni polityk zapowiedział też likwidację kilku resortów, w tym Ministerstwa ds. Kobiet i Równouprawnienia, motywując to planowanym wprowadzeniem budżetowych oszczędności. I choć później się z tego pomysłu wycofał, to wcześniejsze deklaracje skutecznie zniechęciły wiele Chilijek do oddania na niego głosu.

Kandydatowi Partii Republikańskiej nie pomogło też podejście do przeszłości – szczególnie ocena dokonań Pinocheta, którego nigdy nie uznawał za dyktatora, lecz „lidera rządu wojskowego”. Kast już kiedyś jasno wyraził pełne poparcie dla jego rządów: w 1988 r., gdy Chile miało opowiedzieć się w drodze plebiscytu za końcem lub utrzymaniem reżimu, jako student prawa i działacz politycznej młodzieżówki uczestniczył w kampanii promującej opcję drugą, czyli brak demokratycznych wyborów i przedłużenie kadencji Pinocheta.

Kast wielokrotnie przyznawał też, jak bliska jest mu postać i spuścizna generała. „Gdyby Pinochet żył, zagłosowałby na mnie” – zadeklarował w 2017 r., kiedy po raz pierwszy ubiegał się o urząd prezydenta.

Spoza układów

Te wybory okazały się wyjątkowe nie tylko z powodu niespodziewanego sukcesu poprzedzonego porażką. Historyczna okazała się też frekwencja, jaką odnotowano w drugiej turze. Do urn ruszyło ponad 8,3 mln ludzi, czyli 55,6 proc. uprawnionych do głosowania – najwięcej od czasu wycofania obowiązku głosowania w 2012 r. Gabriel Boric stał się też prezydentem wybranym największą liczbą głosów w historii kraju. W finałowym pojedynku zdobył ich 55,8 proc., czyli 4,6 mln głosów (Kast otrzymał 44 proc., ok. 3,5 mln głosów).

Wyjątkowy jest też wiek zwycięzcy. Będzie on najmłodszą głową państwa w dziejach Chile i jednym z najmłodszych politycznych liderów na świecie. Ma 35 lat i stanie się pierwszym chilijskim prezydentem, który przyszedł na świat już po przewrocie wojskowym. Re-

35-letni Gabriel Boric to postać spoza układów politycznych, które ukształtowała chilijska transformacja.

prezentuje głos młodszych pokoleń, pozostając postacią spoza układów politycznych, które ukształtowała tutejsza transformacja.

W przeszłości Boric często odcinał się zresztą od centrolewicy, która w dużym stopniu rządziła Chile przez ostatnie trzy dekady, zarzucając jej konformizm i niedostateczne reformy. Na scenie politycznej pojawił się 10 lat temu, jako jeden z liderów masowych protestów studenckich. Był twarzą ruchu Oburzonych, domagających się wprowadzenia darmowej i uniwersalnej edukacji, która byłaby bardziej dostępna dla wszystkich Chilijczyków. Na fali osiągniętej wówczas popularyzacji w 2014 r. zdobył mandat w parlamencie (Kongresie), gdzie współtworzył lewicową formację Frente Amplio i reprezentował swój rodzinny region, Magallanes.

Te korzenie Borica wydają się nie bez znaczenia – pochodzi on bowiem spoza centrum nie tylko w politycznym, lecz także geograficznym sensie tego słowa. Urodził się i dużą część życia spędził w Punta Arenas, wietrznym porcie nad Cieśniną Magellana, położonym ok. 3 tys. kilometrów od stolicy.

To jedno z najbardziej wysuniętych na południe miast świata, odizolowane od reszty kraju bezkresną patagońską pampą. Tak jak wielu jego mieszkańców, Boric ma chorwackich przodków – jego pradziadkowie ze strony ojca dotarli tu pod koniec XIX w. z zadarskiej wysepki Ugljan.

Przestrzeń Punta Arenas często powracała w jego kampanii. W jednym ze spotów wspiął się na szczyt wielkiego cyprysu – charakterystycznego elementu pejzażu Magallanes, patagońskiej stolicy. Ten oryginalny kadr podbił chilijski internet i stał się nośnym symbolem. Romantycznym obrazkiem młodzieńczej odwagi, zaangażowania i patrzenia w przyszłość – z nieoczywistym w tych czasach optymizmem.

Wielkie nadzieje

– Dziś wygrało Chile robotników, kobiet oraz studentów. Wygrał postęp społeczny i wiara w demokrację – mówi mi rozentuzjasmowany Ernesto z Santiago. – Przyzwyczajoność oraz zdrowy rozsądek pokonały fake newsy, manipulację i agresywną polaryzację naszego społeczeństwa. Zwyciężyły z nieczystą władzą pieniądza i wielkimi korporacjami, unikającymi płacenia podatków. Z pinochetyzmem, zdolnym często do wszystkiego, aby tylko zdobyć władzę. Wygrała kampania zrobiona z głębi serca i wygrała nadzieja.

Tamtej niedzieli, 19 grudnia, wkrótce po poznaniu wyników, Ernesto wyszedł celebrować je na pobliskim placu w swojej dzielnicy, Plaza Ñuñoa. Tego upalnego wieczoru – na półkuli południowej jest teraz lato – był on jednym z wielu tysięcy Chilijczyków świętujących na ulicach.

Największe tłumy zebrały się w centrum stolicy, w pobliżu miejsca, gdzie prezydent elekt wygłaszał emocjonalną półgodzinną przemowę. Zapowiedział w niej walkę z głębokimi nierównościami, poszerzenie praw socjalnych oraz decentralizację polityki. Obiecał, że najważniejsze będą dla niego prawa człowieka – szczególnie mniejszości społecznych i etnicznych oraz kobiet. „Będę prezydentem wszystkich Chilijczyków i Chilijek” – krzyczał ze sceny, zapowiadając pielęgnację dialogu i wspólnoty oraz walkę z wykluczeniem.

Wiele powtórzonych tego wieczoru punktów jego programu – m.in. wzmocnienie sektora publicznego i demontaż gospodarki neoliberalnej – współbrzmiało z tym, czego Chilijczycy spodziewają się po nowej ustawie zasadniczej.

Podobnie jak wspomniana pierwsza przewodnicząca konstytuanty, Elisa Loncón, Boric szybko stał się postacią ikoniczną – symbolem nowego otwarcia dla kraju, pragnącego napisać siebie od nowa. „Nie bójcie się młodości, zaufajcie jej!” – wołał ze sceny dawny lider protestów studenckich, który wkrótce, 11 marca, obejmie urząd jako 34. prezydent Chile.

Choć jego kraj czeka jeszcze długa droga do realnych zmian, jedno wydaje się pewne: Boric ma w sobie siłę potrzebną na czas swoistego Wiñol Tripanu, polityczno-społecznego przesilenia. Uosabia przywracaną dziś Chilijczykom – choćby na chwilę – nadzieję.

© MAGDALENA BARTCZAK



ALEXI ROSENFELD / GETTY IMAGES

Wejście do ciastkarni na Manhattanie z ogłoszeniem o poszukiwaniu rąk do pracy. Brak personelu dokucza zwłaszcza branży handlowej i gastronomicznej w USA.
Nowy Jork, 12 stycznia 2022 r.

Pracownik czasowo nieдоступny

MARTA ZDZIEBORSKA

Zmęczeni niemal dwoma latami pandemii Amerykanie nie chcą harować za wszelką cenę. W Stanach brakuje już 11 mln ludzi do pracy.

CATHERINE DUGONI MÓWI O SOBIE, ŻE nie jest mistrzynią szybkiego podejmowania decyzji, ale ta akurat przyszła jej bez trudu. Gdy tylko do jej rodzinnego Sacramento, stolicy stanu Kalifornia, przyjechał brytyjski wokalista Harry Styles, 23-latką wybrała się na jego koncert z konkretną misją. Trzymając kartkę z napisem „Powiedz mi, żebym rzuciła pracę”, ustawiła się przy scenie, licząc na reakcję Stylesa. Nie zawiodła się: w przebrwie między piosenkami artysta wysłuchał jej rozterek dotyczących pracy w marketingu, a obecny przy tym tłum fanów namawiał ją do rzucenia etatu.

Catherine uznała, że to znak od losu, i następnego dnia rano złożyła wypowiedzenie. Jak tłumaczyła potem w wywiadach dla amerykańskich mediów – jej wyczyn podczas koncertu zwrócił uwagę dziennikarzy – od dawna myślała o odejściu z firmy, bo doskwierała jej praca zdalna i brak kontaktu z ludźmi. „To po prostu nie było dla mnie” – stwierdziła w rozmowie z gazetą „SF Gate”, dodając, że od zawsze marzy jej się kariera pisarki.

Milion powodów

Catherine Dugoni nie tylko wylądowała na bezrobociu, ale stała się też – niejako przy okazji – częścią zjawiska społecznego nazywanego już w Stanach „wielką rezygnacją”.

Począwszy od kwietnia 2021 r., co miesiąc z pracy rezygnuje średnio ponad 4 mln Amerykanów. Najwięcej, bo aż 4,4 mln osób (czyli 3 proc. ogółu siły roboczej), złożyło wypowiedzenia we wrześniu 2021 r. Amerykanom łatwiej teraz trzasnąć drzwiami, bo w odbudowującej się gospodarce – mimo trwającej cały czas pandemii, gdzie obecnie za sprawą wariantu Omikron notuje się nawet po milion nowych infekcji dziennie – stopa bezrobocia spadła pod koniec 2021 r. do 4,2 proc. Na chętnych czeka rekordowe 11 mln wakatów, co jest odwróceniem sytuacji z wiosny 2020 r., gdy w wyniku lockdownów w całym kraju bezrobocie poszybowało do 14,7 proc.

Po prawie dwóch latach pandemii etat rzucają Amerykanie z różnych środowisk: wypaleni zawodowo pracownicy korporacji, kiepsko zarabiający kelnerzy, marzący o wcześniejszej emeryturze pięćdziesięciolatkowie i poszukujący nowych dróg rozwoju milenialsi.

Z drugiej strony za rekordowym odpływem siły roboczej stoją także ci, którzy zwlekają z powrotem na rynek pracy: np. boją się zakażenia, mają trudności z opłaceniem drogiego żłobka dla dzieci lub odwrotnie – dzięki zasiłkom dla bezrobotnych zgromadzili pewne oszczędności i mogą pozwolić sobie na chwilowy przestój.

Wszystko to sprawia, że amerykańskie firmy jak nigdy zabiegają o pracowników.

Bo pies zachorował

Randale Watson, menedżer supermarketu ze zdrową żywnością w San Francisco, mówi „Tygodnikowi”, że nie ma dnia, by nie poświęcał kilku godzin na rekrutację. Ale choć wciąż zatrudnia nowych ludzi, to w zespole liczącym 120 osób potrzebuje jeszcze kilkunastu dodatkowych pracowników. Nie pomagają bonusy, jak podwyższenie stawki godzinowej do 17,5 dolara i wypłata tysiąca dolarów specjalnej premii po trzymiesięcznym okresie próbnym. Ludzie po prostu podpisują umowę, ale potem rezygnują.

– Niektórzy odchodzą już po dwóch godzinach pracy, mówiąc, że to nie jest zajęcie dla nich – tłumaczy mi Randale. – Zresztą, co ja mówię! Wiele osób nie pojawia się nawet pierwszego dnia w sklepie! Po prostu nagle znikają: nie odbierają telefonów lub podają absurdalne wymówki, jak ta, że rozchorował im się pies albo że rzekomo nie mieli jasnych wytycznych dotyczących godzin pracy – dodaje menedżer.

Randale narzeka na dużą konkurencję w San Francisco, co utrudnia zatrzymanie w firmie pracowników. W mieście roi się od reklam w witrynach sklepów i restauracji, które kuszą kandydatów coraz wyższymi stawkami.

– Jak widać, nadal nie jesteśmy wystarczająco atrakcyjni, skoro kilka ulic dalej meksykańska knajpa Chipotle płaci 20 dolarów za godzinę – twierdzi Randale, który ze względu na braki kadrowe coraz częściej sam zasiada na kasie i pomaga w wykładaniu towarów na półki.



→ Mówi, że problemy pojawiły się już na początku pandemii, gdy ze strachu przed zakażeniem wiele osób poprosiło o bezpłatny urlop. Z drugiej strony menedżer pociesza się, że ostatnio zgłaszają się do niego osoby, które wcześniej o pracy w supermarkecie nawet by nie pomyślały.

– Kilka miesięcy temu dołączył do nas chłopak, który nagrywał muzykę do hollywoodzkich filmów. Powiedział, że chce zatrudnić się w sklepie, bo ma już dość pracy zdalnej i brakuje mu kontaktu z ludźmi. On akurat jest w porządku, jeszcze nie zrezygnował – podkreśla Randle.

Przemęczenie i rozdawnictwo

Z brakami kadrowymi od miesiąca zmagają się również RF Buche, znany właściciel sieci sklepów spożywczych i restauracji w Dakocie Południowej. Aby przyciągnąć nowych ludzi, przedsiębiorca zaczął oferować po 2 tys. dolarów jednorazowego dodatku przy podpisaniu umowy oraz stawkę 22,5 dolarów za nadgodzinę. Mimo to brakuje chętnych, a ci, którzy już u niego pracują, coraz częściej narzekają na przemęczenie i wypalenie zawodowe.

– Niedawno dostałem wypowiedzenie od menedżera sklepu, który nie miał już siły robić nadgodzin – mówi „Tygodnikowi” Buche. – Z kolei w jednej z moich restauracji mam tak mało pracowników, że musiałem skrócić godziny otwarcia o sześć godzin. Tylko w ciągu tygodnia tracę na tym 10 tys. dolarów utargu – szacuje przedsiębiorca, który w liczącym 400 osób zespole potrzebuje jeszcze ok. 70 pracowników.

Buche uważa, że za brakami kadrowymi stoi m.in. socjalne rozdawnictwo w indiańskich rezerwach, skąd pochodzi wielu jego pracowników. Tłumaczy, że w Lower Brule, Pine Ridge i Rosebud władze plemienne skorzystały z antykryzysowych funduszy od rządu federalnego USA i wypłaciły mieszkańcom po 2 tys. dolarów zapomogi na głowę.

– Dla ubogich rodzin, które liczą np. 12 osób, to duży zastrzyk pieniędzy. Najwyraźniej niektórzy uznali, że nie opłaca im się przez jakiś czas pracować – twierdzi Buche, podkreślając jednocześnie, że ta pomoc socjalna przyczyniła się do wzrostu obrotów w sklepach, które jego firma prowadzi na terenie rezerwatów.

Zasiłek dla antyszczepionkowca?

Buche narzeka, że nie ma miesiąca, aby ktoś z jego zespołu nie przebywał w domu na kwarantannie. Mówi, że wielu jego indiańskich pracowników tłoczy się w niewielkich domach, co ułatwia rozprzestrzenianie się koronawirusa. Sytuację utrudnia dodatkowo fakt, że ok. 50 jego pracowników to antyszczepionkowcy.

Jeszcze do połowy stycznia RF Buche jak ognia bał się wprowadzenia federalnego nakazu szczepień dla firm zatrudniających więcej niż stu pracowników. Ostatecznie jednak po długiej batalii przepisy zostały zablokowane przez Sąd Najwyższy USA, co uchroniło wiele firm przed falą rezygnacji wśród pracowników (nakaz obowiązuje jedynie w finansowanych przez rząd federalny placówkach służby zdrowia). Towarzyszące projektowi emocje dobrze oddawały wypowiedzi republikańskich polityków: w stanach, takich jak Iowa, Tennessee, Floryda i Kansas zarzekali się, że ci, którzy nie zaszczepią się i stracą z tego powodu pracę, mogą liczyć na zasiłek dla bezrobotnych.

– Boję się, że ludzie będą chcieli obejść obowiązek szczepień i albo pójdą na bezrobocie, albo znajdą pracę w firmie zatrudniającej poniżej stu osób. Nawet nie chcę myśleć, co będzie dalej... – mówi RF Buche.

Dyrektor szoruje toaletę

Fala zwolnień wśród pracowników-antyszczepionkowców może okazać się szczególnie dotkliwa dla branż, które zmagają się z największym odpływem ludzi: gastronomii, hotelarstwa, handlu i branży rozrywkowej. Deficyt siły roboczej obserwuje się też w finansach, ubezpieczeniach, sektorze edukacji i służbie zdrowia.

Szacuje się, że już w niemal jednej czwartej amerykańskich szpitali brakuje rąk do pracy, co spowodowane jest dodatkowo ogromną skalą zakażeń wariantem Omikron. Aby zmniejszyć braki kadrowe, amerykańskie Centrum Zapobiegania i Kontroli Chorób skróciło zalecany okres kwarantanny dla pracowników z 10 do 5 dni. Władze Kalifornii poszły o krok dalej i zezwoliły szpitalom na wzywanie z powrotem do pracy pielęgniarek i lekarzy, którzy mają pozytywny wynik testu na koronawirusa, ale nie mają objawów.

Z poważnymi brakami kadrowymi borykają się również szkoły finansowane przez władze lokalne i stanowe: w niektórych jest tak źle, że niekiedy odwołuje się lekcje lub organizuje się je w większych

grupach zdalnie. W szkołach w stanach Vermont i Newada brakuje nawet personelu sprząającego, co sprawiło, że obowiązkiem dyrektorów czy członków rad szkolnych stało się szorowanie toalet i mycie podłóg.

Michał Kopera, naukowiec pracujący na stanowym Uniwersytecie Idaho, mówi „Tygodnikowi”, że do pracy w podstawówkach werbuje się nawet rodziców uczniów. – Od tygodni dostaję maile ze szkoły, gdzie uczą się moi synowie – tłumaczy Kopera. – Dyrekcja pisze, że przyda się każda pomoc przy prowadzeniu zajęć lub pilnowaniu uczniów na przerwach.

Kopera mówi, że problem deficytu pracowników pojawił się też na jego uczelni: – Jeszcze kilka miesięcy temu nie mieliśmy trudności ze znalezieniem studentów do drobnych prac administracyjnych lub udzielania korepetycji kolegom z roku. Dziś na dziesięć wolnych miejsc zgłosiły się tylko dwie osoby.

Niektórym studentom bardziej kalkuluje się praca w McDonaldzie, gdzie zarobią nawet 15 dolarów za godzinę.

Dziś pracuję z Rzymu

Rosnące płace to już ogólnokrajowy trend. W odpowiedzi na deficyt pracowników i ponad 6-procentową inflację amerykańskie firmy – jak Target i Walmart (wielkie sieci handlowe) czy nawet Amazon (gigant w handlu online) – prześcigają się w podwyższaniu stawek właśnie do 15 dolarów za godzinę. W niektórych stanach, jak Alabama czy Idaho, stanowi to dwukrotność obowiązującej tam płacy minimalnej. Z danych cytowanych przez „Washington Post” wynika, że już 80 proc. amerykańskich pracowników zarabia co najmniej 15 dolarów za godzinę – to o jedną piątą więcej niż siedem lat temu.

Strach przed utratą pracowników sprawia też, że firmy starają się przytrzymać ich nietypowymi bonusami. Np. firma analityczna App Annie daje swoim etatowcom możliwość pracowania przez trzy miesiące z dowolnego miejsca na świecie, a duża firma produkcyjna z Kalifornii dopłaca do urlopów wypoczynkowych. Z kolei sieć przychodni weterynaryjnych Heart + Paw oferuje „na dzień dobry” 100 tys. dolarów: to propozycja dla doświadczonych weterynarzy, którzy są na wagę złota w klinikach w stanach Maryland i Rhode Island.

Restrykcje na granicy

Zmęczone brakami kadrowymi firmy coraz częściej apelują o poluzowanie przepisów imigracyjnych, licząc, że ułatwiłoby to obsadzenie wakatów w takich branżach jak gastronomia i rolnictwo. Pracodawcy czekają też na usprawnienie spowolnionych procedur wizowych: podczas gdy jeszcze przed pandemią Stany Zjednoczone przyjmowały rocznie około miliona migrantów, w 2020 r. liczba ta spadła do 226 tysięcy.

Na amerykańskim rynku pracy odbiły się również obowiązujące przez 19 miesięcy restrykcje wjazdowe na granicy lądowej z Meksykiem. To uderzyło w przygraniczne miejscowości, jak kalifornijskie San Diego, które w dużym stopniu polega na pracy meksykańskich imigrantów. Jeszcze przed otwarciem granicy w listopadzie 2021 r. mieszkańcy pobliskiej Tijuany mogli dojeżdżać do pracy w Kalifornii tylko pod warunkiem, że byli zaszczepieni przeciw covid, mieli obywatelstwo USA lub status stałego rezydenta.

Restrykcje uderzyły najbardziej w posiadaczy tzw. border crossing card – dokumentu uprawniającego do krótkich wizyt w celach turystycznych lub biznesowych – którzy, łamiąc przepisy, jeździli do Stanów pracować na czarno.

Przybądź jak najszybciej

O tym, jak restrykcje na granicy odbiły się na lokalnym rynku pracy, przekonała się mieszkająca i pracująca w San Diego Diana.

Gdy łączymy się przez komunikator Messenger, widzę na ekranie komputera zmęczoną 27-letnią kobietę z podkrążonymi oczami. Zatrudniona w McDonaldzie Meksykanka tłumaczy, że nie pamięta już, kiedy miała wolny weekend. Odkąd w jej zespole brakuje średnio siedmiu osób, normą stało się wyrabianie nadgodzin i ciągłe zmiany w grafiku.

– Często dzwoni do mnie rano szef i każe przyjechać jak najszybciej do pracy, bo wykruszyła mu się kolejna osoba w grafiku – mówi mi Diana. – Nie poradziłabym sobie, gdyby nie pomoc mamy, która w tym czasie opiekuje się moim pięcioletnim synkiem.

– Mam już dość ciągłej presji. Nie dość, że haruję podwójnie, jednocześnie robiąc kawę i przyjmując zamówienia, to jeszcze słyszę od menedżera, że mam obsługiwać 80 osób na godzinę! Nie oszczędzają nas też klienci, wciąż narzekający,



RANDALE WATSON musi zasiadać na kasie w markecie, gdzie jest menedżerem, i pomaga w wykładaniu towaru.



RF BUCHE boi się, że jego pracownicy odejdą do mniejszych firm, których nie obejmuje obowiązek szczepień.



MICHAŁ KOPERA dostaje maile ze szkoły, gdzie uczą się jego synowie: dyrekcja prosi o każdą możliwą pomoc.



DIANA, która pracuje w McDonaldzie, ciągle wyrabia nadgodziny i nie pamięta już, kiedy miała wolny weekend.

że zbyt długo czekają na zamówienie – dodaje Diana, która na razie nie odczuła dużej zmiany w związku ze zniesieniem restrykcji na granicy z Meksykiem. W jej McDonaldzie wciąż brakuje rąk do pracy.

Jak się okazuje, po długich miesiącach restrykcji niektórzy meksykańscy migranci nie palą się do pracy na czarno w Stanach. Amerykańska telewizja Telemundo donosi, że po tym, jak płace na meksykańskich budowach podwoiły się, coraz mniej osób ma ochotę stać w wielogodzinnym korku na granicy, i to przy rekordowo wysokich cenach paliwa. „To zwyczajnie przestało się niektórym opłacać” – mówił cytowany przez Telemundo Cesar Aguilera, przedsiębiorca prowadzący biznes w USA.

Cicha rewolucja

Tymczasem fala „wielkiej rezygnacji” rozlewa się na inne kraje.

W Wielkiej Brytanii jest już ponad milion wakatów, a jak wynika z badania firmy Randstad, 24 proc. tamtejszych pracowników rozważa w najbliższych miesiącach zmianę zatrudnienia. O rozszadach na rynku pracy i związanym z tym deficytem siły roboczej mówi się też w Australii, Japonii czy Niemczech. Te ostatnie zmagają się z brakami kadrowymi w hotelarstwie i fabrykach mięsa. Do tej pory branże te przyciągały imigrantów z Europy Środkowej i Wschodniej, jednak ze względu na restrykcje na granicach i rosnące stawki na rodzimym rynku pracy są oni mniej zainteresowani opuszczaniem ojczyzny.

Jak widać, pandemia przyniosła więcej ogólnoswiatowych zjawisk niż „tylko” rosnącą inflację i utrzymujący się od miesięcy kryzys łańcucha dostaw, który teraz może pogłębić się za sprawą masowych zachorowań powodowanych przez wariant Omikron.

Tymczasem w Stanach przy okazji dokonuje się inna rewolucja: płace rosną, choć wcześniej amerykańscy politycy sprawujący władzę przez lata nie byli w stanie podwyższyć federalnej płacy minimalnej do owych 15 dolarów za godzinę. W tym sensie pandemia, która do 10 stycznia zabiła w USA już 838 tys. osób – to dwukrotnie więcej, niż zginęło amerykańskich żołnierzy podczas II wojny światowej – przynajmniej w ten sposób „przysłużyła” się najbardziej potrzebującym Amerykanom.

© MARTA ZDZIEBORSKA

WYBORY BEZ ZNIECZULENIA

75 lat temu komuniści stawiają kropkę nad „i” w swojej walce o władzę w Polsce: głosowanie do Sejmu – gwarantowane w umowie między aliantami a Stalinem – to karykatura demokracji.

BARTŁOMIEJ NOSZCZAK



JAK NA TĘ ZIMOWĄ PORĘ ROKU, NIEDZIELA 19 stycznia 1947 r. to dzień dość ciepły – jest kilka stopni powyżej zera – a także pochmurny.

Przy ul. Poselskiej w Warszawie 17-letni Zdzisław Podobas rozdaje karty do głosowania na opozycyjne Polskie Stronnictwo Ludowe. Towarzyszy mu o rok młodszy kolega Ryszard Chmielec.

Nagle do Podobasa podchodzi nieznajomy mężczyzna. Bezceremonialnie rewiduje go, a znalazłszy peeselowskie karty, bije po twarzy. Drugi napastnik uderza nastolatka głową. Ten upada, ale udaje mu się wstać i uciec. Chowa się w piwnicy pobliskiego domu, gdzie mieszka Chmielec. W poszukiwaniu zbiega do mieszkania tego ostatniego wpada siedmiu uzbrojonych komunistycznych bojówkarzy. Nie znajdują Zdzisława. Zanim odejdą, pogróżą domownikom i dotkli-

wie pobiją Juliana Chmielec, właściciela mieszkania.

Wcześniej ucieczkę jego syna udaremnia sierżant „ludowego” Wojska Polskiego, uderzając Ryszarda pięścią w twarz. Gdy nastolatek upada, dobiega do niego cywil i wymierza mu cios ręką – pięścią rewolweru. Twarz chłopca zalewa krew. Z domu przy Poselskiej wybiega jego matka, zaczyna go bronić. Ryszard ucieka. „Gdyby nie to, to prawdopodobnie byłbym życie postradał” – zanotuje później.

Takie zdarzenia są wówczas na porządku dziennym.

Jak do tego doszło?

„Władzy nie oddamy”

W 1945 r. spełnia się marzenie Stalina. Gromiąc armię Hitlera, Sowietci podbijają pół Europy, także Polska jest w domenie ich wpływów. Wielka Trójka – Churchill, Roosevelt i Stalin – legitymizuje ten stan na konferencji w Jałcie w lutym tego roku. W sprawie polskiej sankcjonuje dokonany przez Kreml zabór Kresów Wschodnich i warunkuje uznanie przyszłego Tymczasowego Rządu Jedności Narodowej (TRJN) od rozpisania wyborów do Sejmu. Tymczasem już w czerwcu 1945 r. lider Polskiej Partii Robotniczej Władysław Gomułka deklaruje: „Władzy raz zdobytej nie oddamy nigdy”.

Dzisiaj wiemy, że zmiana układu politycznego przy pomocy kartki wyborczej była w powojennej Polsce iluzją – jednak w tamtym momencie historycznym wielu w to wierzy. Tymczasem w alfabecie komunistów nie ma miejsca na wolnościowe eksperymenty. Używane przez nich pojęcia są oderwane od ich właściwego znaczenia. Dlatego, choć politycy PPR odmieniają demokrację przez wszystkie przypadki, w Polsce rządzi terror, a demokratyczne mechanizmy zamieniane są w swoje karykatury. Celem wyborów jest to, aby „PSL wyszło z tej rozgrywki z połamanymi kośćmi” – jak to obrazowo ujmuje prominentny komunist Hilary Minc. W tej logice porażka wyborcza PPR nie wchodzi w grę.

„Pogrzeb PSL-u” (symbolizowanego przez widoczną w trumnie „czwórkę”, numer listy PSL w Warszawie w wyborach do Sejmu) na komunistycznej manifestacji na warszawskim Nowym Świecie, 22 stycznia 1947 r.

Nie można jej jednak wykluczyć, sytuacja polityczna jest labilna. Związek Sowiecki nie ma (jeszcze) argumentu siły w postaci broni atomowej. Komuniści w Polsce liczą się (deklaratywnie) z aliantami zachodnimi. Zbrojne podziemie jest (jeszcze) liczne i aktywne, legalnie działa PSL (jest paradoksem, że na mocy porozumienia moskiewskiego z czerwca 1945 r. jego ludzie zasiadają w TRJN), instytucjonalny Kościół katolicki polemizuje z rzeczywistością polityczną. Stalinizm nie pokazuje jeszcze wszystkich swoich możliwości.

Wybory wymagają więc takiego przygotowania, by ich wynik był zgodny z oczekiwaniami Stalina i PPR, a zarazem nie doprowadził do masowej antysystemowej kontestacji. Są wstępnie zaplanowane na jesień 1946 r. Jednak pepeerowcy chcą je odwlec w czasie – także po to, by scenariusz wyborczy przeciwzyć „na sucho”. Tylko jak to zrobić?

Referendum: test metod

Rozwiązaniem jest zapowiedziane na 30 czerwca 1946 r. Głosowanie Ludowe (referendum). Polacy mają w nim odpowiedzieć kolejno na pytania o zniesienie Senatu, utrwalenie w przyszłej konstytucji ustroju gospodarczego wprowadzonego przez reformę rolną oraz o prawa Polski do przyznanych jej w Poczdamie ziem niemieckich.

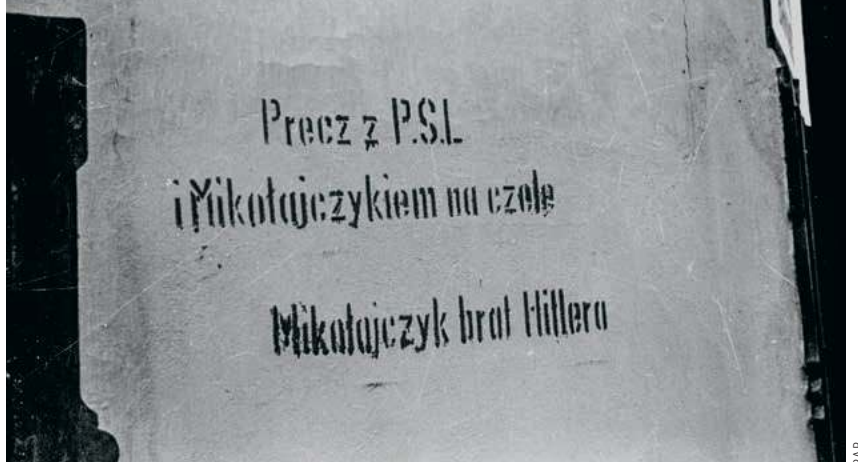
W przeciwieństwie do komunistów (i ich satelitów, na czele z Polską Partią Socjalistyczną), którzy apelują o potrójne „tak”, PSL chce głosowania na „nie” na pierwsze pytanie i „tak” na dwa pozostałe. Przyjmuje tę koncepcję nie dlatego, że jest przywiązane do instytucji Senatu, lecz by się odróżnić od komunistów, którzy traktują referendum jako narzędzie do legitymizacji swej władzy i przedwyborczą grę na czas.

Wydarzenie to jest próbą sił między komunistami a ich antagonistami. Głównym celem tych pierwszych jest sprawdzenie, czy aparat partyjno-państwowy i policyjny może dokonać ogólnopolskiego fałszerstwa, któremu towarzyszą represje. To test metod, jakie – w ulepszonej postaci – zostaną wdrożone podczas wyborów do Sejmu.

Referendum oficjalnie wygrywają komuniści, ale jego wynik wypaczają fałszerstwa i terror. Nie wywołuje to masowego sprzeciwu w kraju ani protestów za



PAP



Wykonane przygotowanym szablonem napisy na murze szkalujące Stanisława Mikołajczyka, przywódcę PSL-u. Warszawa, styczeń 1947 r.

→ granicą – co jest dobrym prognostykiem dla PPR.

Obiekcje mimo to zostają. Stąd, dążąc do zapewnienia sobie monopolu władzy, komuniści proponują szeroką formułę wyborczą w ramach „bloku”. Po referendum rozmawiają o tym z ludźmi PSL, których kuszą m.in. gwarantowaną jedną czwartą mandatów w Sejmie. Ale peeselowcy domagają się niemożliwego, w tym reorganizacji Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego. Ostatecznie decyduje głos prezesa PSL Stanisława Mikołajczyka, który odrzuca koncepcję „bloku” (co jednak nie odpowiada wszystkim ludowcom) i decyduje o samodzielnym starcie w wyborach.

Ludowców wabi też część środowiska PPS, optująca za większą niezależnością od PPR. Ludzie ci uważają, że samodzielny start w wyborach będzie dla PSL politycznym samobójstwem, które ugruntuje hegemonię komunistów. Zapewniają, że w przypadku porozumienia partia Mikołajczyka będzie mogła liczyć na lojalność socjalistów. Mimo to ludowcy odmawiają, co otwiera komunistom drogę do otwartego ataku na tę formację (już z akompaniamentem PPS).

Kampania nienawiści

Propagandowy walec rusza po wakacjach 1946 r. Obraz ludowców jest odmalowany grubą kreską: przedstawia się ich jako „sługusów” Zachodu i zbrojnego podziemia, na czele z Narodowymi Siłami Zbrojnymi. Walka na słowa nie wystarcza. Działacze PSL są mordowani, trafiają do aresztów, padają ofiarą pobic i prowokacji, ich lokale są niszczone. Trwoga zapanowuje zwłaszcza na prowincji. Ale komuniści są tak pewni siebie, że ich ataki na opozycyjną partię nie omijają też Warszawy, np. 8 września dochodzi do napaści na siedzibę główną

PSL w Alejach Jerozolimskich 85. To pokazowa demonstracja, że w walce z partią Mikołajczyka komuniści nie cofną się przed niczym.

Prawo wyborcze zostaje przyjęte 22 września przez namiastkę parlamentu, czyli Krajową Radę Narodową. Tylko PSL głosuje przeciw, uznając, że ordynacja nie gwarantuje bezstronności głosowania. W listopadzie Prezydium KRN, bazując na ustaleniach PPR i PPS, wyznacza jego termin na 19 stycznia 1947 r. Komuniści i ich sojusznicy – czyli PPS, Stronnictwo Demokratyczne i Stronnictwo Ludowe oraz (w okręgach wyborczych na ziemiach poniemieckich) PSL „Nowe Wyzwolenie” i Stronnictwo Pracy – wchodzą do tzw. Bloku Stronnictw Demokratycznych i Związków Zawodowych.

Kampania wyborcza rusza jesienią, a jej ostrze jest wymierzone w PSL i innych wrogów nowego systemu, określanych zbiorowo jako „reakcja”. Do – rozumianej dosłownie – walki wyborczej zostają zmobilizowani janczarzy systemu: funkcjonariusze UB, wojsko, Korpus Bezpieczeństwa Wewnętrznego, milicja, pepeerowscy bojówkarze. W styczniu 1947 r. do stolicy przybywa grupa sowieckich specjalistów od fałszowania wyborów.

Pod propagandową parą są media; idee komunistów wspierają akcje plakatowe i ulotkowe, a zwłaszcza przedwyborcze wiece organizowane jak kraj długi i szeroki. Trwa bombardowanie nienawiścią. Członkowie i sympatycy PSL stają się też ofiarami terroru bezpośredniego, który nasila się zwłaszcza na przełomie 1946/47 r.

Słabnąca wiara

Komuniści manipulują też prawem wyborczym. Np. nie rejestrują list peeselowskich kandydatów na posłów, podważając legalność złożonych na nich podpi-

sów obywateli. Pozbawiają prawa wyborczego osoby oskarżone – często bezpodstawnie – o kolaborację z Niemcami i/lub pomoc podziemiu. Wbrew prawu wyborczemu, PPR apeluje o jawne i grupowe głosowanie na partię Bloku. Dotyczy to zwłaszcza państwowych instytucji i zakładów pracy, gdzie urządza się w tym celu instruktażowe wiece.

Komuniści wprowadzają też kontrolowany chaos, który dezorientuje wyborców. O ile lista Bloku ma we wszystkich okręgach kraju ten sam numer 3, o tyle listy kandydatów PSL w poszczególnych okręgach dostają różne numery (1, 2, 4 i 5). PPR unieważnia dziesięć okręgowych list partii Mikołajczyka, z których w sumie miało zostać wybranych 76 posłów. Odstępując od swego zasadniczego stanowiska, PSL ogłasza w tych okręgach bojkot wyborów.

Pod koniec 1946 r. rusza seria procesów politycznych, które mają zdyskredytować i zastraszyć podziemie niepodległościowe oraz wykazać jego rzeczywiste lub fikcyjne związki z PSL. Wojsko i KBW pacyfikują obszary, gdzie konspiracja jest szczególnie aktywna, zwłaszcza Lubelszczyznę – tam partia Mikołajczyka ma duże wpływy.

Tymczasem „leśni” są podzieleni w sprawie głosowania. Całkowicie odrzucają je NSZ. Jednak partyzanci to w większości młodzi chłopcy synowie – wielu z nich łądzi się, że po wygranych przez PSL wyborach nastąpi powrót do wolności i do domu. Są także oddziały, które atakują komisje wyborcze. W walkach giną głównie zasiadający w nich zwolennicy systemu i ludzie aparatu policyjno-wojskowego.

Kampania wyborcza PSL jest sfluwiona. Promuje program ludowców w prasie, a zwłaszcza w ogólnopolskiej „Gazecie Ludowej” (ma ona ograniczony nakład), na afiszach, ulotkach i za pośrednictwem tzw. szeptanej propagandy. Formacja Mikołajczyka mobilizuje swoich zwolenników, bo nastroje są dość minorowe. Ale szykany i represje niweczą te wysiłki – szeregi ludowców topnieją, słabnie wiara w zwycięstwo wyborcze.

Stalin nie odpowiedział

Mikołajczyk łądzi się, że międzynarodowy nadzór nad głosowaniem zapewni przynajmniej jego bezkolizyjny przebieg. Czas pokaże, że adresowane do ambasadorów amerykańskiego, brytyjskiego i so-

wieckiego (sic!) memoriały w sprawie fałszerstw nic nie zmienia.

Przyparci do muru, ludowcy podejmują desperacką interwencję: w październiku 1946 r. kierują do Stalina dokument, w którym zapewniają go o swoim pozytywnym stosunku do Związku Sowieckiego oraz oskarżają PPR i UB o prześladowanie PSL, co w ich ocenie może przyczynić się do zaburzenia relacji łączących Polskę z jej wschodnim sąsiadem. Oceniają, że Kreml powinien się oprzeć na PSL, gdyż reprezentuje ono większość społeczeństwa. List pozostaje bez odpowiedzi.

Ludowcy próbują złamać monopol PPR na kontrolę wyborów, angażując do tego swoich mężów zaufania i dziennikarzy, którym można zaufać (są wśród nich też korespondenci zagraniczni), oraz organizując tajny system obserwacji przebiegu głosowania. I do końca karmią się nadzieją.

W przeddzień wyborów „Gazeta Ludowa” pisze o budowie przyszłości i dobrobytu, odwołuje się do sumienia i podnosi na duchu wątpiacych: „postawa jednego żołnierza może być chwilą narodzin epoki. Bez walki idei nie ma jej triumfu”.

Cuda nad urnami

W niedzielę wyborczą króluje bezprawie. Zamieniane są urny, podrzuca się do nich karty, przygotowuje po dwa egzemplarze protokołów (jeden jest gotowy do wpisania wyników odpowiadających PPR), obywateli zmusza się do jawnego głosowania na listę Bloku, podmienia się głosy, niszczy karty z poparciem dla PSL, zamyka wcześniej lokale, szykanuje mężów zaufania, atakuje wolontariuszy PSL – jak chłopców z ul. Poselskiej.

Anomalie wyborcze obserwuje ograniczone przez komunistów do minimum grono mężów zaufania PSL. W Warszawie zamiast 166 jest ich tylko 23, a i tak pracować mogą tylko nieliczni z nich. Ich protesty nie mają zresztą znaczenia.

Tymczasem ludzie chcą głosować, przed lokalami ustawiają się długie kolejki. Tam, gdzie proces wyborczy napotyka na przeszkody, dochodzi – jak np. w stolicy – do incydentów, które pacyfikują milicja i wojsko.

Obok terroru, kluczem do oficjalnego zwycięstwa PPR są składy komisji wyborczych. Zasiadający w nich wierni nowemu systemowi ludzie są rękami „cudów nad urną”. Trafiają tam osoby z predyspozycjami do politycznej brudnej roboty. Za ich selekcję odpowiada głównie bezpieka, która w komisjach lokuje też swoich konfidentów.

Dzięki temu wyniki są fałszowane już na poziomie komisji – choć nie dotyczy to wszystkich przypadków, o czym informują mężowie zaufania PSL. Częstkowe wyniki trafiają z terenu w postaci podpisanych imiennie protokołów do generalnego komisarza wyborczego w Warszawie.

Ciąg dalszy nastąpi!

Oficjalnie w wyborach uczestniczy blisko 90 proc. uprawnionych, z których ponad 80 proc. ma głosować na listę Bloku. PSL otrzymuje rzekomo poparcie tylko co dziesiątego wyborcy. Protesty ludowców są odrzucane, Zachód milczy.

Jakie były prawdziwe wyniki tego głosowania? Fałszerstwo odbywało się na tyłu poziomach, że nie da się dziś tego zrekonstruować. Nie było też sondaży,

z których można by wnosić, jak rozkładały się wtedy sympatie polityczne Polaków. Można tylko spekulować, że PSL uzyskało więcej głosów, niż to zostało oficjalnie ogłoszone. Ale tego, czy partia ludowców uzyskiwała większość – według Mikołajczyka nawet rządu 60-70 proc. – chyba nigdy się nie dowiemy.

Po 19 stycznia 1947 r. komuniści triumfują. Mało kto wierzy już w podważenie ich monopolu na władzę. Zanika opór „leśnych”. W lutym 1947 r. partia władzy ogłasza drugą po wojnie tzw. amnestię (pierwszą ogłoszono w sierpniu 1945 r.), której celem jest rozbięcie antykomunistycznego oporu. Indagowanie ujawnionych ma pomóc w wykryciu kryjówek ostatnich „leśnych”. Wielu z tych, których obejmuje ta niby-łaska reżimu, wkrótce ponownie trafi zresztą do więzień lub padnie ofiarą mordów.

PSL się rozpada, co ostatecznie dopełnia ucieczka jego lidera na Zachód w październiku 1947 r. Ostatnimi oazami wolności pozostają Kościół i sfera prywatno-rodzinna. Po tamtej niedzieli przez ponad cztery dekady politykę w Polsce będą kształtować marionetki Kremla. Ze wszystkimi tego konsekwencjami.

© BARTŁOMIEJ NOSZCZAK

Autor jest historykiem, pracuje w IPN w Warszawie. Badacz dziejów najnowszych Polski, członek redakcji „Przeglądu Archiwalnego IPN”. Ostatnio wydał „Międzynarodówkę antykościelną” (o kontaktach zagranicznych Urzędu ds. Wyznań w czasach PRL). Wkrótce ukaże się jego monografia o historii PSL w Warszawie w latach 1945-49.

TP ZA TYDZIEŃ W „TYGODNIKU” DODATEK SPECJALNY

Wokół Auschwitz. Historie rodzinne i osobiste

Perspektywa rodzinna to taki sposób opowiadania o przeszłości, który losy jednostek wpisuje w historyczne procesy. W dodatku:

- MAREK ZAJĄC, przewodniczący Rady Fundacji Auschwitz i stały autor „TP”, opowie o rodzinach żydowskich w Auschwitzu, o więźniach polskich i ich rodzinach za drutami. A także o esesmanach i ich bliskich.
- KAROLINA PRZEWROCKA-ADERET spotkała się w Izraelu z Avihu Ronenem, synem Chajki Klinger, bojowniczką z getta

w Będzinie. Aviha opowie, jak pisząc książkę o matce odkrywał jej historię.

- MAŁGORZATA WRYK portretuje swoich rodziców, Wandę i Edwarda Serwańskich, młodych konspiratorów z Poznania. W 1943 r. Wanda została aresztowana i trafiła do Auschwitz.
- KAROLINA SULEJ, autorka książek „Rzeczy osobiste” i „Historie osobiste”, w rozmowie z Bartkiem Dobrochem opowie o rzeczach osobistych więźniów obozów.

- MAŁGORZATA GWÓŹDŹ pokaże, jak niemieckie Arolsen Archives (to jedno z największych archiwów świata, posiada materiały na temat 30 mln ofiar III Rzeszy) poszukuje rodzin, by przekazać im pamiątki po bliskich.



WSPÓŁWYDAWCA



PARTNER WYDANIA

„Tygodnik” z dodatkiem w kioskach od środy 26 stycznia

ZAJMĘ SIĘ TYM PÓŹNIEJ

Prokrastynacja dotyka co piątego człowieka, w tym nawet co drugiego ucznia. Skąd się bierze niechęć do podejmowania zaplanowanego działania? Zjawisku – w końcu – przyjrzeni się psycholodzy.

KATARZYNA DZIADOWICZ

KIEDY JESTEŚMY SPRAGNIENI, A PRZED nami stoi szklanka z wodą, to o ile nie jest zbyt gorąca lub lodowata, nie zwlekamy – po prostu ją wypijamy. Potrzeby fizjologiczne mają to do siebie, że silnie motywują nas do zaspokajania braków. Pewnie dlatego psycholog Clark Hull wywołane nimi stany nazywał „popędami”. Inne racje stoją za poszukiwaniem „podniet”, które mają po prostu sprawić nam przyjemność. Ale nie

wszystko, co robimy, pasuje do którejś z tych kategorii – często robimy coś, na co aktualnie w ogóle nie mamy ochoty. Dzięki zdolności samokontroli jesteśmy w stanie stłumić zachcianki i realizować plan, który ma nas doprowadzić do celu.

Zdolność odraczania gratyfikacji, czyli powstrzymania się od małej przyjemności w zamian za otrzymanie większej później, posiadają już kilkuletnie dzieci. W trakcie słynnego „testu słod-

kiej pianki” wręcza się dzieciom jedną smaczną przekąskę i informuje, że mogą zjeść ją od razu, ale jeśli powstrzymają się przez parę minut, to otrzymają drugą porcję. Oczekiwanie przychodzi im z trudnością – postawione w takiej sytuacji dzieci wymyślają najrozmaitsze strategie odwracania uwagi od przekąski.

Dorośli potrafią powstrzymać się przed zjedzeniem słodkości bardzo długo. Niekiedy całymi dniami skupiają

*Europejski Kongres Gospodarczy
w Katowicach, maj 2019 r.*



TOMASZ KAWKA / EAST NEWS

się też na zadaniach, które są konieczne, ale niezbyt przyjemne. A jednak większości z nas, niektórym regularnie, przejęcie kontroli nad swoim zachowaniem zajmuje trochę czasu. Zwlekamy ze zrobieniem tego, co planowaliśmy. Prokrastynujemy.

To nie lenistwo

Gdybyśmy obserwowali kogoś, kto właśnie dopuszcza się prokrastynacji, mo-

glibyśmy postawić kilka hipotez. Np. założylibyśmy, że tej osobie po prostu się nie chce. To logiczne – jeżeli za wszelką cenę unika np. napisania tekstu, to widocznie nie lubi tego robić i ma lepsze zajęcia. A jednak to ślepa uliczka, bo moglibyśmy spostrzec, że właśnie zmywa naczynia, chociaż zarzekała się, że nie znosi tego robić. Za to twierdzi, że lubi pisać. To już nielogiczne – na pewno zdaje sobie sprawę, że tekst sam się nie

napisze; że prędzej czy później będzie musiała się z nim zmierzyć, a im później to zrobi, tym większy stres będzie jej towarzyszyć. Mimo to widzimy, że nadal nie otworzyła edytora tekstu i chyba sama już nie wie, ile „ostatnich” piosenek przesłuchała. Moglibyśmy uznać: w takim razie tej osobie po prostu brakuje samozaparcia, skupia się tylko na przyjemnościach.

Tymi tropami ruszyli psycholodzy. Prokrastynację określają jako intencjonalne, ale nieopłacalne w dłuższej perspektywie odwlekanie wykonywania zaplanowanych czynności. Jak łatwo się domyślić, najczęściej dotyczy ona zajęć, które uważane są za wymagające, nieprzyjemne lub nudne – to może tłumaczyć, dlaczego problem tak często dotyka uczniów i studentów noszących się z zamiarem powtórzenia materiału do egzaminu albo rozpoczęcia pisanie pracy zaliczeniowej. Ich zachowanie pasuje do schematu jeszcze bardziej, kiedy weźmiemy pod uwagę, że kolejnym czynnikiem podwyższającym ryzyko prokrastynacji jest poddawanie wyniku swoich starań ocenie – czyli kiedy istnieje szansa porażki. A tę musi mieć z tyłu głowy podczas sesji każdy student. Zjawisko dotyczy nawet co drugiego ucznia, a w całej populacji problem dotyka ok. 20 proc. osób. Czasem zostawia się na ostatnią chwilę coś tak banalnego jak kupowanie prezentów gwiazdkowych, ale odkładanie na później dotyczy też sytuacji, w których konsekwencje mogą być poważniejsze – np. kiedy stale zwleka się z wizytą u lekarza albo dopełnieniem formalności w urzędzie.

Gdyby na tym kończyły się ustalenia badaczy, to można by uznać, że awersyjność lub karkołomność danej czynności wystarczy, by zachowanie prokrastynatorów nabrało sensu. Spodziewają się, że robienie czegoś nie będzie przyjemne, albo boją się porażki, więc szukają dystrykcji. Jednak negatywne odczucia, których doświadczają w konsekwencji podejmowanych przez siebie decyzji, są zwykle nieproporcjonalne do awersyjności samej czynności. W kwestionariuszach, które pozwalają wyróżnić grupę osób szczególnie podatnych na odwlekanie, znajdują się takie stwierdzenia jak: „Odkładam ➔

→ rzeczy tak długo, że moje samopoczucie albo wydajność niepotrzebnie na tym cierpią”, „W ostatecznym rozrachunku zawsze zdaje sobie sprawę, że mogłem lepiej spędzić czas tego dnia” albo „Kiedy powinienem robić jedną rzecz, to robię inną”. Poczucie winy i frustracja są nieodłącznymi elementami doświadczenia prokrastynacji.

Nagrody i impulsy

Badaczom udało się wyróżnić pewne cechy osób, które raportują problemy wynikające z ulegania pokusie, by jeszcze „przez chwilę” robić coś innego, niż planowały. Prokrastynatorzy częściej okazywali się osobami impulsywnymi – spontanicznymi, działającymi pod wpływem chwili. W przykładowym teście badającym zdolność hamowania impulsów uczestnicy siedzą przed ekranem, na którym wyświetlony zostaje jakiś przedmiot. Ich zadaniem jest powstrzymanie odruchowej reakcji spojrzenia na pojawiający się bodziec – i zerknięcie w przeciwnym kierunku.

Badania przeprowadzone przez Daniela Gustavsona i współpracowników pozwalają na stwierdzenie, że właśnie w takich zadaniach osoby regularnie prokrastynujące wypadają gorzej. To może stanowić słabość, gdy wymaga się od nich koncentracji na niezbyt pociągającej czynności. Kiedy już planują wziąć się do pracy, a na horyzoncie pojawia się alternatywa przyjemniejszego spędzenia czasu, to po prostu trudno im się jej przeciwstawić.

Procedura badawcza przeprowadzona przez Haiyan Wu i jej zespół pozwoliła natomiast zaobserwować, że osoby nadmiernie prokrastynujące wolą natychmiastowe nagrody od tych, na które trzeba poczekać – nawet jeśli ich wysokość miałaby być większa. Badani siadali przed monitorem, na którym wyświetlano im propozycje nagród – w każdej próbie mogli otrzymać 50 juanów (ok. 30 zł) tuż po badaniu lub większe nagrody w różnych kombinacjach (60 lub 100 juanów w ciągu paru dni lub kilkukilkunastu miesięcy). Poprzez naciśnięcie klawisza w odpowiednim momencie dawali znać, którą z opcji wybierają. Okazało się, że kiedy na nagrodę musieliby czekać dłużej niż parę dni, to jej wysokość nie miała wielkiego znaczenia – woleli otrzymać cokolwiek od razu. Takiej tendencji nie zaobserwowano u osób

U prokrastynatorów
nie obserwuje się
specyficznego sygnału
aktywności elektrycznej
mózgu, który pojawia się
tuż po popełnieniu błędu.

**Taki wzorzec nie występuje
też u osób uzależnionych.**

nieprzyznających się do prokrastynacji – były one bardziej skłonne czekać. Zaobserwowano też pewne różnice w aktywności mózgu, które mogą wskazywać na większą trudność w oderwaniu uwagi od uzyskanej informacji u osób prokrastynujących (w tym przypadku: o możliwości otrzymania natychmiastowej nagrody) albo na różnice w zakresie wrażliwości na nagrodę.

Tylko tu i teraz

Z czysto ekonomicznego punktu widzenia racjonalne byłoby decydowanie się na otrzymanie stu dolarów za miesiąc niż połowy tej kwoty od razu. Możemy jednak wyobrazić sobie różne okoliczności, gdy taką decyzję ocenilibyśmy inaczej. Gdybyśmy byli pewni, że wkrótce nastanie apokalipsa zombie, zrozumielibyśmy każdego, kto nie liczyłby na wielki zysk w niepewnej przyszłości, ale wziął to, co na pewno zdąży wykorzystać. Axel Grund i Stefan Fries sugerują, że prokrastynację można zrozumieć właśnie poprzez motywacje, jakie przyświecają ludziom. To, że realizowanie postawionych sobie celów często wymaga wykonywania zadań, które wolelibyśmy pominąć, jest oczywiste. Może być jednak tak, że zmierzamy do jakiegoś celu nie dlatego, że jesteśmy głęboko przekonani o jego słuszności, ale ponieważ próbujemy sprostać oczekiwaniom środowiska i obawiamy się przeciwstawić normom.

Sytuacja, w której zachowanie jakiejś osoby jest zdeterminowane poprzez zewnętrzne kary i nagrody, na ogół nie wiąże się z dużą motywacją. By zbadać swoje intuicje dotyczące związku źródła motywacji z prokrastynacją, Grund i Fries poprosili studentów o prowadzenie pamiętników, w których zapisywaliby roz-

ważania dotyczące tego, co i w jaki sposób będą próbowali zrobić, oraz jakie są ich motywacje – czy mają poczucie, że to coś, czego naprawdę chcą, czy jednak kierują nimi oczekiwania innych lub konwenanse. Zgodnie z hipotezą okazało się, że im uczestnicy badania czuli się bardziej odpowiedzialni za formułowanie planów, tym częściej udawało im się bez przeszkód wykonać zadanie. Prokrastynatorzy nie byli przekonani co do swojego samostanowienia; nie czuli, że wszystko jest w ich rękach – więc po co mieli się starać?

Grund i Fries chcieli rozprawić się z postrzeganiem prokrastynacji jako działania irracjonalnego – musieli więc odeprzeć zarzut, wedle którego jest ona dla jednostki całkowicie nieopłacalna. Pozwolili uczestnikom eksperymentu na zapoznanie się z sylwetkami grupy studentów – jedne przedstawiały osoby skoncentrowane na osiągnięciu celu, inne – jednostki skupione na swoim dobrym samopoczuciu. Następnie zapytali badanych, w których sylwetkach dostrzegają najwięcej podobieństw do siebie. Osoby przyznające się do prokrastynacji częściej wskazywały bohaterów nastawionych na doświadczanie przyjemności niż skupionych na realizacji celów. Ich działania motywowała bardziej chęć zaznania przyjemności niż wizja realizacji celu.

Za podejmowaniem jakiegokolwiek wysiłku powinna stać motywacja, a ta w niektórych przypadkach może być węższa, niż się na pierwszy rzut oka wydaje. Według modelu zaproponowanego przez Piersa Steela i Corneliusa Königa każdą czynność można zmierzyć pod kątem tego, jak i czy w ogóle jest dla nas użyteczna. Wynik się zwiększa, gdy czynność sprawia nam przyjemność albo prowadzi do zdobycia czegoś, co sobie cenimy. W znacznym stopniu użyteczność czynności zależy też od tego, czy czujemy, że nasze czyny cokolwiek znaczą i mamy jakikolwiek wpływ na osiągnięcie pożądanego rezultatu. To także wypadkowa stopnia tolerancji na odroczenie efektów oraz tego, kiedy faktycznie mogą się one pojawić.

Badania wskazują, że wszyscy mamy tendencję do dewaluowania przyszłych nagród wprost proporcjonalnie do ich oddalenia. Fuschia Sirois i Timothy Pychyl wyjaśniają: „wierzymy, że jutro będziemy inni”, więc mamy powód, by nie cenić nagród, które otrzyma ktoś inny, nawet

jeśli to my z przyszłości. I z tego samego powodu mamy prawo nie doceniać negatywnych konsekwencji swoich decyzji.

Ale jeżeli prokrastynacja to po prostu konsekwencja niskiego wyniku użyteczności jakiejś czynności, to dlaczego aż tyle osób czuje się z jej powodu okropnie? Axel Grund i Stefan Fries obwiniają panujące w społeczności normy wynoszące na piedestał raczej sukces odniesiony w wyniku ciężkiej pracy niż robienie cały czas tego, na co ma się aktualnie ochotę.

Poprawić sobie nastrój

Prawda jest jednak taka, że wszyscy chcemy czuć się dobrze. Jednocześnie nie ulega wątpliwości, że tak jak cieszą nas różne rzeczy, tak samo przyjmujemy różne strategie radzenia sobie z negatywnymi doświadczeniami. Wiele wskazuje na to, że prokrastynacja może być symptomem próby regulacji emocji.

Pomysłowe badanie, którego wyniki przemawiają za taką tezą, przeprowadzili na początku XXI w. Dianne Tice, Ellen Bratslavsky i Roy Baumeister. Najpierw połowę badanych wprowadzili w zły, a połowę w dobry nastrój. Ci pierwsi poznali historię sprawcy wypadku samochodowego, w którym zginął człowiek, ci drudzy kogoś, komu w podobnej sytuacji udało się uratować dziecko. Wszyscy zostali poinformowani, że za kwadrans będą musieli przystąpić do trudnego testu zdolności poznawczych. Nie było to jedyne kłamstwo, jakie zakładał plan – badacze próbowali przekonać połowę badanych, że w sali został rozpylony aromat, który sprawia, że ich nastrój nie będzie ulegał zmianie niezależnie od tego, co będą robić.

W czasie oczekiwania na zapowiedziany test badani mogli trenować rozwiązywanie zadań matematycznych albo zająć się czymś innym. Dla niektórych przygotowano mało atrakcyjne gry planszowe i stare gazety, a dla innych interesujące gry wideo i zajmujące czasopisma. Taki zabieg miał pozwolić na stwierdzenie, czy jakość rozwiązywania ma znaczenie dla częstotliwości prokrastynacji. Kiedy studenci ulegali pokusie zabawy albo dzielnie trenowali przed spodziewanym testem, badacze bacznie ich obserwowali. Zauważyli, że osoby przekonane, że ich nastrój nie ulegnie zmianie, prokrastynowały znacznie mniej niż reszta – jakby zwlekaniem nie miało sensu. Najczęściej prokrasty-

nacji dopuszczali się natomiast osoby, które miały szansę zrobić coś ciekawego, a jednocześnie zostały wprowadzone w zły nastrój, ale wierzyły, że może on ulec zmianie. Fakt, że atrakcyjność dystrakcji miała wpływ na dokonywane wybory, może świadczyć o tym, że prokrastynacja nie jest tylko ucieczką przed wysiłkiem albo stresem – to zapewniłoby bowiem nawet najnudniejsze zadanie – ale właśnie próbą poprawienia sobie nastroju, zanim przystąpi się do wykonywania pracy.

Ale ze względu na jej emocjonalne konsekwencje prokrastynacja nie prowadzi zwykle do pożądanego rezultatu. Negatywne emocje wywołują zaś problemy z samokontrolą. Wraz ze wzrostem ich natężenia spadają szanse na oparcie się pokusom. Prokrastynatorzy stawiają się w naprawdę trudnej sytuacji.

Fala błędów

Nie przeszkadza im to jednak, by przy następnej okazji popełnić ten sam błąd. Tymczasem reakcja na pomyłkę może zdradzać kłopoty w sprawowaniu samokontroli. Kiedy jakieś zadanie wymaga koncentracji i szybkości, tuż po pomyłce występuje wydłużenie czasu reakcji – można to zinterpretować tak, że świadomość popełnienia błędu wybijają daną osobę z rytmu, ale z drugiej strony zwolnienie tempa może ułatwić uniknięcie kolejnych pomyłek.

Zespół Jarosława Michałowskiego zbadał myślących się prokrastynatorów. Obserwowano czas ich reakcji m.in. podczas niezbyt skomplikowanego zadania – na ekranie pojawiały się kolejne plansze z cyframi, a badani mieli reagować na ciśnięciem przycisku na niektóre z nich (od 4 do 9) oraz wstrzymać reakcję na resztę (0-3). Kiedy za błędne odpowiedzi groziła im kara (niewielka kwota odtrącona od sumy możliwej do zdobycia w badaniu), to prokrastynatorów błąd zatrzymywał na dłużej niż grupę kontrolną, albo gdy nie groziła im kara. A jednak nie stawiali się dzięki temu ostrożniejsi. To pozwala wnioskować, że osoby prokrastynujące odstają od reszty pod względem zdolności modyfikowania zachowania w świetle popełnionych błędów. Podjęcie odpowiedniej czynności zajmuje im więcej czasu, być może ze względu na niskie kompetencje w radzeniu sobie z emocjami albo niezdolność oderwania myśli od porażki.

Anomalie związane z reakcją na błędy potwierdzają też badania neurobiologiczne. U osób regularnie prokrastynujących nie zaobserwowano specyficznego sygnału aktywności elektrycznej mózgu, który zwykle pojawia się tuż po popełnieniu błędu. Taki wzorzec nie występuje też u osób uzależnionych, czyli mających kłopoty z tłumieniem impulsywnych reakcji. Co ciekawe, aktywność tę kształtuje także motywacja – gdy była wyższa, zaobserwowano większą „negatywną falę błędu”. To sugeruje interakcję zdolności do samokontroli i poziomu motywacji w mechanizmach kryjących się za zachowaniem prokrastynatorów.

Według ekonomisty Petera Bernsteina prokrastynację można postrzegać nie jako przeszkodę, ale metodę – niewykluczone, że podczas zwlekania dotrą do nas jakieś informacje, które pomogą nam w wykonaniu zadania. Osoby z niską samooceną (licznie zasilające szeregi prokrastynatorów) w prokrastynacji mogą znaleźć pocieszenie – może i coś się nie uda, ale przynajmniej nie bardzo się starały. Niektóre strategie prokrastynacji mogą nieść mniej negatywnych konsekwencji, ponieważ wydają się bardziej usprawiedliwione (kiedy odwołujemy naukę, bo zajęliśmy się czymś ogólnie pożytecznym, choć nie lubianym – np. sprzątaniami).

Część badaczy wskazuje, że umiarkowana prokrastynacja może sprzyjać kreatywności, bo pozwala na przetworzenie zadanego problemu, nawet gdy nie myślimy o nim wprost. Jednak dla wielu jest doświadczeniem tylko utrudniającym funkcjonowanie, dlatego, naturalnie, można z nią walczyć: doniesienia wskazują na skuteczność treningu „regulacji emocji” – próba ich dostrzeżenia, nazywania i akceptowania może sprawić, że przestaniemy unikać tego, co wywołuje dyskomfort. Dość skuteczna może być też terapia poznawczo-behawioralna.

Niezawodnym rozwiązaniem powinno być robienie tylko tego, do czego czujemy się wewnętrznie zmotywowani, albo znalezienie osobistej motywacji do robienia tego, co trzeba. W tej kwestii nie mogę chyba jednak wiele doradzić. Co prawda przeczytałam kiedyś cały rozdział pt. „Motywacja” w podręczniku do psychologii, ale zrobiłam to tuż przed egzaminem z logiki – prokrastynując.

© KATARZYNA DZIADOWICZ

ZA PAMIĘCI

HANNA

Krall:

Głupio byłoby



NIE BYŁA TO TRUDNA GÓRA, ALE I ŁATWA nie była.

Minęła puste pastwiska, stronne moreny, granie, skały, lodowiec, znowu moreny, liny białe w lód – poręczówki... Zrezygnował Piotrek, miał kłopot z aklimatyzacją. Znowu liny, skały i znowu lodowiec, zrezygnowała Hania, miała gorączkę. Trochę w dół, w płaską przestrzeń, niewielką, między górami, teraz w górę, zrezygnował Wojtek i została sama.

I co.

I nic.

Głupio byłoby nie wejść.

Na szczycie wiał huraganowy wiatr, przy takim wietrze jest jeszcze zimniej niż minus dwadzieścia.

Zaczęła schodzić i okazało się, że nie widzi. Otoczyła ją szczelna, biała mgła. Wiedziała, co to jest, o ślepotę śnieżną sporo słyszała.

Nie przestraszyła się, bo od razu pojawiła się Postać. Była niebieska i przezroczysta i jakieś owady krążyły wokół niej, chyba pszczoły, wszystkie zielone. Ładnie to wyglądało – na białym tle przezroczysty błękit i zielone pszczoły.

Usiadła na plecaku.

Lubi pustkę. Lubi mieć krótki oddech i mozolnie podnosić nogę za nogą. Lubi euforię na szczycie. Lubi nie myśleć o tym, co jest na dole do zrobienia – rachunki, poczta, kredyty i zmiana opon. Lubi być z górą sam na sam.

Nie zamarzła. Z mlecznej mgły wyłonił się Wojtek i pomógł jej zejść. Było to bardzo miłe z jego strony.

Chodzenie po górach to jedno, a Duża Góra to coś zupełnie innego.

Duża Góra nie każdemu pozwoli wejść. Czasami pozwala i człowiek wchodzi. Nie pozwala – i człowiek nie ma szans.

Co do niej, to Góra była jej życzliwa. Może dlatego, że miały podobne poczucie wolności. Polegało na tym, że nikt nie będzie im mówił, jak mają żyć. Górze, jej i babci Krystynie.

Duże Góry.

W Himalajach – Himlung. Pierwsze polskie wejście.

W Andach – Mercedario i Ramada. Pierwsze wejście kobiety.

W Andach szła po śladach Jodki-Narkiewicza, Konstantego zwanego Kokiem. Zdobył trzy szczyty w latach trzydziestych. Poza tym latał balonem. Chciał pobić światowy rekord wysokości, ale balon spalił się przed startem, w Dolinie Chochołowskiej. Poza tym był doktorem fizyki i badał promieniowanie kosmiczne. Miał stryja Witolda, który założył Polską Partię Socjalistyczną i podpisał traktat wersalski.

Kiedy wchodziła na Andy, zadzwonił telefon. Odezwał się męski głos: – Mówi Jodko-Narkiewicz, w czym mogę pani pomóc?

Powiedziała: – Właśnie idę pana śladami...

Uprzątnęła sobie, że zdobywca Andów nie żyje od pięćdziesięciu lat, i poprawiła się – ...śladami pana krewnego idę. Dziękuję za telefon, dodała, wszystko w porządku – i głos się wyłączył.

Nie wie, kto dzwonił, numer nie wyświetlił się.

Jest adwokat o tym nazwisku. Zajmuje się prawem budowlanym, windykacją roszczeń i sporami w spółkach.

Nie zadzwoniła. Niczego nie buduje i nie ma roszczeń.

Po zejściu z gór chodziła po lesie.

Ludziom, których spotykała, dawała wodę, to przede wszystkim. Jedzenie potem. I ubranie, żeby mogli odтаяć, wyschnąć i żeby mieli trochę lepszy wygląd.

Z lepszym wyglądem będą bezpieczniejsi na ulicy i jak będą jechali gdzieś, na przykład do Niemiec, przez całą Polskę.

Pojęcie dobrego i złego wyglądu nie było jej obce. Państwo Oxnerowie mieli tak zły wygląd, że nie mogli pokazywać się na mieście, nawet w Gołąbkach, opowiadała babcia Krystyna. Trzeba było wykopać im kryjówkę w piwnicy, pod obórką dla kóz. Kopanie było niebezpieczne, opowiadała babcia, bo ziemię się wynosiło i sąsiedzi mogli coś zauważyć. Babcia bała się sąsiadów, bo pisali donosy na nią. Całe szczęście, że na pocztę pracował swój człowiek i je niszczył.

Donosy nie zniechęcały babci Krystyny. Nikt nie będzie mi mówił, jak mam żyć, powtarzała i oprócz państwa Oxnerów przygarnęła Felka, chłopca, który się do niej przyplątał nie wiadomo skąd.

Głupio byłoby go nie schować, jak się już przyplątał – do niej akurat, wytłumaczyła wnuczce. ©

Bohaterką tekstu jest Agnieszka Adamowska.

Babcia Krystyna to Krystyna Konwerska, matka matki Agnieszki, Sprawiedliwa wśród Narodów Świata.



„TP” 1-2/2022

Objawienie dokonuje się ciągle

Do artykułu „Jawność Ukrytego” Piotra Sikory o Objawieniu Pańskim rozumianym jako objawianie się Boga ludziom chciałabym dodać kilka myśli. Bóg objawia się ludzkości stopniowo. Dzieje Izraela zawarte w Starym Testamencie zapisują to stopniowe objawianie się prawdy o Bogu od przekazania prawdy o tym, że Bóg jest Stwórcą i Początkiem wszystkiego, pierwotnym zamysłem, sensem (logosem), który urzeczywistnił się w materii kosmicznej i w materii żywej, której szczytem rozwoju jest człowiek. Kolejny etap odsłaniania się Boga to przekaz prawa moralnego

w Mojżeszowym Dekalogu, w którym jeszcze dominuje obraz Boga sprawiedliwego sędziego, karzącego za zło, a nagradzającego za dobro, wymierzającego okrutne kary, z karą śmierci włącznie. Do obrazu Boga, który jest miłością i miłosierdziem, ukazanego przez Chrystusa, jest jeszcze daleko, choć w Starym Testamencie taki zaczątkowy obraz już się pojawia, zwłaszcza w księgach mądrościowych i u proroków. W Starym Testamencie brak też jeszcze pojęcia życia wiecznego jako trwania w Bogu po śmierci człowieka. Istnienie po śmierci było postrzegane jako „dołączenie do przodków”, przebywanie „na łonie Abrahama”, jak w przypowieści o Łazarzu i bogaczu. Jednakże pierwsze przejawy rozumienia życia pozagrobowego jako wiecznej egzystencji w Bogu pojawiają się w pismach okresu po niewoli babilońskiej. Najpełniej Bóg objawił się w przyjsciu na świat Jezusa Chrystusa, Jego nauce i misji zbawczej, odkupieniu człowieka przez Mękę, Krzyż i Zmartwychwstanie. Ale nie wszystko mogli pojąć ludzie jemu współcześni. Sam Jezus

mówił: „Jeszcze wiele mam wam do powiedzenia, ale teraz [jeszcze] znieść nie możecie” (J 16, 12). Prawda o Eucharystii, przenikaniu Boga do wnętrza człowieka, pozostaje nadal wielką tajemnicą naszej wiary. Wiele prawd ujawniło się dopiero w okresie historycznych dziejów Kościoła, jak przede wszystkim prawda o bezgranicznym miłosierdziu Boga głoszona przez siostrę Faustynę. Prawda ta pozwoliła zrozumieć m.in. tajemnice losów pośmiertnych dzieci zmarłych bez chrztu i zbawienie ludzi będących poza Kościołem. Dziś też rozumiemy lepiej dzięki „teologii negatywnej”, że Bóg wykracza poza wszelkie możliwości pojmowania przez człowieka, że cokolwiek o Nim powiemy, to jest „nie to”, że podtrzymuje On wszystko w istnieniu („w Nim żyjemy, poruszamy się i jesteśmy”, Dz 17, 28), że jest On ostatecznym przeznaczeniem człowieka: „jesteśmy dziećmi Bożymi, ale jeszcze się nie ujawniło, czym będziemy (...)”, gdy się objawi, będziemy do Niego

podobni, bo ujrzymy Go takim, jaki jest” (1 J 3, 2).

RENATA GRZEGORCZYKOWA

Wyrugowana „matka”

Lektura ciekawego wywiadu z prof. Katarzyną Kłosińską skłoniła mnie do napisania w sprawie pewnego słowa. Od kilku lat obserwuję, że w wypowiedziach publicznych (artykułach prasowych, wywiadach, a nawet nekrologach) brakuje jednego pięknego słowa: „matka” (w pewnym stopniu, aczkolwiek w mniejszym nasileniu, to zjawisko dotyczy również słowa „ojciec”). Zastanawiam się, jakie są powody takiej infantylizacji. W moim odczuciu równie piękne słowa „mama/tata”, które są zazwyczaj pierwszymi słowami dzieci, powinny być używane w domu, wśród rodziny i przyjaciół. Tymczasem spotyka się je powszechnie, co wywołuje niekiedy wręcz komiczny efekt. Przyznam, że sama też podlegam tym wpływom i często, przeprowadzając jako lekarka wywiad z pacjentami (dorosłymi!), pytam o mamę i tatę.

MAŁGORZATA BIELECKA
(matka)

Zapraszamy na spotkania Klubów „Tygodnika Powszechnego”

REZERWUJ
CZAS!

- **TRÓJMIASTO**, środa, 19 stycznia
Spotkanie z Antonim Pawlakiem i Michałem Piotrowskim, „Miłość, śmierć i parę innych drobiazków” / hybrydowe /
- **OGÓLNOKLUBOWE**, poniedziałek, 24 stycznia
Spotkanie z Ignacym Dutkiewiczem i ks. Andrzejem Szostkiem, „Uczestniczyć w losie drugiego”, cykl: Czytamy wspólną lekturę / online /

- **ZIELONA GÓRA**, wtorek, 25 stycznia
Spotkanie z Adamem Bodnarem, „Ochrona praw człowieka we współczesnej Polsce – szanse i zagrożenia” / hybrydowe /
- **OGÓLNOKLUBOWE**, środa, 26 stycznia
Spotkanie z Markiem Kęskrawcem, cykl: Piszą w „Tygodniku” / online /

KLUB
TP KLUBYGODNIKA.PLjt STOWARZYSZENIE
IM. JERZEGO TUROWICZA

więcej na KlubTygodnika.pl/wydarzenia

ELEMENT INTYMNY

KRYSTYNA DĄBROWSKA, POETKA:

W liceum miałam zielone i niebieskie włosy, później czerwonego jeża,
i wtedy wyżyłam się w kwestii farbowania.
Moja siwizna może wyglądać na dorabianą filozofię,
ale nią nie jest – mam obsesję przemijania.

KATARZYNA KUBISIOWSKA: Ile się płaci poetce za wydrukowany wiersz?

KRYSTYNA DĄBROWSKA: Górna stawka za jeden wiersz to 500 złotych brutto. Całkiem dobra to 350 złotych. Stawka przeciętna: trzy wiersze – 300 złotych. Bardzo zła stawka, z którą się spotkałam, to 100 złotych z hakiem za pięć wierszy. Istnieją też niszowe magazyny literackie robione z pasją, które nic nie mogą zapłacić. Redaktorzy mówią to uczciwie.

To z czego żyje poetka?

Studiowałam grafikę i później przez kilka lat zajmowałam się ilustracją i projektowaniem, ale jako wolny strzelec. Ponieważ pisanie stało się dla mnie ważniejsze, coraz mniej się starałam o zlecenia na prace plastyczne i stopniowo zaczęły się one kończyć. Zająłam się tłumaczeniami, redagowaniem tekstów, różnymi robótkami okołoliterackimi, co też nie jest rewelacyjnym sposobem zarobkowania. Czasami uda się zdobyć stypendium.

Żyję z prac dorywczych, między innymi pisałam po angielsku artykuły dla słoweńskiej gazety internetowej. Źródłem zarobku są też dla mnie spotkania autorskie i zagraniczne festiwale literackie, ale tutaj pandemia przykręciła mocno kurek. Nie mam dzieci, dlatego możliwe jest, bym żyła w ten sposób. Z samej poezji wyżyć się nie da.

Nagrody pomagają?

Bardzo. Zarówno pod względem finansowym, jak i promocyjnym. Poszerzają grono odbiorców, wśród których mogą znaleźć się i tłumacze, a to otwiera drogę do przekładów i publikacji za granicą. Jednocześnie frustruje mnie to, co w Polsce dzieje się wokół nagród – niesłychany teatr ambicji, zawiści, lamentów nad tym, kogo nominowano, a kogo nie. Właściwie wartość poetycką w obiegowym znaczeniu mierzy się tym, czy ktoś dostał Gdynię, Silesiusa, Szymborską. To ślepa uliczka – kapituły przecież tworzą konkretni ludzie, którzy mają swoje upodobania. I nie są wyroczniami.

Lecz mają potężny wpływ.

Kiedyś dla Instytutu Adama Mickiewicza pisałam kobylaste sylwetki pisarzy. Godzinami śleczałam w bibliotece, przeglądałam m.in. teczkę z recenzjami wierszy Szymborskiej autorstwa Jerzego Kwiatkowskiego. Przenikliwie, dogłębne, fascynujące teksty napisane precyzyjnie, a zarazem przystępnie. To istotne: nie były adresowane tylko do wąskiego grona znawców, ale też do czytelników bez akademickiego zaplecza. Dla mnie dobra recenzja ważniejsza jest nawet niż nagroda – oznacza, że ktoś trafnie zinterpretował wiersze, pracę w języku i wyobraźni, a swoim tekstem przerzuca most między autorem czy autorką a czytelnikami. Teraz już się w ten sposób nie pisze o poezji.

Dlaczego?

Bo nie ma na to miejsca, także w „Tygodniku Powszechnym”. Poezja nie ma dziś prestiżu społecznego. Pod koniec roku w „Książkach. Magazynie do Czytania” Agory publikowany jest ranking najlepszych książek wydanych w ciągu ostatnich dwunastu miesięcy. W tym podsumowaniu z zasady nie uwzględnia się poezji. Jest proza, w tym kryminały, jest reportaż i esej. A wiersze traktuje się jak zgniłe jajo.

Spotkania z czytelnikami są w stanie to zrekompensować?

To są nieporównywalne sprawy. Pamiętam jedno w Lublinie – w ramach Festiwalu Miasto Słowa osiedlowe biblioteki wybierały sobie poetów i organizowały im wieczory autorskie. Mój odbył się w bibliotece wielkości pokoju, w którym teraz siedzimy. Publiczność składała się z ludzi na co dzień wypożyczających stamtąd książki; przyszli nawet nie dla mnie, tylko dlatego, że to było ich ważne miejsce. I autentycznie słuchali, stawiali dobre pytania. Żywo reagowali, czułam, że poprzez wiersze nawiązałam z nimi kontakt, a to rzecz bezcenna, coś, co bardzo dodaje energii.

W Warszawie jest inaczej – tu istnieje duża konkurencja, w tym samym czasie odbywa się mnóstwo wydarzeń kulturalnych. Sukcesem jest, kiedy na spotkanie poetyckie przyjdą znajomi.

A portrait of Krystyna Dąbrowska, a woman with short, wavy, light grey hair and bright blue eyes. She is smiling slightly and looking towards the camera. She is wearing a dark blue or black zip-up jacket and a large, red, flower-shaped earring. The background is a soft, out-of-focus grey.

KRYSZYNA DĄBROWSKA (ur. 1979 r.) jest poetką, eseistką i tłumaczką. Laureatka Nagrody Kościelskich (2013), Nagrody im. Wisławy Szymborskiej (2013), Nagrody Literackiej m. st. Warszawy (2019). Autorka tomików wierszy „Biuro podróży”, „Białe krzesła”, „Czas i przestona” i „Ścieżki dźwiękowe”. W 2021 r. w Wydawnictwie a5 ukazał się tomik „Ararat” Louise Glück, laureatki literackiego Nobla 2020, w jej tłumaczeniu.

→ A jak jest za granicą na międzynarodowych festiwalach?

Najlepsze doświadczenia mam z Ameryki Południowej i Centralnej – z Kolumbii i Nikaragui. To kraje nękane ciągłymi wojnami, przewrotami, korupcją. Dla Kolumbijczyków i Nikaraguańczyków poeta, poetka to jest ktoś – jak w Polsce w latach 80. Na festiwalach przychodzą stadionowe tłumy. Wiersze czytane są w językach oryginalnych i w przekładzie hiszpańskim – jednego wieczora ludzie słuchają nawet trzydziścioro poetów. Dla nich to otwarcie na świat, powiew wolności. W Medellin, mieście kojarzonym głównie z kartelami narkotykowymi, odbywa się najważniejszy w Ameryce Południowej festiwal poetycki. W trakcie ceremonii jego zamknięcia, którą zorganizowano w parku, zaczęło padać. My, poeci, czytaliśmy nadal, a ludzie rozłożyli parasolki i popijając rum słuchali przez kilka godzin.

Niedługo potem odbyłam spotkanie autorskie w Berlinie. Przyszło na nie może z dziesięć osób, siedzących bez ruchu, z kamiennymi twarzami, z których nie da się wyczytać żadnych emocji.

Co z nimi nie tak?

W krajach demokracji i dobrobytu poezja jest aberracją, dziwactwem. A tam, gdzie panuje polityczny ucisk, ma ona w sobie wyzwalającą siłę. Popularność poezji w Ameryce Łacińskiej wiąże się też na pewno z innym, swobodniejszym podejściem do słowa. Na festiwalu w Nikaragui zarządzono, że każdy poeta dostaje na czytanie pięć minut. Europejczycy i Azjaci byli zdyscyplinowani, trzymaliśmy się tych ram, a poeci latynoamerykańscy recytowali rozbuchane, półgodzinne poematy, nie przejmując się czasem i wytrzymałością słuchaczy.

To ile wiersz kosztuje Ciebie?

Sporo emocji, energii, czasu. Niektórym ludziom zdaje się, że wiersz ot tak spada z nieba.

Nie spada?

Bywa, że nagle pojawia się błysk, wiem, co mam pisać.

I wiersz gotowy?

Potem długo szlifuję. A jeśli nie szlifuję, co naprawdę zdarza się rzadko, to mam poczucie, że zapracowałam na to, nawet o tym nie wiedząc. Ostatnio napisa-

łam wiersz pod tytułem „Gry dziecięce”. O tym, że prawie każde dziecko wymyśla, niezależnie od innych, grę w przeskakiwanie szczelin między płytami chodnika. Później przeglądałam stare notatki i znalazłam pomysł na ten wiersz zapisany już kilka lat temu.

Inkubował się?

Coś w tym rodzaju. Dużo też kosztuje moment, kiedy wychodzę z wierszami do ludzi. Jeśli są naprawdę osobiste, dotyczą czegoś, co dla mnie trudne, to dobrze, żeby się odleżały w szufladzie. Wiosną w Wydawnictwie a5 ukaze się mój nowy tomik i znajdzie się w nim wiele wierszy, które powstały dwa, trzy lata temu. Przetestował je czas – emocje w nich zawarte niesie forma. Ona sprawia, że tekst oddziela się ode mnie i słabiej jestem z nim związana.

Poezja niesie w sobie ryzyko – upubliczniasz to, co prywatne. Z jednej strony nie może być pamiętnikiem uczuć, a w każdym razie nie tylko nim, z drugiej musi zawierać element intymny – wynikający z tego, że się otwierasz. I od tej chwili każdy ma prawo powiedzieć, że to nic niewarte.

Intymne jest pisanie o utratach?

Utrata przyjaźni jest bolesna. Inaczej jest z nią niż z utratą miłości... Gdy kończy się związek, moment rozstania jest przeważnie radykalnym cięciem. To warzyszą temu dramatyczne rozmowy i sceny – wszystko staje się jasne. A przyjaźń potrafi psuć się latami zupełnie niepostrzeżenie, trudno to uchwycić, pojąć.

I tu kolejne trudne emocje – pisząc o utracie, ponieważ trzeba się w niej ponownie ubrać.

Wrócić do bolesnych doświadczeń?

Co zresztą niczego nie gwarantuje – można napisać o nieudanej miłości albo o śmierci kogoś bliskiego, a ten wiersz okaże się kiepski. Wyjściowy impuls nie zapewnia jakości wiersza. Zdarza się, że chcę napisać o czymś, co głęboko przeżywałam, i nic z tego nie wychodzi.

A ta utracona przyjaźń, o której wspomniiałaś?

Z przyjaciółką znamy się jeszcze od szkoły średniej, chodziłyśmy na lekcje rysunku, razem studiowałyśmy, trudno coś takiego przerwać. Ona od lat mieszka za granicą, więc widujemy się rzadko, głównie utrzymujemy kontakt telefo-

niczny i internetowy. A to nie to samo, co spotkanie w cztery oczy. Chyba obie nie zorientowałyśmy się, że rozchodzą się nasze ścieżki, że każda żyje innym życiem i czego innego od życia oczekuje. Ona urodziła dziecko, czuła się samotna w macierzyństwie, nie byłam wówczas, jej zdaniem, wystarczająco blisko. Potem ja z kolei miałam o coś pretensje. Zdarzyła nam się kłótnia, która dużo zepsuła, nie potrafiłyśmy już tego naprawić.

Rywalizacja?

Wkradły się ambicje, mimo że zajmujemy się innymi obszarami sztuki, przyjaciółką jest malarką. Później ona zachorowała na raka piersi. Na szczęście wyszła z tego. Zaczęłyśmy więcej rozmawiać, w niej, na przekór wszystkiemu, obudziła się radość życia, jakiej wcześniej nie znała. Rzeczy dawniej ją przygniatające przestały mieć znaczenie. Cierpienie, przez które przeszła, uzmysłowiło mi, ile dla mnie znaczy.

I nadal istnieje między nami bliskość, ale są też sprawy, o których powinniśmy porozmawiać, a nie porozmawiałyśmy i nie wiem, czy to zrobimy. Nawarstwiają się nieporozumienia i potem nawet nie wiadomo, jak i z której strony tego dotknąć, by na nowo się nie poranić. To wszystko, co się zdarzyło, wiąże z naszym wiekiem – przyjaźnie trwają dekadami, w tym czasie ludzie zmieniają się. A my tego nie zauważamy bądź nie chcemy zauważyć. Wydaje ci się, że kogoś znasz, i nagle okazuje się, że to już zupełnie inny człowiek.

Co wtedy?

Nie pozostaje nic innego, jak zaakceptować, że z osobą kiedyś bliską już się wewnątrznie nie spotkamy. Czasami życie jest mądrzejsze i dzieje się nagle coś takiego, co doprowadza do ponownego spotkania. Jedno dla mnie jest pewne: ludzie, z którymi byliśmy mocno uczuciowo związani, nawet jeśli ich stracimy, są już nieusuwalną częścią nas.

Pokazujesz komuś swoje wiersze przed publikacją?

Te świeżo napisane pokazuję Piotrowi Matywieckiemu, którego poznałam jeszcze w szkole średniej – wtedy pierwszy raz zaniósłam mu próbki mojej pisniny. Poza tym przyjaciółom, którzy nie zajmują się zawodowo literaturą, ale są świetnymi, ważnymi czytelnikami.

HIBERNUJĄCE ZWIERZĘ

Rano zadzwoniła przyjaciółka. Ten telefon wyrwał naszą przyjaźń z zimowego snu. Jeszcze się wybudza; w potarganej sierści strzępy mejli – skąpych, słanych rzadko, ale w czasie mrozów tylko one dawały jej ciepło. Tylko? Też podskórna warstwa tłuszczu: wieloletni zapas rozmów o wszystkim, wspólnego śmiechu, płaczu, który nie zniósłby innego świadka niż ta druga. Nasza przyjaźń kursowała między dwoma krajami, po kociemu wyczuwała ból, kładła się na chorych miejscach, nie przepłoszyły jej miłości, narodziny dziecka, brak widoków, blask fleszy. A rozsypała się przez błahą kłótnię. Jak ktoś, kto przeżył wojnę, po czym umiera od skażenia w palec przy otwieraniu konserwy. I cała wojna jest w tej ranie. Nie powiedziałam tego przyjaciółce: że nienawidzę telefonów rano, przecież wie, i kocham ją, że zadzwoniła.

Mamie?

Też. Jest biologiem i przede wszystkim sprawdza, czy w moich wierszach wszystko się zgadza pod względem przyrodniczym – na przykład nazwy i zachowania ptaków, których u mnie dużo. Mama nie podchodzi do moich wierszy emocjonalnie, nie traktuje ich jako wyznań swojego dziecka, tylko jako teksty literackie. Chociaż na pewno dowiaduje się z nich o mnie rzeczy, których bym jej nie powiedziała.

A reakcja mamy na „Głos babci”?

To wiersz o jej matce, który znalazł się w tomiku „Ścieżki dźwiękowe”.

Miała zastrzeżenia, że napisałam o stołku dziadka, z którego szuflady wysypały się pliki banknotów. Mama była ogromnie związana ze swoim ojcem – przedwojennym nauczycielem, a po wojnie dyrektorem szkoły dla dzieci niepełnosprawnych. Ja dziadka nie znałam,

umarł, zanim się urodziłam. Wierzę mamie, że był wspaniałym człowiekiem, a zarazem myślę, że go idealizuje.

Babcia pod koniec życia opowiedziała mi o incydencie ze stołkiem. Był to stary grat i raz w trakcie porządków postanowiła wynieść go na śmietnik. Wtedy na podłogę poleciały banknoty. Okazało się, że to tajne oszczędności dziadka, które prawdopodobnie gromadził przez lata, odkładając pieniądze ze swojej pensji. Nie byłoby w tym nic złego, gdyby nie to, że jednocześnie babcia pracowała jako księgowa na dwóch etatach, żeby jakoś utrzymać rodzinę. Wychodziła z domu na całe dni, jej dwiema córkami opiekowała się mieszkająca z nimi ciocia Irka, starsza siostra babci. W tych okolicznościach stołek z majątkiem ukrytym w szufladzie nieco psuje wizerunek dziadka. Mama nie mogła mi darować, że musiałam ten stołek wstawić do wiersza. A dla mnie był tam konieczny.

„W jej głosie było światło” – tak w wierszu napisałaś o babci.

Babcia nawet na starość miała młodzińczy, pełen życia głos. Dożyła 101 lat. Urodziła się w roku 1915 i jak na tamte czasy była nowoczesna. Z jednej strony wierząca katoliczka, z drugiej mówiła otwarcie, że zawsze chciała mieć dzieci, ale męża to już niekoniecznie. Była tolerancyjna, z poczuciem humoru, ciekawa świata, mimo że nigdy nie wyjechała za granicę. Babcia wcześniej owdowiała – dziadek był od niej ponad dwadzieścia lat starszy. Być może to sprawiło, a także jej silna osobowość, że obie córki, czyli moja mama i ciocia, czuły się z nią niesłuchanie żyte. Kiedy jako dziewczynka powierzałam mamie sekret, to natychmiast musiała opowiedzieć wszystko babci. Mówiłam mamie, że niekoniecznie powinna to robić. Dla niej było to jednak oczywiste – były jak naczynia połączone.

Babcia nie miała w sobie nic apodyktycznego, nie była rodzinnym tyranem, ale odznaczała się mocną obecnością, którą ja chwilami odbierałam jako nadobecność. Nadobecność przedziwną, bo cichą i łagodną, a przy tym niekwestionowaną – dla mamy i cioci babcia była najwyższym autorytetem we wszystkich życiowych sprawach. Autentyczną matryjarchą.

Babcia opowiadała o okupacji?

Pod koniec życia nie mogła chodzić, trzeba było gotować jej obiady, spędzałam z nią wtedy dużo czasu. A ona, z natury powściągliwa, zaczęła więcej niż dotychczas opowiadać o sobie i swoich wojennych doświadczeniach. Babcia całą okupację spędziła w Warszawie. Cudem przeżyła, nieraz była o włos od śmierci. Prababcia nie akceptowała tego, że jej córka spotyka się z dużo starszym mężczyzną, w dodatku rozwodnikiem. Pewnego dnia tak się o to pokłóciły, że babcia wyszła z domu trzaskając drzwiami i noc spędziła u swojego ukochanego. Tego samego dnia siostrę babci, Irkę, która działała w konspiracji, złapało gestapo. Niemcy przyszli do mieszkania i aresztowali całą rodzinę, z wyjątkiem babci, która nie wróciła wtedy na noc. Prababcia i ciocia Irka trafiły do Auschwitz, brat babci, cierpiący na depresję, do Ravensbrück. One przeżyły, on nie. Ciocia Irka, zanim ją wysłano do obozu, była torturowana na Pawiaku. Wybili jej wszystkie

→ zęby. Jej chłopaka zakatowano. Nigdy się już z nikim nie związała.

Babcia opowiedziała mi, że miała przyjaciółkę Żydówkę, która dzięki tak zwanemu dobremu wyglądowi, mieszkała po aryjskiej stronie na fałszywych papierach i załatwiała ludziom z getta wyjście i kryjówkę. Proponowała mojej babci, żeby kogoś przyjęła. Odmówiła, bała się.

Miała wyrzuty?

Do końca życia. Kiedy bliscy babci znaleźli się w obozie, jako nie-Żydzi mogli dostawać paczki. Czuła się za nich odpowiedzialna, uznała, że jeśli jej się coś stanie, oni też zginą, bo nikt im tych paczek już nie wyśle. Tuż przed śmiercią popadła w stan, który lekarze nazywają splątaniem. Człowiek ma wtedy wizje, przenosi się w różne czasy ze swojej przeszłości. Babci wydawało się, że spaceruje po ulicach przedwojennej Warszawy, że wokół są gwarne restauracje, że kipi w nich nocne życie. To też charakterystyczne: na koniec życia do głosu dochodzą głębokie pokłady pamięci, dotąd przykryte codziennością. A splątanie powoduje, że puszczają hamulce, uwalnia wspomnienia zarówno szczęścia, jak i traumy, wyrzuca na wierzch tęsknoty.

Masz siwe włosy jak babcia?

W wierszu „Jeżeli siwe włosy” piszesz, że u kobiet w Twojej rodzinie pojawiają się one koło dwudziestki i nie idą na układ z grzebieniem.

Zaczęłam siwieć bardzo wcześnie, jak mama. Mama miała dawniej piękne, naturalnie rude włosy, ale nigdy nie próbowała wrócić sztucznie do tego koloru. A babcia, jeszcze jako młoda, ale już siwiejąca kobieta, usłyszała kiedyś w pracy, jak ktoś wskazując na nią powiedział: proszę zapytać tej starszej pani. Od tego czasu się farbowała.

Odkąd pamiętam, bałam się śmierci – w swoje trzynaste urodziny ze zgrozą myślałam o tym, jaka jestem stara.

Tworzenie poezji jest jakimś sposobem na zatrzymanie chwili.

Sama tego nie robisz.

W liceum miałam zielone i niebieskie włosy, później czerwonego jeża, i wtedy wyżyłam się w kwestii farbowania. Moja siwizna może wyglądać na dorabianą filozofię, ale nią nie jest – mam obsesję przemijania. Uznałam, że jak zacznę się farbować, to sama będę się oszukiwać, że czas nie dotyka mojej fizyczności. Lepiej od początku przyjąć do wiadomości przemijanie – i w ogóle to, że się zmieniam – niż to maskować. Ale też siwe włosy po prostu mi się podobają. Od kilku lat panuje moda na siwiznę, nadal jednak życzliwe osoby sugerują, żebym się pofarbowała, bo wyglądam staro. Odzywa się tu pierwotny sposób myślenia – siwizna oznacza kobietę w wieku niereprodukcyjnym, która nie może już rodzić dzieci, więc nie jest pełnowartościowa.

Liczysz ludziom lata?

Denerwuje mnie tradycyjne przekonanie, że kobiety nie powinny podawać swojego wieku, dlaczego nie? Czytając książkę napisaną przez kobietę, chcę wiedzieć, ile autorka ma lat, jak jej wiek i życiowe doświadczenie mają się do świata wykreowanego w powieści czy tomie wierszy.

Odkąd pamiętam, bałam się śmierci: w swoje trzynaste urodziny ze zgrozą myślałam o tym, jaka jestem stara. Śmieję się z tego, ale tak było. Myślę też, że lęk przed przemijaniem pcha mnie do pisanie wierszy. Tworzenie form jest jakimś sposobem na zatrzymanie chwili. Kiedy intensywnie coś przeżywam – może to być choćby opowiedziana mi przez kogoś historia – mam poczucie, że jak o tym nie napiszę, przeżycie zblaknie, emocje ulotnią się, i już nie będę miała dostępu do tej opowieści czy wrażenia, które chcia-

łam utrwalić. I nie zostanie po nich żaden ślad.

Śmierć jest do oswojenia?

Kilkanaście lat temu na wymianie studenckiej w Stanach miałam wypadek, mało co nie umarłam. Paradoksalnie to było wyzwalające. Byłam pogubiona, studia plastyczne przestawały mnie interesować, docierało do mnie, że w tej dziedzinie nie mam dużo do powiedzenia. Działy się rzeczy sprawiające, że źle się czułam w swojej skórze. I właśnie wtedy odwiedziłam znajomą w Nowym Jorku, która pożyczyła mi rower, żebym objechała Manhattan. Wycieczka skończyła się zderzeniem z ciężarówką.

Ten wypadek sprawił, dosłownie i metaforycznie, że musiałam przestać gnać. Leżałam w uniwersyteckim szpitalu, z mojego punktu widzenia luksusowym, w dwuosobowym pokoju z wielkim oknem. Nie mogłam nic robić. Nikt nic ode mnie nie chciał i ja od siebie nic nie chciałam, wreszcie. Wtedy sobie odpuściłam – bo wcześniej wiecznie byłam z siebie niezadowolona. Pamiętam pierwsze szpitalne śniadanie po operacji – jajko na twardo. To jajko było dla mnie cudem – że ono jest, a ja mogę je zjeść. Chyba nigdy nic mi tak nie smakowało. Po tym wypadku wiele się zmieniło. Po pierwsze, zaczęłam bardziej doceniać życie. Po drugie, mniej planować – do tego momentu byłam osobą nieustannie wybiegającą w przyszłość, zamartwiającą się, że nie zawsze mogę zrealizować swoje zamiary.

Po trzecie, zadebiutowałaś potem jako poetka. W 2006 r. ukazał się tom „Biuro podróży”.

Są takie doświadczenia – tak też było z pandemią – które sprawiają, że następuje moment przymusowego zatrzymania i zmienia się nasze postrzeganie świata. Szkoda, że tego widzenia – ostrego, wnikliwego – nie można zatrzymać na dłużej. Zawsze w końcu wraca codzienność i siłą rzeczy znowu zaczynamy przywiązywać się do naszych scenariuszy i nawyków, martwić się o różne pierdoły. Chwilę olśnienia przykrywa kurz. I pewnie nie da się inaczej, nie do zniesienia byłoby ustawiczne życie na krawędzi – w stanie wzmożonej czujności i w rozdrapanych ranach.

© Rozmawiała

KATARZYNA KUBISIOWSKA

**RADIO
KRAKÓW**

Co wtorek o godz. 14.30
na antenie Radia Kraków
goszczą dziennikarze

„Tygodnika Powszechnego”. Stuchaj nas
w Małopolsce:

Kraków – 101,6 FM | Zakopane – 100,0 FM
Nowy Sącz – 90,0 FM | Gorlice – 97,4 FM
Krynica Zdrój – 102,1 FM | Tarnów – 101,0 FM
Rabka Zdrój – 87,6 FM | Andrychów – 98,8 FM
www.radiokrakow.pl



NATALIA KANANOW DLA STUDIO TEATR GALERII

„Bowie w Warszawie” Doroty Masłowskiej w reżyserii Marcina Libera

Regina Poloniae

DARIUSZ KOSIŃSKI

Masłowska jest pisarką teatralną w takim sensie i może nawet w takim samym stopniu, jak pisarzem teatralnym był Gombrowicz. Ich ton jest pozornie lekki, pełen kreacyjnego wdzięku i seksapilu, a jednocześnie mroczny, groźny i ponury.

TEATRALNY ROK 2021 ZAMKNAŁ SIĘ oczekiwaniem od dawna występem Davida Bowiego sprowadzonego do Warszawy przez Dorotę Masłowską. Zainscenizowana przez Marcina Libera w Teatrze Studio groteskowo-poetycka śpiewogra wydobywa polską niższość – jednocześnie groteskowo śmieszną i przerażająco smutną w rozpaczliwie niewypowiedzianych pragnieniach. Jak to się mówi: „mocny akcent na otwarcie”. Prosto w słabiznę.

Bardzo łatwo dać się „Bowiemu w Warszawie” zwieść. Już sam tytuł można uznać za mylący, bo wbrew niemu i wbrew legendzie o krótkim pobycie słynnego artysty w Warszawie w roku 1973 (lub 1976) chodzi dokładnie o to, że

Bowiego w Warszawie nie było, a przede wszystkim – nadal go nie ma. Mylące są też sugestie, że to przedstawienie o PRL-u. No i zwodniczy, a zarazem przewrotny był wybór przedstawienia na sylwestrowy wieczór, bo choć są piosenki (i to jakie!), choć zespół Błoto gra na żywo (znakomicie), a Bartosz Porczyk wreszcie ma szansę pokazać w Warszawie, jak znakomitym jest wokalistą i showmanem, to nie bardzo sobie wyobrażałem wznoszenie po tym wszystkim toastów i okrzyków „Dosiego roku!”. Jeśli już bał, to jak u Bułhakowa: „Łódź pływa w kompo- tierce, przy sąsiednim stoliku widać czy- jeś przekrwione bycze oczy i jest strasz- nie, jest strasznie... O, bogowie, o, bogowie moi, trucizny, trucizny!...”.

Teatralna

Zwodnicze jest już samo pisarstwo Doroty Masłowskiej, o którym uparcie opowiada się, że mistrzowsko przetwarza wielogłos żywej-codziennej mowy polskiej w porywający język własny, a zarazem cudnie cudzoślowny. Prawda to z pewnością, ale jednak niewystarczająca, by uchwycić fenomen pisarki tak nieprawdopodobnej, że podejrzewanej nawet o nieistnienie. Patrząc ze znacznego już dystansu czasowego (ostatecznie w przyszłym roku minie dwadzieścia lat od ukazania się debiutanckiej „Wojny polsko-ruskiej pod flagą białą-czerwoną”) i z perspektywy szerszej niż wyłącznie literacka, czyli skupiona na książkach, łatwo zauważyć, że obecność Masłowskiej staje się szczególnie intensywna tam, gdzie wychodzi poza obieg ściśle literacki. Filmowa „Wojna...” w reżyserii Xawerego Żuławskiego, teatralne warianty tej i kolejnej powieści (zwłaszcza bardzo udany „Paw królowej” w reżyserii Pawła Świątko w Starym Teatrze, 2012), wielomedialne istnienie „Między nami dobrze jest” (2008) przenoszono przez Grzegorza Jarzynę z teatru do filmu i z filmu na platformę internetową – wszystko to dowodzi, że Masłowska nie jest tylko mistrzynią językowej kreacji.

Szczególnie w ostatnich latach można odnieść wrażenie, że pisarka nie chce, by jej

→ kolejne utwory istniały wyłącznie jako rzeczy czytane. Już „Inni ludzie” (2018) bardzo szybko po publikacji książkowej eksplodowali w teatrze prawdziwą feerią obrazów i dźwięków spektaklu Grzegorza Jarzyny, by niedługo potem zaistnieć w wersji filmowej, podobno znakomitej, jak twierdzą ci, którzy obraz Aleksandry Terpińskiej widzieli w Gdyni (premiera kinowa dopiero w marcu 2022 r.). Z „Bowiem w Warszawie” jest odwrotnie: najpierw premiera teatralna, a dopiero w styczniu 2022 r. książka w Wydawnictwie Literackim (film też pewnie będzie, bo aż się prosi).

I to właśnie najnowsza premiera przekonuje, że Masłowska to przede wszystkim pisarka teatralna. Nie dramatyczna, ale właśnie teatralna, to znaczy domagająca się wystawienia, ucieleśnienia i wygłoszenia. Szczególną cechą jej twórczości jest to, że osiąga swoją pełnię przez układanie sytuacji, opowieści, obrazów i dźwięków w zaskakujące asambláže osobliwości znalezionych lub wykreowanych. Tworzą one spektakle służące wydobywaniu i dawaniu do oglądania tego, co w słowach się nie mieści nie dlatego, że jest za wysokie, zbyt podniosłe, ale odwrotnie – dlatego, że wstydlive, niskie i głupie, a zarazem ciemne i dręczące.

Jest pisarką teatralną w takim sensie i może nawet w takim samym stopniu,

jak pisarzem teatralnym *par excellence* był Witold Gombrowicz. Oczywiście od czasu napisania „Ślubu”, a nawet „Operetki” teatr i teatralność zmieniły swoją estetykę i konwencje, ale sama zasada wystawienia jako ekshibicji poznawczej, prześmiewczej i oczyszczającej jest taka sama. I taki sam jest ton – pozornie lekki, pełen kreacyjnego wdzięku i seksapilu, a jednocześnie mroczny, groźny i ponury.

Szklanka w koszyczku

To właśnie zestawienie z Gombrowiczem sprawiło, że nie trzeba dać się wciągnąć na „Bowiem...” w rzekomą wiwisekcję Polski lat 70. To przecież jasne: PRL Masłowskiej jest tak samo historyczny, jak okupowana Polska w „Pornografii”. No i oczywiście jest jawnie i jaskrawo operetkowy, ze swymi bosko idiotycznymi przerysowaniami i spektakularnymi numerami muzycznymi.

Szukając sposobu na przepowiedzenie tego przedstawienia, specyfiki jego kompozycji, budowanej w pozornym szaleństwie przez Marcina Libera i znakomity zespół aktorski, lepiej odwołać się nie do tkania i splatania wątków, ale do znaczących zestawień wyrazistych elementów: rekwizytów, tematów, scen, aluzji. Nawet jeśli wiążą się one ze sobą

i tworzą temat, to dzieje się to w sposób nieciągly – skokami i przeskokami. Fabuła zarysowuje się, ale nie nabiera tempa, utyka, wędnie. Milicjant Wojtek (Marcin Pempuś) niby zajmuje się bardzo intensywnie poszukiwaniem przestępcy rzekomo napadającego kobiety na Mokotowie, ale nie tylko nie jest w stanie go złapać, ale nie ma nawet najważniejszych dowodów zbrodni – samych ofiar. Kryminalna intryga (znów bardzo po gombrowiczowsku) grzęźnie w niemożności, a znerwicowany milicjant staje się bohaterem zupełnie innej opowieści – o heroizmie życia w banalnej codzienności.

Tematy są wydobywane i wystawiane jak eksponaty – wyizolowane i skupiające uwagę, a następnie przenoszone w konteksty zaskakująco zmieniające ich sensy. Już pierwszy obraz witający widzów zdaje się zapowiadać taką zasadę kompozycji: na pustej, a głęboko otwartej scenie trzy surowe i monumentalne trójkąty o barwie betonu (scenografia Mirka Kaczmarska). Dopiero po chwili daje się zauważyć jeszcze coś: stojąca na krawędzi sceny, blisko widowni szklanka w metalowym koszyczku oświetlona punktowym reflektorem. Przedstawienie zaczyna się od tego, że ku temu stereotypowo peerelowskiemu przedmiotowi czołgać się będzie odziana w złoty kombinizon postać, która w końcu okaże się Davidem Bowie, a która służy też za narratora całości (Bartosz Porczyk). Ekscentryczna fantazyjność kosmiczna spotyka ekscentryczną anachroniczność tuziemską i obie świecą sobie po oczach, ujawniając własne nieoczywistości.

Ta strategia osiąga mistrzostwo w długiej scenie zbudowanej wokół nacht kastlika znalezionego w wypalonym wojną domu rodzinnym przodków głównej bohaterki przedstawienia, Reginy (Maja Pankiewicz). Najpierw jej matka (Marta Zięba) długo opowiada jego historię, łącznie z wywołanym przez odmowę zwrócenia mebla zerwaniem z siostrą (Ewelina Żak), by zaraz potem mógł się rozegrać groteskowy w swej choreografii akt pogodzenia nad oddanym meblem, skontrapunktowany zaskakującą swoim erotyzmem i nagością (znowu Gombrowicz) sceną miłosną między Reginą a jej kuzynką Bogusią (Dominika Biernat). Gdy przeplatające się głosy kobiecego kwartetu wieńczy trzepanie nagle spływającej z góry makaty z orłem bez

POŻEGNANIA

Msza święta za spokój duszy

Ś.†P.

Jerzego Langiera

zostanie odprawiona w kościele św. Szczepana w Krakowie
w czwartek 3 lutego 2022 r. o godz. 8.30

W ubiegły piątek pożegnaliśmy na Cmentarzu Bródnowskim
w Warszawie Naszego Przyjaciela od czasów liceum.

Mirek Kowalski

odszedł 2 stycznia 2022 r.

WŁODEK LEWICKI, WITEK RESPONDEK I MAREK ZALEJSKI

korony, zestawione ze sobą elementy tej kompozycji wybuchają jakąś nieujmowalną inaczej, ale odczuwalną bezpośrednio prawdą. Jak to z prawdą bywa – nie da się jej długo znieść, więc za chwilę kurtyna opada, a obsługa widowni bardzo prosi wszystkich o opuszczenie sali.

Rozmydlone

Wymuszone przez pandemię wietrzenie i dezynfekcja coś najwyraźniej usunęły z przedstawienia, bo choć druga część zaczyna się od wspaniałego chóru w ludowych kostiumach (projektantami tych i wszystkich innych kostiumów jest grupa Mixer), to potem niestety nerw kompozycji siada, a kilka kolejnych sekwencji aż się prosi o skróty (środowiskowo-aluzyjne ataki na niesłusznie popularnych pisarzy są usypiająco przewidywalne, a wręcz małostkowe).

Stabilizuje się też i narracja. To właśnie w tej części wysuwa się na czoło wątek Reginy, zakochanej nieszczęśliwie (jak się okazuje w scenie retrospekcji ujawniającej „ukrytą prawdę”) w poznanej na obozie Judyty (Sonia Roszczuk), a zaręczonej z zakochanym w niej bez wzajemności, groteskowo żalosnym hodowcy pieczarek (Rob Wasiewicz). Masłowska używa mydlanooperowej piany w chwili, gdy wprowadza temat politycznie aktualny. Ponieważ żyjemy w kraju, w którym historia homoseksualnej miłości wciąż jest traktowana jako „obyczajowa prowokacja”, przepisanie jej na rozmydloną konwencję telewizyjnego melodramatu jest zabiegiem skutecznym, bo wraz z otwartością opisów scen miłosnych pozwala na uniknięcie letniej poprawności. Inna sprawa, że temat miłości Reginy zostaje w przedstawieniu wprowadzony tak późno, a jej i jej dalsze nieszczęśliwe życie zasygnalizowane tak nieznacznie, że cały ten wątek nieco traci własną afektywną moc.

Postać Reginy przynależy raczej do współczesności niż do lat 70. Wypowiedziana już na początku, a potem konsekwentnie rozwijana i pogłębiania niechęć do grania któregośkolwiek z możliwych scenariuszy podsuwanych Reginie przez świat, nie dotyczy przecież tylko lat 70., choć w ich kontekście też ma sens. Regina reprezentuje kolejne pokolenia, które „nie wiedzą, czego chcą” i którym „nic się nie podoba”, bo są przekonane, że „życie jest gdzie indziej”. A że nie wiedzą gdzie i nie są w stanie nazwać swoich pra-



WOJCIECH OLSZANKA / EAST NEWS

Dorota Masłowska,
Warszawa, wrzesień 2020 r.

gnień, nie mają języka na ich określenie, ostatecznie ulegają presji modeli życia tu.

Choć w finale spektaklu wątek Reginy połączony jest z wydarzeniami należącymi w latach 70. do przyszłości, to mnie skojarzył się z czymś historycznie przeciwnym – dramatem Jana Augusta Kisielewskiego „W sieci”, którego bohaterka, „szalona Julka”, też nie jest w stanie wypowiedzieć swoich pragnień i też w końcu przyjmuje to, co podsuwa jej świat, by żyć nieszczęśliwa i swoim nieszczęściem zatruwać wszystkich wokół. Premiera „W sieci” miała miejsce 122 lata temu (31 stycznia 1899 r.). Wygląda więc na to, że wiek upłynął, a nic się w istocie nie zmieniło.

Bowiem go nie ma

Kontrapunktem Reginy jest dynamiczna postać sprzątaczk, pani Nastki (Monika Obara), o której szczególnie statusie jesteśmy informowani już przy jej pierwszym pojawieniu się na scenie. Zajmując niskie miejsce w patriarchalnej hierarchii społecznej, pani Nastka właśnie dzięki temu otrzymuje prawo do uosabiania niewypowiedzanej w wielkich narracjach historii kobiet – ofiar przemocy. Historia ta łączy (tu rzeczywiście prowokacyjnie, choć w sposób ukryty) zbrodnie wojenne i przemoc domową ze stałą i silną relacją z katolickim wzorem kobiecości, czyli Matką Boską. To właśnie pani Nastka ukazuje się polska Madonna (So-

nia Roszczuk), zalecająca pokorę i usługowość wobec męża alkoholika. Ale to też i do niej w końcu należy finał ze współczesną Warszawą i Ogólnopolskim Strajkiem Kobiet.

Bo pani Nastka istnieje i widzi ponad czasami, więc może opowiedzieć nieszczęśliwe życie Reginy, żony króla pieczarek, oraz wywołać projekcję pojawiających się na ekranach obrazów niedawnych kobiecych protestów przeciwko męskiej władzy przypisującej sobie prawo decydowania, jakie pragnienia i modele życia są akceptowalne, a jakie nie.

Ten mocny finał może wydawać się zaskakująco dosłowny, a może wręcz niekonsekwentnie łopatologiczny. Ale wszystko, co w tekście i obrazie mogłoby właśnie z tych względów razić, rozgrzesza Porczyk śpiewający wreszcie to, co zapowiadają muzyczne wątki całego przedstawienia – „Helokanie” zespołu Śląsk przetworzone na muzyczną jazdę w nieistniejącym języku, czyli „Warszawę” Davida Bowiego. Salę zagarnia i wypełnia energia, która niby jest stąd, ale której tu nie ma i nigdy nie było. Zamiast niej są wielkie pieczarki, w które Mixer ubrał wszystkie postaci wychodzące teraz na scenę – grzyby wyrosłe na końskim nawozie, zdolne jedynie do użalania się nad swoimi tragediami drobnoustrojów. I nawet jeśli czynią to w sposób tak poruszający jak Marcin Pempuś we wcześniejszym monologu zamykającym ostatecznie wątek jego postaci, to nie zmienia to w niczym faktu, że ścieżką dźwiękową polskiego życia nie jest szalona „Warszawa”, ale pełen masochistycznej melancholii cover „Heroes” Bowiego, który Porczyk śpiewa zaraz po monologu milicjanta. Nic nie mogę poradzić, że w tej wersji oryginalne „możemy być bohaterami” słyszę jako czas przeszły niedokonany, a słowa: „*We're nothing, and nothing will help us*” brzmią jak dobyte z głębi ziemi. Tej ziemi.

Zamiast iść do domu lub na pospektaklową kolację, ruszam na dworzec, by jechać przez nocną Polskę. W Radomiu do autobusu wsiada grupka przyszłych uczestników Sylwestra Marzeń w Zakopanem. Coraz bardziej podpici, coraz głębiej puszczają z komórek rodzime setlisty. Za twe oczy zielone, zielone... Zakładam słuchawki i daremnie usiłując zagłuszyć Zenka, słyszę pytanie o życie na Marsie.

© DARIUSZ KOŚCIŃSKI

Pomiędzy słowami

ANITA PIOTROWSKA

„C'mon C'mon” to film o trudnej sztuce wyrażania i nazywania swoich emocji, dlatego prawdziwa rozmowa z samej definicji łatwa tu być nie może.

W JĘZYKU ANGIELSKIM C'MON OZNACZA zachętę („no, dalej”) albo lekkie zniecierpliwienie („dobra, dobra”, „daj spokój”) – wiele zależy od intonacji. Może więc służyć podtrzymywaniu rozmowy lub podaniu czyichś słów w wątpliwość. W filmie Mike'a Millsa „C'mon C'mon”, w którym rozmawia się bardzo dużo, to wyrażenie miewa oba odcienie. Między intensywną wymianą myśli a mową-trawą (nazywaną przez bohaterów „bla bla bla”) zawieszona jest historia przyjaźni niepokojąco bystrego dziecięciolatka z podejrzanie spokojnym (do czasu) czterdziestoparolatkiem.

Czy kino ze śmiercią, chorobą psychiczną oraz rozpadem więzi w tle może być pocieszycielskie? C'mon! Ten film najlepiej opisywać poprzez to, jakim z rozpędu mógłby być, a do końca, na szczęście, się nie stał. Weźmy choćby obsadę. Oto Mills zatrudnia Joaquina Phoenixa, czołowego neurotyka amerykańskiego kina, który przyzwyczaił nas do ról tańczących na linie Jokerów. Tym razem każe mu być troskliwym opiekunem i wziąć pod swoje skrzydła siostrzeńca o imieniu Jesse (w tej roli rewelacyjny Woody Norman). Ale – jak się okazuje – ta zmiana aktorskiego wizerunku również nie do końca się wypełnia; zmienia się jedynie sposób ekspresji.

Sama fabuła brzmi stereotypowo. Kiedy Viv (Gaby Hoffmann), czyli mama chłopca, musi wyjechać do innego miasta w Kalifornii, żeby zająć się pograżonym w depresji mężem dyrygentem, przybyły z Nowego Jorku wujek Johnny próbuje stanąć na wysokości zadania. Czas spędzony z rezolutnym acz nadwrażliwym dzieckiem, obdarzonym słuchem szczególnie wyostrożnym na kryzysy dorosłych, przynosi Johnny'emu zupełnie nowe wyzwania i zupełnie nowe odkrycia. Jako że jest z zawodu radiowcem i nagrywa właśnie cykl audycji, w których

dzieci z różnych środowisk i różnych miast USA wypowiadają się na temat coraz bardziej niepewnej przyszłości, mały Jesse zaczyna towarzyszyć mu w tej podróży. Krąży ona wokół pytań tylko pozornie prostych, bo szczerść bywa nader męcząca, a czasem nawet bolesna. I, co najważniejsze, domaga się własnego języka.

Stąd małaletni rozmówcy Johnny'ego, zapewne w swoich wyznaniach autentyczni, pytani o lęki i wyobrażenia mówią czasem wyuczonymi frazesami, podczas gdy on sam, przyszpilony przez siostrzeńca w drażliwych kwestiach swojego singielstwa czy relacji z siostrą, nie może uciec się do gładkich słówek. „C'mon C'mon” to film o trudnej sztuce wyrażania i nazywania swoich emocji, dlatego prawdziwa rozmowa z samej definicji łatwa tu być nie może. Bohater Phoenixa doskonale wygrywa ową chroniczną niemoc – mamrotaniem, sapaniem, pochrząkiwaniem. Nie ma nic wspólnego ze złotoustym dziennikarzem, zakochanym w tembrze swego głosu. Podczas wywiadów z dziećmi staje się niewidzialny i niesłyszalny, zaś w rozmowie z podopiecznym poddaje się radykalnej zamianie ról. Bo Jesse nie chce być kolejnym przepytanym małym, teraz on zadaje pytania, krótkie i ostre niczym cięcia brzytwy. Swoją drogą, najbrutalniejsze z nich dotyczy przyszłości Jessego. „Czy kiedyś będę taki jak mój tata?” – pyta, mając na myśli jego kolejny jazd.

Reżyser „Debiutantów” (2010) czy filmu „Kobiety i XX wiek” (2016) wyspecjalizował się w zawiłych konstelacjach emocjonalnych i rodzinnych. Kręci historie o niewypowiedzianych uczuciach, obawach przed angażowaniem się i zasupłanych więzach łączących rodziców i dzieci. Tutaj, jako że ekranem (a może gąbką) dla dorosłych zaburzeń i traum jest dzieciak, fascynująco się ogląda dynamikę rodzinnego układu przez ten



niby-naïwny filtr. Z fragmentarycznych, punktowych niemal spostrzeżeń wyłania się obraz całego chorego systemu. Dlaczego rodzeństwo Viv i Johnny żyło dotąd w oschłych stosunkach? Jak wyglądały ich relacje ze zmarłą niedawno matką? Skąd się wziął psychiczny rozpad ojca Jessego? Najbardziej „nieciągła” zdaje się postać wuja – zwłaszcza wtedy, gdy po nocach nagrywa na radiowym sprzęcie szczegółowe relacje ze spędzonych wspólnie dni. Dla kogo to robi i po co, okaże się dopiero w finale. W każdym razie, ów naznaczony wielosłowie i dosłownością film właśnie w psychologiczno-narracyjnych nieciągłościach ujawnia swój sens. Linia opowieści wiję się w retrospekcyjnych pętelkach, które mało wyjaśniają, bo najważniejsze jest to, co wydarza się jakby mimochodem, tu i teraz, również pomiędzy słowami.

Wytyka się Millsowi, że na siłę dowartościowuje rodzinne w gruncie rzeczy kino. Że czarno-białe pocztówki z odwiedzanych przez bohaterów miejsc wespół z muzyką (klasyczne arie, podniosłe wokalizy plus stare piosenki o miłości) zanadto ocierają



Joaquin Phoenix i Woody Norman w filmie „C'mon C'mon” w reżyserii Mike'a Millsa

się o kaligrafię. Albo że ta prosta opowieść próbuje skupiać w soczewce całą Amerykę. Bo przecież pytania o przyszłość, zadawane młodym mieszkańcom zdegradowanego Detroit czy Nowego Orleanu zniszczonego przez huragan Katrina, mają tu chęć nie chęć polityczne odniesienia. Do tego uzbrojeni we włochaty mikrofon Johnny i Jesse przemierzają ulice ikonicznych miast i wmieszani w tłum przypadkowych przechodniów zbierają dźwięki, przy okazji chwytając jakąś zmysłową prawdę o swoim kraju.

Zaznaczmy jednak, iż diagnoza Millsa nie próbuje odkrywać Ameryki, jakkolwiek życie niespodziewanie dopisało swój epilog. „C'mon C'mon” zadedykowany został pamięci czarnoskórego Devante'a Bryanta z Nowego Orleanu, który niedługo po wystąpieniu w paradokumentalnych fragmentach filmu i tuż przed swoimi dziesiątymi urodzinami padł ofiarą strzelaniny. Pewnie reżyser nie chciałby podkreślać tego faktu, ażeby nie być poświadczonym o wykorzystywanie realnej tragedii. W centrum jego uwagi znalazły się przecież zupełnie inne dzieci:

dziwny Mały Książę, żyjący jedną nogą w swoim wyimaginowanym świecie i, nie da się ukryć, w dość uprzywilejowanym środowisku, oraz smutno starzejący się Piotruś Pan, który powoli zaczyna wyraastać z krótkich spodenek.

Najważniejsze, że ta rodzinna historia z pęknięciem i przemieszczeniem w postaci wzajemnej opieki zastępczej nie idzie na skróty. Powstał przy tym obraz idealnie skrojony na nasze niespokojne czasy, w którym pojęcia bliskości, uważności, normalności (czymże ona jest tak naprawdę?) przez chwilę nabierają odświeżonego znaczenia. Nie mówiąc o pop-psychologicznej kategorii odnalezionego w sobie dziecka. Przede wszystkim jednak film Millsa odwołuje się wprost do tkwiącej w każdym z nas potrzeby bezpieczeństwa – socjalnego, egzystencjalnego, czysto biologicznego. Robi to w sposób na tyle serdeczny, że nie czuć w tym nadmiernej kalkulacji. ©

C'MON C'MON – reż. Mike Mills.
Prod. USA 2021. Dystryb. Gutek Film.
W kinach od 21 stycznia.

WARTO ZOBACZYĆ

1. Nowy porządek



Thriller, reż. Michel Franco, Meksyk 2020, nowehoryzonty.vod
To jeden z ważniejszych współczesnych filmów o społecznym konflik-

cie, choć niektórzy dostrzegają tu wyraz klasistowskich lęków przed „mottochem”. Meksykański reżyser zaczyna od wesela i punktowania ekonomicznych nierówności, by stworzyć chwytający za gardło obraz wcale nieodległej rzeczywistości, budowanej na zemście i przemocy.

2. Ogrodnicy



Miniseria, tw. Will Sharpe, Wielka Brytania 2021, HBO GO
Zbrodnia zakopana w przydomowym ogro-

dzie, fikcja większa niż życie i miłość silniejsza niż wszystko – ale to przede wszystkim dzięki Olivii Colman i Davidowi Thewlisowi „zakręcona” wariacja wokół autentycznych zdarzeń staje się opowieścią wielowarstwową. Zanurzona w fantazjach i filmowych cytatach, lecz psychologicznie bardzo prawdziwą.

3. Undine



Dramat/fantasy, reż. Christian Petzold, Niemcy/Francja 2020, VoD

W scenerii dzisiejszego i historycznego Berlina powraca stary nordycki mit o zazdrosnej rusałce. Z wydatną pomocą Pauli Beer (Europejska Nagroda Filmowa) obraz uwdzi melodramatyczną aurą, zwodzi baśniowością, nurkuje w odmętach namietności. Aczkolwiek do samego końca nie bardzo wiadomo, co kryje się pod powierzchnią.

4. Rita Moreno



Dokumentalny, reż. Mariem Pérez Riera, USA 2021, VoD

„O dziewczynie, która się odważyła” – brzmi podtytuł filmu, którego bohaterką jest amerykańska aktorka latynoskiego pochodzenia, uhonorowana Oscarem za drugoplanową rolę w musicalu „West Side Story” z 1961 r. (występuje też w nowej wersji Spielberga). To także mniej znany rozdział historii Hollywood, pisany przez tych, których droga na szczyty była przez lata szczególnie wyboista.

JAN

Klata:

Stada Pegasusów



WIELU LUDZI ZACHODZI W GŁOWĘ, DLACZEGO karygodny Pegasus nie wierzył Zjednoczonej Prawicy, dlaczego informacje na temat naprawdę grubej afery podsłuchowej spływają po sondażach jak po kaczce.

Naturalnie nasuwającą się odpowiedź jest teoria szczepionki mentalnej: oto Zjednoczona Prawica przez kolejne lata żmudną bezczelnością kolejnych działań zaszczepiła suwerena na kolejne afery, i nic już nie robi wrażenia, bo i co miałyby się stać, żeby coś się stało, skoro wszystkim zobojętniało?

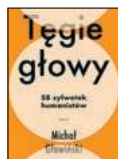
Nie ma co się zajmować mentalnością widzów TVP, niech to analizuje Jason Derulo, natomiast warto pospekulować, jakie zmiany cywilizacyjne powodują, że generalnie inwigilacja przestaje nas oburzać. Nas – tych wielce

oświeconych, z telefonami pełnymi ciekawych podkastów. Nas – znakomicie i z lubością posługujących się technologią do bezustannego opowiadania światu o sobie w trybie 24/7. Jak powiedział przeprzenikliwy Adam Curtis: „Najbardziej radykalna rzecz, którą teraz możesz zrobić, to obejść cały świat na golasa i nikomu nie powiedzieć, że tego dokonałeś”. Każdy na potęgę ujeżdża swego małego, wypieszczonego Pegasus, żywotnie zainteresowany każdą ploteczką, każdą insynuacją, każdą półprawdą na temat bliźnich, zwłaszcza tych budzących zrozumiałą zawiść. Ziobro, Wąsik, Kamiński *et consortes* gracko wyczuli wiatr zmian cywilizacyjnych, i ile wlezie trzepocą skrzydełkami chabety. Oto awangarda kultury obnażania i oskarżania w działaniu.

Nie ma już czegoś takiego jak tajemnica, jest ciągły potop mniej lub bardziej prawdziwych przecieków zewsząd i na każdy temat. Ludziska robią to do imentu, żeby kogoś uwalić albo żeby się pochwalić, coś tam sobie zrekompensować, często po to, żeby się zemścić, a najczęściej po prostu dlatego, że są uzależnieni od kompulsywnego dokumentowania sobie, że żyją, że wszyscy tak robią, żeby się utrzymać na powierzchni. Powierzchnia wzbiera, pieni się przeuroczo, mocno się szlami, ale za to puszcza bańki, czasem kogoś z bańki wypłuje. Robi mokrą robotę. Ma narzędzia. ©

Lektor:

Historia w portretach



■ Michał Głowiński
TĘGIE GŁOWY.
58 SYLWETEK HUMANISTÓW
Wielka Literatura,
Warszawa 2021,
ss. 528.

CYKL ROZPOCZĘTY W POŁOWIE lat 80. pisany był do szuflady, najpierw z powodu cenzury, potem – by uniknąć skrępowañ i ograniczeń. Teraz Michał Głowiński zdecydował się do niej sięgnąć, ale i tak poznajemy tylko część zawartości, bo obecnie jest w niej ponad 220 sylwetek. Te sylwetki to portrety (pośmiertne), a nie biografie, punktem wyjścia jest zawsze osobista znajomość, choćby przelotna. „Wyraźnie są rysowane się dwa krańce: o jednych piszę dlatego, że ich podziwiam, o innych

dlatego, że myślę o nich jak najgorzej” – tłumaczy autor, uspokajając, że tych drugich jest znacznie mniej, a w tym wyborze prawie ich nie ma... Powstał fryz z medalionów przedstawiających przede wszystkim naukowców, krytyków i pisarzy. Mistrzów, kolegów, uczniów, przyjaciół – i nie tylko. Jedni są sławni, inni zapomniani albo pamiętani tylko w środowiskowym kręgu. Są ludzie ważni w biografii samego Głowińskiego – jak Irena Sendlerowa, która podczas wojny ratowała jego

i jego matkę po wyjściu z getta, czy Alina Żarska, jego nauczycielka polskiego w pruszkowskim liceum. Ludzie długowieczni – i przedwcześnie, tragicznie zmarli, jak Ryszard Zengel, Adam Makowski czy Krzysztof Jung. Jednocześnie imponujący moralnie, jak Sendlerowa i Jan Józef Lipski, i tacy, których życiorys rozpięty był pomiędzy ideologicznym zacządem a buntem przeciw władzy. Oportuniści, umiejący jednak bronić niezależności kierowane przez siebie instytucji. Subiektywny obraz powojennych dziejów z perspektywy człowieka, który zacządem nie uległ, ale trzymał się (do pewnego czasu) na uboczu, w poczuciu podwójnego wykluczenia – z racji pochodzenia i orientacji seksualnej. Jako portrecista bywa

równocześnie okrutnie szczerzy i serdeczny. Jeden cytat: „Nie pisano [w nekrologach], że była wybitną uczoną, i słusznie, bo nie była.... Była kimś znacznie więcej – wybitnym, niezwykłym człowiekiem”. Kogóż tu nie ma! Kazimierz Wyka i jego uczniowie: Jerzy Kwiatkowski, Andrzej Kijowski i Jan Błoński. Stefan Żółkiewski, Stefan Morawski, Jerzy Jedlicki, Jan Garewicz, Roman Zimand, Marta Fik, Ryszard Przybylski, Małgorzata Baranowska, Stanisław Barańczak. Miron Białoszewski, Stanisław Swen Czachorowski, Marek Nowakowski. Barwny wizerunek Szpota, czyli Janusza Szpotańskiego. A na koniec Paweł Szwed, wydawca i tworca Wielkiej Litery, któremu książka jest dedykowana. ©®

PAWEŁ

Bravo:

Na polu bitwy



DWADZIEŚCIA. NAWET TYLE GODZIN MOŻE trwać zmiana w kuchni dużej restauracji. Rzadkie to i ekstremalne, ale szesnaście godzin ciągiem zdarza się częściej, a dwanaście to już w ogóle normalna rzecz. Często w sekwencji dwa dni pracy plus

dwa dni „wolnego”, z czego pierwsza połowa służy do tego, żeby w ogóle dojść do pionu i odzyskać kontakt z rzeczywistością. Wytrzeźwieć lub oczyścić się z innych substancji, jakie podtrzymywały ciało przez poprzednie dwie doby. Jest taka granica zmęczenia, poza którą sen i bezruch prowadzą w pierwszym momencie do rozstroju organizmu.

To jeden z licznych powodów, dla których tradycyjnie kuchnia, zwłaszcza w zaawansowanej gastronomii, zajmuje wysokie miejsce na liście środowisk sprzyjających nadużyciom, patologicznym relacjom, mobbingowi. Do zrozumienia panujących tam zjawisk badacze nieraz przykładali narzędzia poznawcze wypracowane w mapowaniu bardziej znanych w socjologii obszarów „geografii przemocy”, takich jak więzienia albo młodociane gangi w złych dzielnicach. Silna hierarchizacja, ogromna presja czasu, fizyczne przeciążenia, niebezpieczne narzędzia, hałas, zaduch, ciasnota – a to wszystko jeszcze w korbach wojskowego drylu i przesiąknięte rzekomo artystyczną misją.

Prawdziwym ojcem nowoczesnej wyższej gastronomii był człowiek ukształtowany przez służbę w kuchniach polowych. Kiedy w 1870 r. wielką armię francuską pokonali bez wątpienia gorzej wykarmieni Prusacy, Auguste Escoffier ruszył w świat implementować w wielkich hotelowych restauracjach myślenie w kategoriach pola bitwy. Do dziś przecież zespoły kuchenne odpowiedzialne za całość działań na danej zmianie zwie się „brygadami”. Jeśli trzeba wydać w czasie jednego serwisu sto i więcej dań, logiczny układ ludzi i ich działań jest konieczny, ale przesadny kult organizacji prowadzi do nadużyć, a język prostych komend degeneruje się we wrzask. Zwłaszcza kiedy na czele brygady nie stoi dzielny porucznik, ale „artysta” – zgodnie z pokutującym u nas postromantycznym mitem ma dziką kartę chłama i socjopaty.

Podziały aktów mobbingu według charakterystyk ofiary i sprawcy albo typu lokalu to temat niejednego doktoratu, a te są przygnębiająco podobne do siebie w konkluzjach: większość ankietowanych traktuje całe to międzyludzkie zło jako część „kultury” czy wręcz konieczne spoivo dobrego „zespołu”. Ostatnio wpadło mi w ręce badanie wskazujące na intuicyjnie słuszną zależność – że im bardziej ukryty przed wzrokiem

obcych, odseparowany fizycznie jest obszar kuchni, tym bardziej obowiązują w nim wewnętrzne prawa, reguła pięści, ponizające hierarchie. Tak jakbyśmy mogli być przyzwoiści i powściągliwi tylko pod karcącym wzrokiem publiczności. Stąd, konkludują autorzy, dobroczynny skutek otwartych kuchni, które z innych względów nie są wcale mądrym wynalazkiem.

Wolę nie widzieć ze szczegółami, co się dzieje, kiedy zamówię obiad, bo wiem, że sterylna czystość blatów, scenograficzne oświetlenie i baletowa elegancja ruchów załogi wcale nie przekładają się na to, czy zjem dobrze i zdrowo. Za to lubię małe lokale, w których kuchnia za wahadłowymi drzwiami jest na tyle blisko stołu, że słyszę, co się w niej dzieje. Słów nie rozróżniam, ale to niepotrzebne, by wyczuć melodię i atmosferę. Czy ludzie lubią to, co robią – a pośrednio, czy lubią mnie, sprawcę ich roboty. Czy śpiewność ukraińskiej polszczyzny, powszechnej na zapleczach naszych knajp, jest podsztytą roboczym skupieniem czy toksycznym stresem.

Może po prostu trzeba omijać wielkie instytucje, gdzie na jednej zmianie muszą pracować tuziny ludzi. Szukać klitek z trzema stolikami, gdzie właściciel i dwóch pracowników jakoś daje radę, pracując po parę godzin dziennie. Łaziłem niedawno po Poznaniu, po ulubionej dzielnicy Wilda, z rosnącą dziurą w brzuchu. Minąłem mały lokal Przyjemność, brzmiało zachęcająco, ale dawali pizzę, a ja chciałem zupy. Kiedy zobaczyłem szyld „Kwirlejka”, mój ośrodek językowej rozkoszy zarządził natychmiastowy postój, bez względu na to, co miałyby zostać zjedzone. A zostało zjedzone dobrze, o czym wiedziałem już po pół minucie przebywania w środku, z atmosfery i nasłuchu muzyki tła, czyli dźwięków zaplecza. Nic epokowego, żadne miszeleny ani eskofjery, ale jak się człowiek naczyta naukowych prac o piekle w kuchni Ritza, to słowo „dobrze” bywa w tej skromności najpotężniejszą pochwałą. ©P

Jeszcze tego samego dnia w innej dzielnicy oddawałem się palaszowaniu croissanta z włoską bezą – w kafejce przy ul. Taczaka, gdzie też miałem wrażenie, że ludzie nie pracują za karę. I gdzie przywiodła mnie chęć zjedzenia rzadko spotykanego bostocka. Nie znam etymologii tej nazwy, ale jest to niebiańsko pyszny sposób na recykling dużej brioszki lub ciasta drożdżowego, czy nawet chałki. Powiem wręcz, że to główny powód, dla którego czasem chce mi się kupić ciasto. Jest to bardziej pracochłonne niż pokrewny francuski tost, ale warto się pomęczyć.



100 ml soku z pomarańczy rozcieńczamy 100 ml wody, dodajemy 100 g cukru i gotujemy na wolnym ogniu ok. 5 minut, studzimy. Szykujemy masę migdałową (frangipane) – 150 g cukru pudru ucieramy ze 150 g miękkiego masła, dodajemy 150 g mąki migdałowej i łyżkę skrobi, potem wkręcamy po kolei 2 jajka, schładzamy przez godzinę. Nasączamy grube kromki ciasta syropem (można go zamienić na syrop cukrowy aromatyzowany np. paroma kroplami limoncello), smarujemy masą migdałową, zapiekamy w 180 st. ok. 15 minut. Pod koniec można nałożyć ulubioną konfiturę albo w sezonie świeże owoce, takie jak maliny albo ćwiartki moreli.

CZyste CZUCIE

Ping-pong jest sportem najbardziej towarzyskim i przyjaznym. Tkwi w nim coś pozornie śmiesznego, choćby ta piłeczka, karykatura piłki, ten lekki idiotyzm powtarzanych w kółko gestów.

MAREK BIEŃCZYK

TRUDNO JEST OPISAĆ UCZUCIE, KTÓRE W NAS ROZBŁYSKUJE w tym ułamku chwili, kiedy piłeczka po udanym ścięciu, liznąwszy stół, leci niepowstrzymana, by, wirując wokół własnej osi, zatrzymać się gdzieś na podłodze. Coś się w nas domyka, nagle odfajkowuje; wbiliśmy kolejny gwoździć w skorupę świata, potwierdziliśmy swoje w nim istnienie na naszych prawach, suwerennie. Świat jest, jaki jest, trudno, ale tym bardziej należy się weń wtłaczać, podpisywać na własnych warunkach listę obecności. Takie tysięczne gratyfikacje są solą ping-ponga, jednym z najgłębszych źródeł przyjemności, jaką daje.

A masz!

Jest jeszcze inna rozkosz, pokrewna wyżej opisanej, lecz osobna: obronić się, zablokować ścięcie zdecydowanym siermiężnym weto, twardo nadstawiając raketkę; albo miękkim ruchem, coś jak głaskanie kota, zamortyzować piłeczkę lecącą w naszą stronę i widzieć, jak wraca delikatnie niskim lotem za siatkę. Najbardziej lubię ten właśnie plasowany – jak to się mówi – ruch. Jest jak pieszczota, która prosi piłeczkę, by trafiła – a my wraz z nią – we właściwe miejsce. Właściwe miejsce: to coś, gdzie, odtrącając przeszkody, powinniśmy być, gdyby istniał raj na ziemi.

Freudysta mówiłby może o ekspansywnej analności; psychoanaliza miałaby tu, jak wszędzie, niemało do zinterpretowania, chyba nawet więcej niż w przypadku wielu innych sportów. Grywałem kiedyś z chłopakiem, który na salę docierał z bocznicą, gdzie wyładowywał węgiel. Rodzina rozbita, ojciec pijak; najpierw walił pięścią w lodówkę, następnie bił żonę, na koniec syna. Za każdym razem, kiedy chłopak z całej siły wykonywał ścięcie, wykrzykiwał: „A masz!”. A miałem, dostawałem za wszystkie grzechy ojca i za chłopaka nieszczęścia. Nazywałem go Amasz; któregoś dnia Amasz zniknął na amen.

Przykład aż za prosty, jeden do jednego. Ujawnia w przejawskrawieniu paradoks ping-ponga, gry słusznie uchodzącej za najsympatyczniejszą ze wszystkich, a przecież agresywnej





REPORTER

(zwłaszcza kiedy jesteśmy graczem ofensywnym), odreagowującej (kiedy wali się w piłeczkę bez opamiętania) i złośliwej (zwłaszcza kiedy jesteśmy graczem raczej defensywnym). W przeciwieństwie do sportów samotniczych, w których liczy się wynik mierzony w minutach czy metrach, albo sportów, jak wszelkie wyścigi, zbiorowych, a nawet w przeciwieństwie do większości sportów grupowych, sporty raketkowe opierają się wprost, od razu, na próbach oszustwa, czyli zmylenia i wykiwania przeciwnika. Ping-pong przede wszystkim – ze względu na nieskończone możliwości rotacji, które można piłeczce nadać.

Weźmy dla przykładu serw. W zależności od ułożenia rakiетки można piłeczkę wprawić w rotację dolną, boczną, górną, górno-boczną itd. Tak czy owak chodzi o to, by oszukać tego drugiego, utrudnić mu odczytanie lotu piłeczki. Dzisiaj na zawodach nie wolno już serwu zasłaniać i wyrzucać piłeczki w górę spod stołu. Ale zawsze coś można. Na przykład po odgłosie uderzenia rakiетką przeciwnik odbierający mógłby domyśleć się rotacji serwu. Więc w chwili uderzenia niektórzy zawodnicy tupią nogą, aby dźwięk zagłuszyć.

Bo też odgadywanie intencji gracza po przeciwnej stronie, obserwacja jego ruchów – rzecz wyjątkowo trudna – należy do podstawowych wymogów. Oczywiście powinny latać wte i wewte, jakby były skrajnie znerwicowane; patrzeć na piłeczkę w chwili, kiedy ją uderzamy, i rozgryzać ruchy gracza naprzeciw, odkrywać w mig jego rotacyjne rozwiązania. Dobry pingpongista to intuicyjny hermeneuta, błyskawiczny interpretator.

Fizycy obliczyli możliwości rotacyjne piłeczki i jej różne szybkości. W przypadku serwu przydaje się takie równanie: $m2v2p/M - 2mvvp + mv2p = 0$ (podaje za Krzysztofem Ernstem). Nic z niego nie rozumiem, tak jak molierowski pan Jourdain nie wie, że mówi prozą. Ale wiem, że nadto często psując piłkę przy odbiorze, swoją niezgrabnością nie staję, podobnie jak to bywało w liceum, na wysokości praw fizyki. I że można markować coś na lekcji polskiego, udawać, że się przeczytało „Nad Niemnem”, lecz fizyki obejść się nie da. W każdym razie przy serwie piłeczka osiąga dwa razy większą szybkość niż szybkość, z jaką ją uderza rakiетка.

Rotacja to Wielkie Kłamstwo, podstawa nowoczesnego ping-ponga. Zaczyna się od głupiego podkręcania (ojciec zgadzał się ze mną grać po warunkiem, że nie będę „podkręcał”), a później już nie ma granic. Top spin, najważniejsze uderzenie, na rotacji się opiera; w najbardziej skrajnej wersji, gdy zajdzie taka potrzeba, kolano niemal dotyka podłogi, rakiетка schodzi bardzo nisko, i ruchem przypominającym ścieranie tablicy od dołu pionowo idzie w górę.

Ale wiadomo, że kłamstwo wywołuje kłamstwo. Dobra odpowiedź przeciwnika na naszą rotację wzmacnia rotację, którą wysłaliśmy, i bije w nas jak niebacznie wysłany bumerang. Albo też przeciwnik ma rakiетkę z okładziną antyspinową lub czopową, które oszukują inaczej. Piłka spada wówczas na naszą stronę niczym martwy ptak; z takim flakiem nie wiadomo co począć.

No i jest jeszcze cała agresywna reszta, przywalić w piłkę tak, żeby mury stęknęły i stół się rozpadł, ściąć tak, że najcięższa sekwoja padłaby na wznak, a masz! Tyle że wszystkim jest przyjemnie, przynajmniej wśród zwykłych amatorów.

I→

Rozgrywki tenisa stołowego w ramach Narodowej Kampanii Fitness. Pekin, czerwiec 2009 r.

→ Ping-pong, choć z pozoru tak „niemoralny”, jest sportem najbardziej towarzyskim i wspólnotowym, i wyjątkowo sklejającym, przyjaznym. Nie wiem dlaczego właśnie on. Może dlatego, że tkwi w nim coś pozornie śmiesznego, dziecinnego, ta piłeczka, karykatura piłki, która podskakuje głupawo jak rząd na tańcach u Rydzyka, te wiatraki dłońmi w przyspieszonym tempie jak na pierwszych filmach z Chaplinem, ten lekki idiotyzm powtarzanych w kółko gestów.

Tak czy owak, potrzebujemy siebie nawzajem jak wody, by uprawiać swoje metafizyczne i techniczne harce. Tam, gdzie gram, wciąż słyszę dookoła „brawo” albo widzę kciuk wzniesiony w górę: to słowa i gesty uznania za dobre zagrania naszego „śmiertelnego” niby wroga. A na najniższym poziomie amatorskim piłeczka wędrująca od jednej rakiетки do drugiej to telegram porozumienia: odbierz stop teraz ty odbierz stop i znowu ty stop. Chodzi o to, by wymiana trwała jak najdłużej, metronom się nie zaciął. Dlatego rozgrzewka przynosi nieraz więcej frajdy niż sam mecz; na razie współdziałamy, podajemy sobie piłeczkę niczym dłoń.

My też chcemy pograć

Ping-pong należy też do najbardziej społecznych i demokratycznych sportów; żadnej, w odróżnieniu od tenisa, elitarności i związanych z nią wykluczeń. Jeden z pisarzy-pingpongistów, Jerome Charyn, tak opisuje swoją poważną pingpongową bandę w nowojorskim klubie z lat 50.: „profesor matematyki ciężko stękający po każdym uderzeniu; milioner-producent koszul zajeżdżający do klubu limuzyną z szoferem i zrzucający w szatni pełnej karaluchów marynarkę za dwieście dolców; żebrak-narkoman, stawiający czoło najlepszym, który zaczynał się trząść, kiedy tylko wychodził z klubu – tutaj nigdy nie prosił o jałmużnę; psychoanalityk, który w przerwie między meczami rysował na kartce kwiaty, i czarny portier, który musiał grać w ochraniaczach na kolana”.

Szalone lata ping-ponga miały swoje pierwsze wielkie apogeum pod koniec lat 20. Historyk sportu Wiesław Pięta pisze wręcz, że „przed wojną w Europie był szal na tenis stołowy, choć trafiali się też przeciwnicy tej dyscypliny. W parlamencie brytyjskim był »klub antypingpongowy«, którego siedmiu członków nosiło plakietki z napisem »My nie lubimy ping-ponga«. Jednak to były wyjątki. Stoły ustawiano w restauracjach, hotelach”.

Henry Miller, zapewne najlepszy pingpongista wśród pisarzy (grał jeszcze w dniu swej śmierci), rozgrywał partyjki z Chaimem Soutine’em, Anaïs Nin, Manem Rayem, Lawrence’em Durrellem, Brassaiem, Georges’em Moustakim. Był pierwszym marzycielem ping-ponga, to znaczy kimś, kto rozważał go „filozoficznie”, uznając grę za eksplozję największej vitalności, która przeciwstawia się śmierci.

Myślę, że tamta nagle pingpongowa moda w „szalonych latach” międzywojnia wiązała się ogólnie z ówczesną rewolucją estetyczną, rozbijaniem reguł, dynamizacją przestrzeni i form, kultem szybkości, rozkołysaniem ciała w rytm fokstrotów, swingu czy jazzu. Niektórzy lepiej przytupywali, inni lepiej dmuchali w rytmicznie rozbujaną trąbkę, inni lepiej uderzali rakiętką, lecz wszystkimi potrząsał ten sam magiczny dygot.

W dawniejszych latach, które sam pamiętam, sięgających Funduszu Wczasów Pracowniczych, ping-pong występował razem z brydżem i siatkówką; szczęścia chodziły Bożymi trój-

cami. Stół brydżowy czy pingpongowy przyciągał jak ciepły kominek; siadywało się obok i czas, tak przyjemnie rozgrzany, nie tyle mijał, co otulał. Stukano, licytowano, podbijano; niekiedy, aby dopchać się do stołu, trzeba było swoje odczekać.

Ping-pong zawsze był jakimś rozwiązaniem, inną rzeczywistością na podorzędziu. Jakby dziwnym snem w realu, pod ręcznym przedszkolem, do którego można zbiec, odbić w bok, aby schronić się przed nadto gardłową codziennością. Na koloniach nie odchodziłem od stołu, grupowe wyjścia do lasu były zmorą. Później często wyobrażałem sobie – jako scenę symboliczną, drwinę z historii – internowanego Lecha Wałęsę grającego ze strażnikami w Arłamowie. Lecz niestety jeszcze częściej grającego ze swymi ludźmi w Pałacu Prezydenckim; jestem niemal pewien, że o tym głównie marzył i że o tym z czasem więcej myślał niż o polityce, że pykanie rozrastało się kosztem trudniejszego, niż się spodziewał, rządzenia, aż w końcu – zbyt łatwo mi to było pojąć – stało się jedynym własnym dobrem.

Tytułowy wiersz Piotra Sommera z cudnego tomiku „Dni i noce” zaczyna się od słów:

*Jedziemy odwiedzić Staśków, ale umówmy się –
w ping-ponga też chcemy pograć, bo nie ma tak
żeby było tylko jakoś i człowiek mówi w liczbie mnogiej
odruchowo, nie myśląc o tym zbyttnio*

Sam mówię „my”, bo nie chce mi się wierzyć, że dla innych grających ping-pong to nic więcej niż ping-pong. Ewentualnie tenis stołowy. Wiersz Sommera nie opowiada dalej o ping-pongu, ale – umówmy się – poeta bardzo chciałby pograć. Do tego stopnia, że uzależnił swoją obecność na festiwalach literackich od obecności stołu pingpongowego. I czasami mnie. To tylko jeden z tysięcznych przykładów pingpongowego zaczadzenia; niech tu wystarczy za inne. Proszę pozwolić na wspomnienie. Podczas polskiego festiwalu we francuskim miasteczku graliśmy długo z Sommerem na oczach znudzonych literatów, szybko sobie poszli. Do końca meczu został jeden jedyny kibic, Tadeusz Konwicki. Głowa w lewo, głowa w prawo. „Panie Tadeuszu, szkoda czasu”. „Muszę zobaczyć, kto wygra”. Nie pamiętam, kto wygrał, trzeba by pytać Konwickiego.

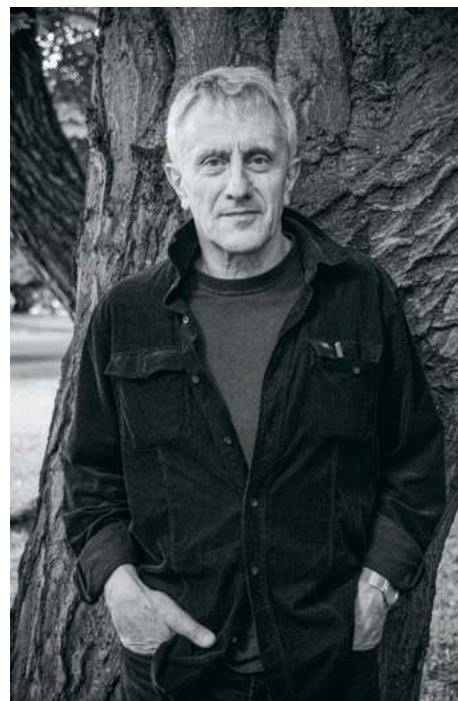
Wielkie pykanie rozlega się wszędzie, to obok piłki nożnej najbardziej chyba rozpowszechniony na świecie sport; stoły czy raczej ich betonowe imitacje rozsiały się po parkach i podwórkach. Na Polu Mokotowskim w Warszawie grywa dzisiaj kilka nacji, podobnie jak w klubie, gdzie czasem wpadam; obok dzieciaków i emerytów odbija tam też mistrz Anglii i świata w grze rakiętką bez okładzin; podają sobie nawzajem piłeczki. W parku genewskim widziałem przez weekend zastęp zaciekłych w grze Marokańczyków, ale się dopchałem, w klubie kopenhaskim – Irańczyków i Eskimosów.

O Chinach wolę nie myśleć, to inna gra, jakiś piekielny nadping-pong. Chyba że przypomni się „Forrest Gump” i Tom Hanks odbijający na oczach zdumionych Chińczyków piłeczkę od ściany dwiema rakiętkami naraz jak szalony cyrkowiec, a w kolejnej scenie rozgrywający w niewiarygodnym tempie mecz z chińskim zawodnikiem na arenie ozdobionej portretem Mao. Dzisiaj dobrze widać, wracając do tamtych kadrów, że animacja komputerowa dopiero raczkowała. Hanks uosabiał przez chwilę postać mistrza Glenna Cowana czy in-



*Na zdjęciu po lewej:
Alojzy Ehrlich, trzykrotny
wicemistrz świata w tenisie
stołowym, 1936 r.*

*Po prawej:
Piotr Sommer, poeta.
Warszawa, czerwiec 2012 r.*



Wesołe jest życie staruszka

nego z dziewięciu amerykańskich pingpongistów zaproszonych na mecze pokazowe do Chin; był to pierwszy zabieg dyplomatyczny mający ocieplić napięte stosunki amerykańsko-chińskie, a cała sytuacja, przypominę, przeszła do historii pod nazwą „pingpongowej dyplomacji”.

Takich zaczepień ping-ponga o wielką historię jest mało. Wyliczenie ograniczę do jednego, trudnego, lecz ostatecznie szczęśliwego przykładu. Jego bohaterem jest słabo u nas pamiętany polski Żyd Alojzy Ehrlich, przed wojną trzykrotny wicemistrz świata i człowiek o niezwyklej biografii, jeśli niezwykłość mierzyć tragicznymi przejściami i dziwnymi przygodami w najprzeróżniejszych miejscach.

Streszczę za Wiesławem Piętą tylko fragment tego życia. W roku 1939 fanatyk ping-ponga, król Faruk I, zorganizował w Egipcie pierwsze mistrzostwa świata odbywające się poza Europą. Tak bardzo zachwycił się Ehrlichem, że uprosił go o pozostanie w Egipcie; przez pół roku Ehrlich pykał z królem i królową, będąc zarazem trenerem kadry egipskiej. Ale wojnę spędzał już we Francji, uczestnicząc w ruchu oporu, prawdopodobnie pomagał w przerzucie polskich żołnierzy za Pireneje. Aresztowano go w czerwcu 1944 r. i przewieziono do Auschwitzu. Uniknął komory gazowej, gdyż któryś z nazistowskich oficerów miał rozpoznać mistrza. Dodam, że podobny motyw wojennej „solidarności” pingpongowej znajdziemy w powieści Józefa Hena, „Pingpongista”. Z Auschwitzu Ehrlich trafił do Gross-Rosen i Dachau, gdzie doczekał się wyzwolenia. Po wojnie jeszcze bardzo długo kontynuował karierę we Francji, choć chciał grać dla Polski, co mu polskie władze uniemożliwiły.

Dogrzebałem się jeszcze u Amerykanów i takiej pogłoski rozpowszechnianej przez słynnego pingpongistę Marty’ego Reimana, który Ehrlicha poznał w Auschwitz przydzielono Ehrlicha do oddziału rozbijającego bomby. Któregoś razu Ehrlich znalazł podczas pracy plaster miodu. Miał się miodem nasmarować i, wróciwszy do obozu, dawać swoje ciało do lizania innym więźniom. Gdy wychodził z więzienia, sam przy 182 cm wzrostu ważył około 40 kilo.

Najstarszy gracz, jakiego widziałem w akcji przy stole w Warszawie, miał sto jeden lat; całkiem nieźle mu szło. Najstarszy pingpongista, z którym grałem (i przegrałem), miał osiemdziesiąt siedem lat; trochę trzęsły mu się już ręce. Z osiemdziesięciolatkami przegrywam często; to nie są nawet byli zawodnicy, po prostu faceci (jest również sporo dobrze grających kobiet w tym wieku), którzy kilkadziesiąt lat odbijali i wyuczili się własnych technik, często absolutnie niepoprawnych z punktu widzenia sztuki, lecz nieprawdopodobnie skutecznych. Płeć i wiek w grze czysto amatorskiej nie mają znaczenia, ani sześćdziesiąt lat różnicy, ani chromosomy nie są decydujące dla stylu i rezultatu. Niekiedy nawet zawodowstwo nie pomoże: widziałem nieruchliwych starców, którzy wyuczonym pykaniem pokonywali młodych zawodników zwijających się jak w ukropie i wysyłających ku nim podręcznikowe top spiny.

Taki jest oczywisty urok amatorskiego pingla, obywatelskiej, starsmarkatej republiki. Fundamentalne gdzie indziej podziały tu zanikają, wszystko jest możliwe. W ostatnich latach największe wsparcie dla ping-ponga przychodzi od medycyny, zwłaszcza od nauk neurologicznych. Wróble ćwierkają już o tym, że nie ma lepszego sportu dla mózgu (chyba za mało gram) i lepszej terapii – a kto wie, czy nie prewencji, choć brokuły i tak trzeba jadać – dla takich chorób jak parkinson i nawet alzheimer. Artykułów naukowych na ten temat jest już sporo. Tłumaczę sobie te prawdopodobne profity prosto: tresowaniem reakcji. W ping-pongu nie ma „później”, żadnej prokrastynacji. Co ćwierć sekundy nieodwołalna decyzja, a szybka decyzja jest jak holowanie – wyciąga nas z buksowania, na którym degeneracyjne schorzenie neurologiczne, zwłaszcza parkinson, polega.

Więc właśnie (nie zaczynaj, mój mózgu, zdania od „więc!”): ping-pong koncentruje energię do granic. Nasze błyskawiczne ruchy wyrażają *ask strength* życia, jego wysokoprocetową treść. Tak bardzo tu i tak bardzo teraz, bez rozcieńczenia, cudowny eliksir, apologia pełnej obecności,

→ wysokiego napięcia, absolutnego skupienia w każdym pełnym geście. Grający wykonują rodzaj dziwnego, ni to nowoczesnego, ni to rytualnego baletu (który *nota bene* posłużył za kanwę różnym spektaklom), jakby obłaskawiali ołtarz, templum, pępek świata, czyli stół w kolorze teraz niebieskim, a niegdyś zielonym.

Niekiedy, mówiąc o sporcie, używamy słowa „czucie”. W ping-pongu ma ono, rzekłbym, najmniej metaforyczne znaczenie. Zdarzają się chwile, rzadkie, lecz dogłębne, gdy wychodzimy z własnego ciała, wraz z piłką i rakiетką stajemy się jedną wspólną aurą; to doznanie szczęśliwej nieważkości, kiedy przestajemy odczuwać, czy to my dotykamy piłeczkę, czy ona nas. Całkiem dosłownie rozumiem więc słowa Charyna o „falach alfa” jako „raju pingpongisty”, gdzie osiąga się doskonałą harmonię, gdzie „ciało i duch wpadają w rodzaj stanu mistycznego, w którym czas zdaje się podporządkowany naszej woli. Do tego dążyliśmy za każdym razem, gdy chwytailiśmy rakiетkę; wyjść z siebie, wtopić się w marzenie o grze, gdzie nie bylibyśmy tymi, którzy przejmują się każdym odbiciem, gdzie tańczylibyśmy bez żadnego celu, bez myśli o zwycięstwie, zahipnotyzowani białą czy pomarańczową piłeczką”.

Z roku na rok tańczy się coraz szybciej. Ze zjawiskiem szybkości w ping-pongu jest pewien problem. Dzisiejsza nauka gry na poziomie zawodowym i wysoko amatorskim polega na wpajaniu zasady: skończyć wymianę jak najszybciej; piłeczka leci czasem z prędkością 160 km/h, parę uderzeń i po krzyku. Nasz wspomniany mistrz Alojzy Ehrlich zasłynął również z najdłuższej wymiany z Rumunem Farkasem Panethem (który w czasie wojny trzykrotnie zbiegł z transportu do Auschwitzu) podczas mistrzostw świata w roku 1936. Trwała nieprzerwanie dwie godziny i dwanaście minut, dłużej niż legendarny pojedynek Brazylia–Polska na mistrzostwach futbolowych w tym samym roku. Zdarzały się wówczas mecze pingpongowe, które ciągnęły się z przerwami przez dwa dni. Dzisiaj to 15 minut.

Najlepszy amerykański pingpongista w dziejach, Dick Miles (który chodził na mecze z „Ulisesem” Joyce’a pod pachą i zastanawiał się, czy pojedyncze słowa mogą wywołać taki sam efekt jak poszczególne uderzenia), widział tę wymianę, której głównym bohaterem był Ehrlich. Ehrlich posługiwał się nieco większą i cięższą rakiетką od normalnej, ustawiał daleko za stołem i tylko biernie odsyłał na stół piłkę po zagraniach Panetha. Po dobrej godzinie ramię Ehrlicha, opowiadał Miles, zaczęło drętwieć i Ehrlich przełożył rakiетkę do drugiej ręki. Po dziewięćdziesięciu minutach sędzia poprosił, by go zastąpiono, gdyż szyja od ciągłego kręcenia głową odmówiła posłuszeństwa. Publiczność zaczęła wychodzić z sali; tam, gdzie siedział kapitan polskiej ekipy, Ehrlich kazał wcześniej postawić szachownicę i podawał kapitanowi na głos kolejne ruchy w tocznej z nim partyjce. Piłeczka miała przefrunąć nad siatką dwanaście tysięcy razy, lecz pierwszy punkt, po tym, jak piłeczka omsknęła się po palcu Ehrlicha, zdobył Rumun. Od dwudziestu minut rozgrywano już drugi punkt, gdy jeden z członków polskiej ekipy, cytując Milesa, „zanurzył dłoń w torbie i wycią-

Ping-pong był zawsze inną rzeczywistością
na podorędziu. Podręcznym przedszkolem, do którego można zbiec, aby schronić się przed nadto gardłową codziennością.

gnął z niej nóż, bochen chleba i polską kielbasę 60-centymetrowej długości”. Paneth, widząc, że Polacy „szykują się do spędzenia w sali zimy”, wzmocnił atak. Za trzecim uderzeniem za piłeczką poleciała jego rakiетka i Paneth wybiegł z sali „wyjąc na cały głos”.

Wszystko zaczęło przyspieszać od roku 1952, kiedy ktoś wymyślił, by obłożyć deskę jakimś gąbczastym materiałem. To nie była zmiana, lecz rewolucja, porównywalna do wynalezienia dźwięku w kinie. Nie od razu Kraków

zbudowano i rakiетkę obłożono, nowe technologie miękkich okładzin potrzebowały czasu, by całkowicie przeobrazić obraz gry. Pamiętam jeszcze z dzieciństwa graczy węgierskich, którzy stawali z dziesięć metrów od stołu i odsyłałi piłki z cierpliwością automatu zaprogramowanego na wieczność: nieraz jeszcze wygrywali. Dzisiaj byłoby to niemożliwe, można się tak przez chwilę pobawić, to bardzo rajcujące i spektakularne, lecz teraz obrońcy praktycznie nie mają szans. Wahadło poszło w drugą stronę. Z nazbyt długich wymiany stały się za krótkie i za szybkie; widz, już zwłaszcza telewizyjny, nie mógł śledzić rozgrywki. Zwiększono średnicę piłeczek z 38 do 40 milimetrów, żeby zmniejszyć tempo przelotu, celuloid zastąpiono nie tak szybkim plastikiem, na niewiele to się zdało.

Pewnie będzie się coś jeszcze działo. Jak w każdej mikrospecjalizacji, technologia uruchamia czy promuje poszukiwania absolutu. Jak audiofile uganiają się za idealnym dźwiękiem, tak grający – zwłaszcza ci średni, jak ja – marzą o idealnej okładzinie i desce (za użycie słowa „paletka” przez tydzień podaje się piłki), które zagrają za nich samych. Kiedy spojrzysz na przekroje okładzin i desek, które składają się z wielu warstw i materiałów wykorzystywanych, nie wiem, czyba w kosmosie albo najbardziej zaawansowanych laboratoriach, na ceny bijące wyraźnie ceny najlepszych rakiet tenisowych, można pomyśleć, że żarty się skończyły, albo że chciałoby się zagrać z Anaïs Nin czy Manem Rayem. Ale się nie skończyły: pytam nie dalej niż miesiąc temu starszego klubowicza, od którego prawie każdy dostaje manto, czym gra.

– Nie wiem – mówi i pokazuje... deskę? Nie, paletkę pokrytą przedpotopową warstwą gumy.

– Znalazłem w piwnicy, dodaje, trzydzieści lat tam nie zaglądałem.

Wiara

Jeszcze tyle chciałoby się powiedzieć. O tym, że czasami, gdy jestem przed komputerem, dochodzi mnie zza ściany czy zza okna stukot jakby odbijanej piłeczki; miła halucynacja. Lecz nie; piszmy, nikt nie woła. O tym, że nie lubię tej jednej piosenki Kory o nocnym koszmarze z czarnymi pingpongowymi piłeczkami. O tamtym całonocnym, partytowym, wyrównanym meczu jeszcze przed maturą z nieznaną mi dziewczyną, której imienia nigdy nie poznałem; Dygat by zaraz napisał romans sportowy. Albo o meczu, który mamy rozegrać w nowej, przestronnej siedzibie „Tygodnika”. Najbardziej obawiam się chłopaków i dziewczyn z działu Wiara.

© MAREK BIEŃCZYK

**TYGODNIK
POWSZECHNY**



Słuchaj i rób, co chcesz!



W cyklu „Tygodnik” na ucho
co tydzień 5 wybranych tekstów
z bieżącego wydania – do odsłuchania
w dowolnym czasie, miejscu
i na dowolnym nośniku.

Pobierz aplikację Audioteki
z GooglePlay lub AppStore
i słuchaj w dostępie dla Klubowiczów
– dla nowych abonentów 14 dni gratis!



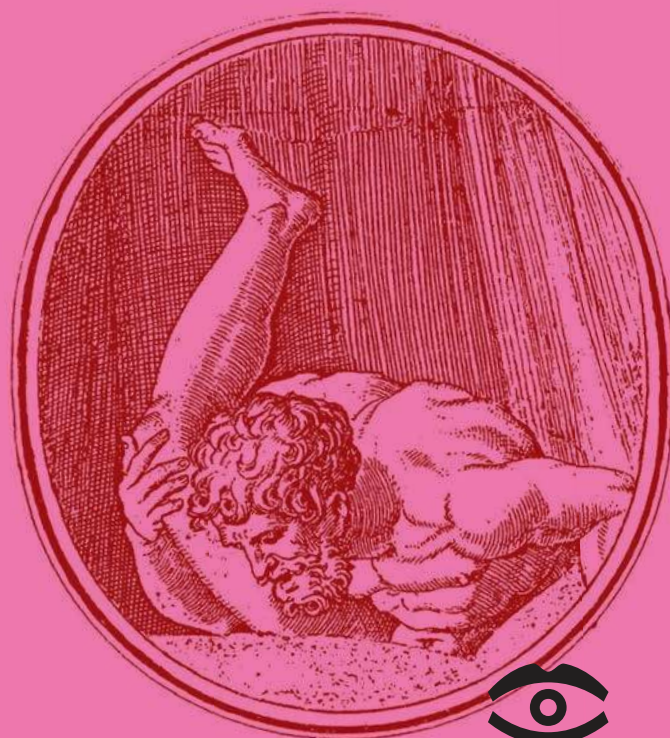
 **audioteka**

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Podkast Powszechny

Artyści renesansu nie byli cnotliwi,
a swoje bezpruderyjne dzieła tworzyli techniką
umożliwiającą masowe kopiowanie.
Niektóre z nich przetrwały do dziś.
Co się na nich znajduje? Słuchaj cyklu
„Sztuka powszechnie nieznana”
– o tajemnicach malarstwa opowiada
historyczka sztuki i mediewistka
Magdalena Łanuszka.

A jeśli Ci się spodoba, wesprzyj Podkast Powszechny
na [Patronite.pl/TygodnikPowszechny](https://patronite.pl/TygodnikPowszechny)



**Sztuka
powszechnie
nieznana**

**TYGODNIK
POWSZECHNY**



FUNDACJA
TYGODNIKA
POWSZECHNEGO



PATRONITE

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY / FRAGMENT GRAFIK Z CYKLU „I MODI”.
1. TERCJA XVI W., BYĆ MOŻE KOPIA WG MARCANTONIA RAIMONDIEGO /
© THE TRUSTEES OF THE BRITISH MUSEUM / CC BY-NC-SA 4.0

STANISŁAW

Mancewicz:

Wstrętna kielbaska



OTO PARLAMENT I WYBRANY PRZEZEŃ RZĄD są odzwierciedleniem stanu społeczeństwa. Zdanie brzmi tak bardzo nudno i poprawnie, że aż skręca nas, by w nim pogrzebać. Chciałoby się w tym zdaniu wszystko

poburzyć i poprzestawiać, pozmieniać znaczenia, a potem kupić sobie – powiedzmy – piwko. W siatkowym podkoszulkę posiedzieć na kanapie, patrzeć na demolkę i z owej rechotać. Pobyc – powiedzmy przez weekend – w samozadowoleniu z destrukcji, z wulgarnego wandalizmu uprawianego na sensie, semantyce, gramatyce i stylistyce.

Ten ludyczny obrazek każe nam się poważnie nad sobą zastanowić. Wypadałoby zdjąć – pardon – różowe okulary i przejrzeć się w lustrze. Czy aby te dziwaczne marzenia to nie wstęp do czynów prawdziwych, zabronionych, do aktów nieestetycznych, nieetycznych i niehigienicznych? Czy aby nie jest to zapowiedź wyjścia na ulicę, do – weźmy – psucia wiat przystanków autobusowych, wywracania koszy na śmieci albo wypływania gum do żucia, bądź to do wywrzaskiwania zdań, których się nie da powiedzieć, a właśnie wywrzeszczyć? Nawiasem, zawsze zastanawialiśmy się, dlaczego Polska jest krajem, w którym ludność miast i wsi tak zawzięcie niszczy przystanki autobusowe. Robią to – popatrzmy – wszystkie pokolenia narodzone po wzięciu Berlina pamiętnego, ciepłego maja roku 1945.

Otóż jakiś czas temu już uznaliśmy, że nie ma na niszczenie wiat komunikacji miejskiej lub podmiejskiej żadnego racjonalnego wytłumaczenia. Mamy tu na myśli racjonalność wyłącznie definiowaną przez cywilizację śródziemnomorską. Od lat głosimy z arogancką pewnością siebie, że niszczenie wiat autobusowych wynika z musu destrukcji, a mus ten bierze się z polskiego genu sprzeciwu. Ktoś tu zapyta, przeciw

czemu ten sprzeciw, gdzie tu gen. Co ma do tego – do stu tysięcy beczek polskiego leku na COVID 19 – niewinna wiata komunikacji miejskiej bądź podmiejskiej? Otóż ma. Ona nie jest niewinna – ta wiata. Nasza cierpliwość jest anielska, ale ma swe granice, zanim więc zaczniemy być niemili, po raz ostatni wyjaśniamy – wiata autobusowa jest konstrukcją, a bezbrzeżna siła słowiańskiej nadpobudliwości polega na uporczywym rozkładaniu rzeczy zmontowanych. Nic bowiem nie jest tak irytujące, jak patrzeć na zmontowane, i nic nie przynosi takiej ulgi, jak zdemontowanie.

Tak tu sobie gwarzymy, jakbyśmy byli zaiste gruntownie oderwani od dnia codziennego, jakbyśmy zaiste po pijanemu zajmowali się dla zabawy przestawianiem słów w zdaniach podrzędnie złożonych, jakbyśmy dowcipkowali z genetyki polskiej, Polskiego Ładu, jakbyśmy zajmowali się wyłącznie wytykaniem osobliwych cech tutejszej flory i fauny. Otóż powracając do owego twierdzenia, że parlament i rząd są emanacją, reprezentacją i odzwierciedleniem, chcemy tu rzec coś kapitalnego – chcemy zaprzeczyć tej definicji, chcemy powiedzieć, że jest to nieprawda, że to wszystko jest już nieaktualne.

Otóż rząd nasz już od jakiegoś czasu nie jest kształtowany jako reprezentacja kogokolwiek. Motywem układania gabinetu jest teraz wybór przesadny. Oto bez przesady można rzec, że rząd nasz składa się z figur przerysowanych, których jedyną kompetencją jest umiejętność przesadzania, nawet ich wizerunek wraz z fryzurami jest jakąś szokującą przesadą, ich zaczes jest zaczesem przesadnym, a język w swej przesadzonej robaczywości jest materiałem dla hardkorowych entomologów. Nawet machający paluch ministra oświaty (przesadnie niepasująca nazwa) podczas mowy w parlamencie jest – wstyd powiedzieć – nie paluchem, tylko wstrętną kielbaską. No więc ujmując zagadnienie ogólnie – kasta nami rządząca jest zespołem dobranym poniekąd artystycznie. Ktoś zapyta, jaką to sztuką i dla kogo może być – dajmy na to – machająca kielbaska? Nasza anielska cierpliwość się kończy. Sztuka nie może obyć się bez przesady, słowem, nasz rząd jest rządem artystycznym, jest bardzo nowoczesną instalacją, jest samym happeningiem. To chcieliśmy przekazać wszystkim Czytelnikom zaintrygowanym tytułem tego felietonu. ©

BARTOSZ MINKIEWICZ



Cennik i zasady zakupu „Tygodnika Powszechnego” z dostawą do domu

PRENUMERATA	EKONOMICZNA PRIORYTET	
Roczna (52 numery)	480 zł	590 zł
Półroczna (26 numerów)	270 zł	330 zł
Kwartalna (13 numerów)	155 zł	190 zł
Pokolenia*	415 zł	
Karta Dużej Rodziny**	415 zł	
Roczna + 4 wydania specjalne	565 zł	680 zł
Pokolenia* + 4 wydania specjalne	500 zł	
Karta Dużej Rodziny**		
+ 4 wydania specjalne	500 zł	
4 wydania specjalne na 2022 r.	85 zł	

* z oferty POKOLENIA mogą skorzystać osoby poniżej 25. i powyżej 65. roku życia

** z oferty KARTA DUŻEJ RODZINY mogą skorzystać jej posiadacze na warunkach opisanych w regulaminie

Prenumeratę (krajową i zagraniczną)
można zamówić przez:

- internet na TygodnikPowszechny.pl/wykup-prenumerate
- dokonanie wpłaty na konto lub opłacenie przekazem pocztowym:
Tygodnik Powszechny
ul. Dworska 1C / LU 3-4, 30-314 Kraków
Nr konta Bank Pekao SA
49 1240 4533 1111 0000 5431 1987

Szczegółowych informacji udziela
Agnieszka Grzywa w godz. 11.00–15.00
pod nr. tel. **668 479 075** lub adresem e-mail:
prenumerata@TygodnikPowszechny.pl

W sprawie prenumeraty elektronicznej
informacji oraz wsparcia technicznego udziela
Mateusz Gawron w godz. 10.00–14.00
pod nr. tel. **668 475 263** lub adresem e-mail:
kontakt@TygodnikPowszechny.pl

Prenumeratę elektroniczną można zamówić
przez internet na TygodnikPowszechny.pl/wykup-dostep

TYGODNIK
POWSZECHNY

PARTNER MARKETINGOWY

SALES_{MAN}manago
marketing automation



Regulamin zakupu prenumeraty – na powszech.net/regulamin



Do **KAŻDEGO** zamówienia
autorski, wyjątkowy
notes kulinarny
W PREZENCIE!



Notes kulinarny
„Smaki”
otrzymasz już
na początku lutego
na nasz koszt!



BEZ TABU. BEZ LUKRU. MĄDRZE.

Abp Grzegorz Ryś, ks. Józef Tischner, Iacopo Scaramuzzi, o. Ludwik Wiśniewski OP, ks. Jacek Prusak SJ, ks. Krzysztof Grzywocz, ks. Tomáš Halík. Teologowie, filozofowie, ewangelisci. Kościół otwarty, Kościół głęboki.

Wydawnictwo WAM pyta, docieka, poddaje refleksji. Bo dojrzała wiara to dobre życie. A tam, gdzie są chrześcijańskie symbole, ale nie ma ducha Ewangelii, brakuje miejsca dla Boga.



Czysta Ewangelia
Abp Grzegorz Ryś

O co tak naprawdę chodzi w chrześcijaństwie? Podróż śladami św. Franciszka, jednego z najważniejszych ludzi w historii Kościoła.

Bóg? Tylko po prawej stronie. Populizm a chrześcijaństwo
Iacopo Scaramuzzi

Co grozi Kościołowi, który stanie się narzędziem politycznych rozgrywek? Fascynująca i przerażająca podróż do świata pełnego chrześcijańskich symboli, ale sprzecznego z przestaniem Ewangelii.



Wiara, Nadzieja, Miłość
Ks. Józef Tischner

Trzy piękne opowieści i trzy nieznanne oblicza Filozofa z Łopusznej: „Wiara ludzi wolnych”, „Miłość w czasach niepokoju” i „Tischner. Nadzieja na miarę próby”.

Nowe czarne z białym. Zapiski niewygodne
o. Ludwik Wiśniewski OP

Zapiski legendarnego dominikanina z lat 2003–2007. Odważne i niewygodne. O chrześcijaństwie, które jest wyzwaniem, i które nie daje się zawłaszczyć.



Pójdźcie na miejsce osobne
ks. Jacek Prusak SJ,
ks. Krzysztof Grzywocz

Dojrzała wiara pomaga zrozumieć siebie. Wyczerpująca teologiczna i psychologiczna analiza to pierwszy krok do pogłębienia relacji z Bogiem, sobą samym i drugim człowiekiem.

Czas pustych kościołów
ks. Tomáš Halík

W dobie pandemii świątynie opustoszały. Czy to zapowiedź tego, jak w przyszłości będzie wyglądał Kościół? Książka odważna, a zarazem przepiękna wrażliwością.



Pełna oferta Wydawnictwa WAM
dostępna na www.wydawnictwowam.pl